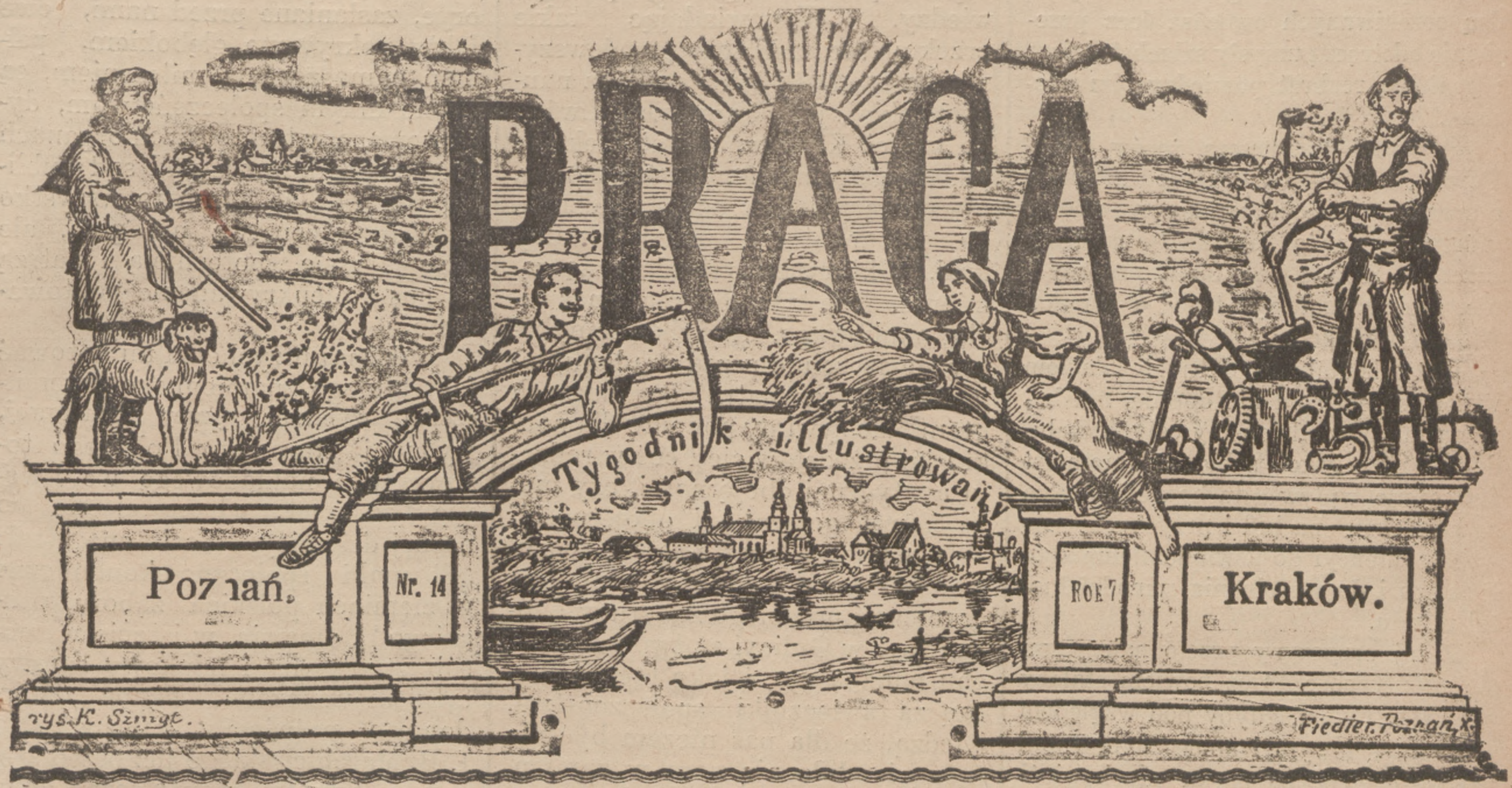
13,000 abonentów!

Nr. 14 — Poznań, dnia 5 kwietnia 1903. — Rok VI



Burza w Prusach Zach.

Zerwała się burza w Prusach Zachodnich — nie przejściowa nawałnica, co niespodzianie nadchodzi i szybko przemija, nie pozostawiając po sobie wielkich śladów, lecz burza, którą z początkiem ruchu przedwyborczego zwiastował głuchy grzmot, a która pozostawi wiele drzew połamanych — niemałe skutki w ustroju wewnętrznym Prus królewskich. Bo kwestya kandydatury pana Kulerskiego, która wywołała tę burzę, przestała być kwestyą osobistości, lecz wyrosła do kwestyi wewnętrzno-politycznej, zeszeregowała z jednej strony żywioły zachowawcze, z drugiej zwolenników ruchu ludowego.

Całą tę burzę przypisujemy w pierwszym rzędzie beztaktowi pana Kulerskiego i ospałości komitetu wyborczego, a potem beztaktowi i zacietrzewieniu żywiołów zachowawczych. Pan Kulerski naraził się przez swój brak taktu szlachcie i duchowieństwu i nie potrafił, jak p. Brejski, żyć w zgodzie z komitetem wyborczym, który sprawę zaspał, i zbyt późno zbudził się do świadomości, by wystąpić przeciw kandydaturze pana Kulerskiego. Nic dziwnego, że poniósł dotkliwą porażkę. „Tym co późno przychodzą — kości“ — mówi przysłowie i tak komitetowi wyborczemu pozostały do swobodnego rozporządzenia tylko te mandaty, po które p. Kulerski nie wyciągnął ręki.

Komitet i żywioły w nim reprezentowane, które długo, długo patrzały w spokoju ducha na agitacyę pana Kulerskiego na rzecz „Gazety Grudziądzkej, oraz jego kandydatury, powinny były błąd swój uznać wobec siebie samych i wytworzyć jakiś modus vivendi lub przynajmniej starać się o zbudowanie mostu, na jakim mogli-by się byli zejść z tym, o który go oparł się ruch ludowy. Tymczasem wystąpiły one do walki dopiero wtedy, gdy p. Kulerski dał im bolesną lekcyą, unaocznił swój wpływ i pozycyą uznali za zagrożaną.

P. Kulerski nie jest naszem zdaniem wcale idealnym kandydatem na posła. Nie sądzimy, aby zdołał oddać w Berlinie usługi sprawie polskiej. Środki, jakimi się posługiwał przy agitacyi, nie zawsze można nazwać godziwymi, wszelako, co bądź da się o nim powiedzieć, przyznać trzeba, że przyczynił się do rozbudzenia oświaty w Prusiech, a nie podobno okrzyczeć go za człowieka „niebezpiecznego.“ Zresztą polityka nakazuje liczyć się z faktem, że p. K. jest kandydatem ludowym, a więc mas wyborców, których *wolę należy uszanować przedewszystkiem.*

Jak się to stało, to dzisiaj mniejsza, ale stało się, że lud tamtejszy poczytuje nieprzyjaciela kandydatury pana Kulerskiego za nieprzyjaciela ruchu ludowego i — ludu. I wskutek tego kandydatura ta wyrosła do takiego znaczenia.

A ks. Kujot z Grzybna, w którym „Kur. Pozn.“ widzi przedstawiciela całego społeczeństwa zachodnio-pruskiego, przyłożył niebacznie rękę do zaostrzenia różnic, do roznamiętnienia *umysłów, podeptał prawa ludu.*

Wystąpienie ks. dr. Kujota na łamach „Pielgrzyma“ jest wprost niesłychanem. Zarzuca się panu K. że agituje po amerykańsku, a jak mamy nazwać tę kontr-agitacyą? Autor tych artykułów pełną ręką czerpie z życia prywatnego pana K. i można mu powinszować informacyi, których — jak sądzimy z uwagi w „Gaz. Gdańskiej“ dostarczyła mu chyba zgraja plotkarzy i plotkarek. Jad leje się z tych artykułów, napisanych w „dzień św. Józefa“ przez duchownego, o którym „Kur. Pozn.“, wyliczając jego tytuły, twierdzi, że jest „znanym w całej Polsce.“ Nie ma nic tak złego, czego autor nie przypisałby panu K.; więc nie jest on ani Polakiem ani katolikiem, udaje tylko patryotę i pobożnego — dla interesu. Bo p. K. wszystko robi dla interesu, nadto jest rozciągłym, głupim, pysznym i t. d. Są w tych artykułach niewonne kwiatki, których nie chciałbym przytaczać. Pytamy więc, czy to jest godny sposób zwalczania polityka! Czy jakiemś prawem kaduka wolno obrzucać oponenta błotem?

Nie przypuszczam, aby duchowieństwo w Prusach solidaryzowało się z tym nieszczęsnym aktem ks. Kujota,

raz dlatego, że środki, jakimi posługuje się on w walce, są niemoralne i niedozwolone w społeczeństwie cywilizowanem a powtóre dlatego, że nie wydadzą oczekiwanych owoców, lecz przeciwnie odstręczą umysły szlachetniejsze i pogłębią rozbrat pomiędzy obu obozami.

Śmieszną jest rzeczą, że ów „Kur. Pozn.“, który płodzi mętne artykuły o anarchii publicystycznej, tem samem piórem wysławia paszkwil napisany przez ks. Kujota. To maluje zaślepienie, egoizm kastowy tego dziennika. Ale nie o to chodzi.

Cóż zdziałał ks. Kujot? Takiem wystąpieniem celu nie dopnie, ma bowiem jak powiedzieliśmy cały ruch ludowy przeciwko sobie. Natomiast podkopuje wpływ duchowieństwa po za kościołem na lud i przyczynia się wbrew intencyi do uświadomienia społecznego i do wyrobienia samodzielności u ludu.

Z tej przyczyny przeto należy mu się wdzięczność. Cóż bowiem stałoby się z tym ludem, gdyby pod względem narodowościowym i społecznym miał zawsze chodzić na pasku duchowieństwa! Pamiętajmy, że w Prusach Zachodnich roi się od księży germanizatorów, że stanowisko duchownego wobec ruchu narodowościowego zależy od jego zwierzchników, że podlegać on musi woli swego biskupa. Pamiętajmy, że gdyby lud nie umiał być samodzielnym, Górny Śląsk spoczywałby jeszcze w pętach niemczyzny i lud polski wysługiwał się hakatystom w rodzaju hr. Ballestrema jako bydełko wyborcze.

Uporczywość zatem, z jaką lud trzyma się kandydatury pana Kulerskiego, jest pocieszającym objawem, jest wyrazem pewnej samodzielności ducha, która świadczy o zwiększonej oświacie i wewnętrznej sile. A burza w Prusach Zachodnich, niefortunnie podsycana przez ks. Kujota, jest kamieniem probierczym tej żywiołowej siły, czynnikiem w duchowym rozwoju ludu i musi pociągnąć za sobą skutki ogromne, dalekonośne....

Prusy Zachodnie przechodzą obecnie taką kryzys jak Ks. Poznańskie kilka lat temu, z której ruch ludowy wyszedł zwycięzko. Burza ta przeto nie jest bezpłodną.

Nie ma tego złego, coby nie wyszło na dobre.

Quis.

Niebezpieczeństwo nieuctwa.

W dwunastym numerze „Pracy“ starałem się w przeciwstawieniu do p. L. Kulczyckiego, zarzucającego Polakom nienaukowość, wykazać, że nie zasługujemy na zarzut taki, ponieważ według sił przyczyniamy się do ogólnego postępu wiedzy. Wypowiadając takie przekonanie, miałem przedewszystkiem na myśli takie ogniska nauki polskiej, jak Warszawa, Lwów, po części Kraków, nawet niektóre miasta zagraniczne, jak Petersburg, nie mogę niestety dodać: Poznań, bo my w istocie przedstawiamy kraj, w którym myśl zdaje się zamierać. Nie tylko nie ma u nas ruchu naukowego, nie tylko zamykamy się szczelnie przed prądami, bijącemi z zewnątrz do naszych bram, ale żywimy ponadto dla nauki i jej przedstawicieli coś w rodzaju apatycznej obojętności, czy może nawet gorszej od obojętności, — pogardy. Zresztą jest to uczucie obustronne — ludzie, którzy za granicami pruskiego zaboru w Królestwie i w Galicyi są twórcami ruchu naukowego, i jako tacy, uchodzą za świeczniki społeczeństwa, wiedzą, że dla nas niczem być nie mogą i odpłacają nam w zamian, jeżeli nie pogardą, to wszakże uczuciem zasłużonego politowania. — Braknie tu w istocie danych do rozumienia się wzajemnego, a ponieważ za granicami ujawnia się trwały postęp, u nas raczej chęć cofania się, istniejący przełom musi zwiększać się samą siłą dalszego rozwoju.

Jeżeli czasem głos z tamtego świata dobiegnie do nas i zabrzmi wśród naszej atmosfery duchowej, dziwnie, jak dysonans, znajdzie się zaraz pomiędzy nami jakiś obrońca pseudo-ideałów poznańskich i stara się zatrzeć wrażenie okrzykiem: on nie zna naszych stosunków! — Wielka pomyłka! Niestety znają je aż nadto dobrze, znają je i żywią na mocy tego uzasadnioną obawę — o naszą przyszłość. Bo ludzie o szerszym horyzoncie umysłowym wiedzą, że zasklepianie się w utartych, dawno przestarzałych wyobrażeniach kryje w sobie poważne niebezpieczeństwo.

Właściwie to my jesteśmy stroną, nie znającą własnego społeczeństwa, ani sił, jakiemi ono rozporządza, ani własnych błędów, utrudniających nam postęp, ani środków, jakichby chwycić się należało, aby podźwignąć się z naszej znanej całemu światu umysłowej niemocy. — Czasami zdaje się, jakby prasa nasza widziała zadanie swoje w zakrywaniu nam istotnej postaci świata, jakby społeczeństwo nasze składało się z dzieci, którym wiele, bardzo wiele rzeczy widzieć nie wolno — aby się czasem nie zepsuły. I nie widzą nasi koryfeusze, że jednak owe teorye, zasłaniane przed nami, owe fakty pokrywane głębokiem, pełnem namaszczenia milczeniem, są znane innym społeczeństwom, dyskutowane w tamtejszych organach prasy, poddawane pod sąd publiczności — i że mimo to wszystko owe społeczeństwa nie giną, ale rozwijają się, potężnieją i patrzą na nas z nieukrywanem politowaniem.

I dzisiaj przychodzi mi notować fakt takiego znamiennego przemilczenia wybitnej pracy naukowej, wydanej staraniem Polskiego towarzystwa nakładowego we Lwowie, i to pracy, odnoszącej się do naszej dzielnicy. Nosi ona tytuł: „Stosunki społeczno-ekonomiczne w ziemiach polskich zaboru pruskiego“ i omawia w istocie w sposób gruntowny i naukowy sprawy tytułem wskazane. Pisma zakordonowe poświęciły książce Dra I. B. Marchlewskiego już przed szeregiem tygodni sympatyczne artykuły; powołane do tego w pierwszej linji pisma poznańskie — odpowiedziały solidarnem milczeniem. Czy to jest solidarność nieuctwa, poczucie własnej niezdolności do oceny krytycznej, czy solidarność strachu przed autorem, nie będę rozstrzygał, dodam wszakże, że praca oparta jest w braku źródeł narodowych przeważnie na dziełach autorów niemieckich, statystyce i sprawozdaniach rządu pruskiego, że zawiera nie tylko wiele cennego materyału, ale i wnioski krytyczne, nad którymi warto się zastanowić.

Dla tego musimy owo wygodne a tak wymowne milczenie naszej prasy poczytać w każdym razie za wielki błąd, jakkolwiek przyznać musimy, że metoda wyrażenia się p. M. nie zdolna jest ułatwić przemówienia prasie poznańskiej. Trochę więcej spokoju, nie śmiem mówić wyrozumiałości, nie osłabiłoby naukowych wywodów i wniosków autora, a ułatwiłoby zrozumienie go — nawet w obozach przeciwnych.

Ramy artykułu nie wystarczają na omówienie wszystkich, a choćby tylko najważniejszych, przez autora poruszonych spraw; do tego potrzebaby chyba nowej książki. Dla tego zatrzymam się tylko na kilku punktach, odsyłając ciekawych czytelników do dzieła samego.

Wiadomo, z jakiem szczerem, czy udanem przerażeniem ogłaszał niedawno światu kanclerz rzeszy szybkie mnożenie się ludności polskiej i niebezpieczeństwo, grożące stąd niemieckiemu Michałkowi. Otóż p. M. wykazuje na podstawie cyfr statystyki pruskiej, że owo niebezpieczeństwo istniało jedynie w głowie pruskiego kanclerza. Wprawdzie liczba urodzeń wśród ludności polskiej przewyższa nieco liczbę urodzeń wśród ludności niemieckiej, ale ów nadmiar równoważy się znowu w znacznej mierze większą śmiertelnością wśród Polaków. [1])

Jeżeli mimo to stosunek liczebny dwóch narodowości obecnie przedstawia się dla Polaków korzystniej niż przed kilku dziesiątkami lat, pochodzi to nie z szybkiego mnożenia się, ale skutkiem tego, że Niemcy emigrują z naszej dzielnicy do zachodnich części monarchii w większej liczbie niż Polacy.

Czy kanclerz hr. Bülow, malując straszaka polskiego, o tem nie wiedział?

Tak zapadają w nicość pod uderzeniem cyfr, przytoczonych przez autora fantazye pruskich kanclerzy, ale p. M. jest równie nielitościwym dla naszych domorosłych, wielkopolskich fantazyi. — Kto ma sposobność stykać się z ziemianami naszej dzielnicy, ten nasłuchał się zapewne niejednokrotnie opowiadań, jak to niegodziwy polski chłop nie kontentuje się już tradycyjną, a tak bardzo wystarczającą płacą, ale z roku na rok zwiększa swoje wymagania, przebierające wszelką słuszność i miarę. Słuchaczowi zdaje się, że ten polski chłop opływa już chyba w dostatki, jak pączek w maśle, a biednemu właścicielowi ziemskiemu wypadnie chyba niezadługo — pójść z torbami. — Z książki p. M. przekonujemy się, że i to — fantazye.

Cyfry, między jakiemi waha się u nas roczna płaca robotnika rolnego, mówią raczej o nędzy i o głodzie, nie o dostatkach. Rodzina komornicza w jednym z powiatów poznańskich, (aby choć jeden przykład przytoczyć) zarabia rocznie 425 mk., do czego dochodzi deputat w ilości 6 ctn. zboża i 70 ctn. kartofli. Po opłaceniu komornego i t. zw. posyłki pozostaje na życie 336 marek rocznie. Rozumiemy, że przy takich zarobkach trudno wyżywić liczniejszą rodzinę, że śmiertelność dzieci, dla których braknie mleka, jest u nas większą, niż na Zachodzie.

Warunki, w jakich żyje ludność przemysłowa nie o wiele są lepsze, i p. M. dochodzi do wniosku na podstawie przytoczonych cyfr, że „śród robotników polskich, wyzyskiwanych przez magnatów Górnego Szląska są tacy, którzy pobierają mniejszą płacę, aniżeli kafrowie, wyzyskiwani przez angielskich robigroszów w kopalniach złota południowej Afryki!“

Rozpatrzywszy się w położeniu robotnika na zachodzie, stwierdziwszy na podstawie liczb postępującą proletaryzacyę naszego społeczeństwa, zapytuje autor, czy my w istocie jesteśmy — społeczeństwem cywilizowanem? — i taką daje odpowiedź: „Powiadam — jesteśmy! Nie dla tego, że mieliśmy i mamy wielkich poetów, artystów, uczonych i panów w sferze ducha. Tych mieć mogą, miały i mają społeczeństwa barbarzyńskie. Jesteśmy, powiadam, społeczeństwem cywilizowanem, możemy upomnieć się o ten tytuł, ponieważ — tam w nizinach, śród milijonowego szarego tłumu poczyna budzić się poczucie praw człowieczeństwa, poczyna nurtować poczucie krzywdy, świadomość swego położenia: mamy prawo upomnieć się o miejsce w plejadzie narodów cywilizowanych, bo owi robotnicy płatni gorzej od kafrów, żywiący się, jak hindusi, mieszkający, jak hotentoci, ci robotnicy, wyzyskiwani nad wszelką miarę, poczynają nabierać świadomości swego interesu klasowego, który jest interesem społeczeństwa, ludzkości całej. Ponieważ tak jest, ponieważ idea wyzwolenia, szczytny ideał kultury i szczęścia wszechludzkiego, znalazł oddźwięk wśród proletaryatu polskiego, więc — nie będziemy, jako naród „z ksiąg żywota wyjęci dla naszych ran i zmazy“ więc mamy prawo wołać z wiecznie młodym wieszczem naszej przyszłości:

Jednak wierzę,
Że ludy płyną jak łańcuch żurawi
W postęp...

Książka p. M. zawiera w sobie wiele różnorodnego materyału i społeczno-ekonomicznego i innego. Aby wyświetlić stosunek nasz do przemysłu świata, daje autor pogląd na stan produkcyi w Europie i w Stanach Zjednoczonych z ostatnich dziesiątków lat, a wracając do bliżej nas obchodzących rzeczy, kreśli w ogólnym zarysie historyę komisyi kolonizacyjnej, dając zarazem pogląd na stan parcelacyi ze strony polskiej, jako akcyi obronnej. Mówi także o polityce Koła polskiego, o naszem mieszczaństwie i jego stosunku do proletaryatu robotniczego — mówi o najistotniejszych potrzebach naszych, o naszej przyszłości — a prasa poznańska milczy.

Stwierdzam ten fakt i stawiam zapytanie, czy twarde warunki, w jakich żyjemy i walka, narzucana nam przez rząd pruski, pozwalają na takie milczenie, czy interesa nasze nie ponoszą szkody przez takie milczenie? Czy wobec groźnej potęgi, idącej na nas pod hasłem zagłady obojętną jest postawa, dążenia, polityka, poziom kulturalny narodowości polskiej, czy obojętne jest, co się o tem pisze?—Choćbyśmy nawet uznali większość środków antypolskich, jakie dzisiejszy szowinizm pruski przeciwko nam wytacza, za chybioną, jednego lekceważyć nam nie wolno. Mam tu na myśli usiłowania około podniesienia kultury i nauki niemieckiej w naszej dzielnicy z niedwuznacznym zamiarem oskrzydlenia nas tym sposobem. — Możemy przeciwstawić potędze politycznej Prusaków żelazną wytrwałość i przywiązanie do naszego narodowego sztandaru, miljonom rzucanym na szalę walki, mrówczą pracę i oszczędność — nauce i kulturze można przeciwstawić ze skutkiem, tylko naukę i kulturę.

Potęga umysłowa jest czynnikiem o wpływie przemożnym, często rozstrzygającym wśród walk narodowościowych. Nie wolno więc nam ignorować dzieł naukowych, omawiających warunki naszego bytu narodowego, z jakiejkolwiek one pochodzą strony.

Niemir.

[1]) Chodzi tu przedewszystkiem o większą śmiertelność dzieci, spowodowaną z jednej strony niedostatkiem, z drugiej brakiem oświaty, pociągającym za sobą niewłaściwe metody odżywiania noworodków. Widzimy więc, jak ważnym czynnikiem we walce narodowościowej jest uświadamianie ludu pod względem hygieny.

„Rozbiór Polski zbrodnią.“

Mowa posła p. I. Głębockiego w sejmie w odpowiedzi ministrowi Rheinbabenowi.

Na świetną mowę posła I. Głębockiego, znaną naszym czytelnikom w wyjątkach, odpowiedział minister Rheinbaben dość zgrabnymi wy-

kr[illegible] ale [illegible] — wykrętami, które nie obaliły [illegible] wywodów naszego posła. [illegible] poseł Głębocki wykazał całą nicość przemówień rządowców w drugiej mowie, którą podajemy niniejszem z drobnemi skróceniami według przekł[illegible] Dzien. Berl.“

„Zdaje się jakoby niewinna moja wzmianka historyczna o *orle białym*, który przez tysiąc lat roztaczał skrzydła nad ziemiami polskiemi, pozbawiła snu dzisiejszej nocy pp. kolegów Ehlersa i v. Arnima. Doprawdy tak źle im nie życzyłem. M. P. biały orzeł z osłabłemi skrzydłami nie powinien Was przecież *przerażać*.

Przy tej sposobności p. Ehlers wspomniał, że pod panowaniem białego orła nie kwitły bynajmniej dzielnice będące dziś prowincyami pruskiemi. Nie myślę się z nim sprzeczać o to: przyznaję mu nawet racyę. Przecież wówczas, pod panowaniem polskiem *nie było żadnych milionowych datków dla owych prowincyi*. (Bardzo słusznie! na ławach polskich) *nie było żadnych podarków* (Liebesgaben) *żadnych dodatkowych pensyi*

(Bardzo słusznie! u Polaków.)

więc bardzo chętnie wierzę, że panom podoba się daleko więcej pod panowaniem pruskiem. Wspomniał p. Ehlers także o słynnej sprawie Rösslera z Torunia, o śmierci toruńskiego burmistrza —

(Głos: o egzekucyi!)

Owszem, o egzekucyi toruńskiego burmistrza. Nie przeczę, był to smutny wypadek, który osądzamy należycie i nad którym ubolewamy.

Ale, m. p., był to jedyny wypadek tego rodzaju w tysiącletniej historyi Polski, a zdarzył się właśnie pod panowaniem króla, pochodzącego z *niemieckiego* domu.

(Bardzo dobrze! u Polaków; śmiech po prawej [illegible] stronie.)

Tak jest, pod panowaniem elektora saskiego Augusta, który zarazem był [illegible] królem polskim.

Teraz m. p., zwracam się do wczorajszych wywodów p. ministra Rheinbabena. Pan minister zarzucił mi pewne wzburzenie w wczorajszej mowie mojej. Może być, i jestto też do wytłomaczenia, że raz po raz mówiłem goręcej, lecz to już wywołuje rzecz sama. Lecz w takim razie zarzucam i ja p. ministrowi, że nie powiedział nam, z jakiego powodu był tak wzburzony podczas mowy swojej, i to od początku aż do końca, dla czego mowę swoją wygłosił ze wzburzeniem mówiącem więcej niż słowa. [illegible] *minister mówił po prostu ze złością!* — Zresztą nie myślę brać to za złe p. ministrowi; przeciwnie, jestem z tego zadowolony; [illegible] według znanych słów mędrca ma rzadko kiedy racyą ten, który się złości! Wnioskować ztąd mogę chyba, że *i złoszczący się pan minister nie ma racyi.*

(Wesołość.)

P. minister pytał, dlaczego, jeżeli politykę polską rządu pruskiego uważamy za *partactwo*, tak się o nią gniewamy. Na to miałbym odpowiedź łatwą. Mógłbym odpowiedzieć p. ministrowi: czynimy to z życzliwości dla monarchii pruskiej; lecz nie odpowiem w ten sposób, gdyż powątpiewam mocno, czyby odpowiedź taka znalazła wiarę u p. ministra i u innych.

Natomiast stawiam p. ministrowi pytanie: czy za to, że ministrowie pruscy nie umieją być mężami stanu, ma cierpieć biedna ludność polska i przez dziesiątki lat ma być wystawianą na męczarnie, które rząd uważa za nieodzowne w interesie swej polskiej polityki? Tego ludność znosić nie potrzebuje. Róbcie politykę jaką chcecie, lecz my mamy prawo żądać, żeby przy tej polityce Polacy w żadnym kierunku poszkodowani nie byli w swoich prawach, żeby nie byli dręczeni i traktowani jako obywatele drugorzędni. (Bardzo słusznie! Polacy.)

M. p., z pewnością jest pewna słuszność w pytaniu p. ministra; myśli on dość logicznie, gdy przypuszcza, że właściwie nie mamy powodu gniewać się, jeżeli system ów uważamy za chybiony. Jesteśmy jednakże na tyle uczciwymi i bezstronnymi, *aby potępić głupstwo, bez względu na to, czy głupstwo to przyniesie nam korzyść czy nie, jeżeli połączone jest z niesłusznością. A w pruskiej polityce polskiej zbratane właśnie jest głupstwo z nieprawością; nie wiem tylko, które tu z nich przeważa. — Złączone są tak ściśle z sobą, że jeżeli zwalczamy nieprawość, głupstwa pominąć nie możemy.*

Pan minister krytykował następnie przytoczone przezemnie przypadki, za pomocą których wskazywałem, że urzędnicy dziś już szykanują ludność polską. Wyraził się ogólnikowo, że przypadki, które tutaj przytaczamy, pokazują się zwykle w zupełnie innem świetle, gdy się je zbada. Dowodu na swe twierdzenie, nie dał jednak p. minister i dlatego nie mogę go uważać za słuszne. Być może, że przy wielkiej obfitości materyału, jaki zawsze posiadamy, zdarzy się niekiedy, iż jaki taki wypadek nie zupełnie tak wygląda, jak go na mocy nadesłanych nam informacyi przedstawiliśmy; lecz to zdarza się z ministrem, a nawet gorzej jeszcze. Zdarzyło się niedawno, że pewien pruski minister odczytał tu *fałszywy dokument*, aby tylko coś módz udowodnić przeciw Polakom. Nie zdarzyło się to nam nigdy jeszcze, fałszywych dokumentów jeszcześmy nigdy nie przytaczali.

(Bardzo dobrze! Polacy.)

Że przytoczone przezemnie przypadki były p. ministrowi arcynieprzyjemne, rozumiem doskonale; przecież co dopiero protestował tak uroczyście przeciw zarzutowi szykany ze strony urzędników. Przypadki owe wykazały właśnie zupełnie odwrotną rzecz. Że obszerne omówienie sprawy Anioły nie podobało się specyalnie p. ministrowi, pojmuję jeszcze lepiej. Wiedziałem z góry, że fakt narodzin polskiego dziecka p. ministrowi nie sprawi radości.

(Wesołość.)

Następnie zajmował się p. minister historyą krzyżaków, przyczem opiewał panowanie krzyżowych rycerzy jako najwyższą pracę kulturną. M. p., rozumiem i to; dziś właśnie potrzebną jest gloryfikacya zakonu krzyżowego, aby módz sławić to, co czynią *krzyżacy teraźniejsi.*

(Bardzo słusznie! u polaków.)

Lecz jaką była w rzeczywistości kultura, którą rozpowszechniał zakon krzyżacki? M. p. na to przytoczę wam kilka dowodów ze źródła, pod każdym względem niepodejrzanego. Jest nim historyczne dzieło Voigta, znanego chwalcy niemieckiego zakonu. Przeczytam panom kilka zdań z owego dzieła. W sprawozdaniu o stosunkach w kraju wystosowanem do wielkiego mistrza w Malborgu przez pewnego kapłana, czytamy:

„Lecz gdzież jest tutaj cnota? Im większe święto, tem większych wybryków i większej rozpusty dopuszczają się dziewczęta i mężatki od jednej północy do drugiej. Gdy rano wybije druga lub trzecia godzina, skradają się dopiero do domów z pełnym żywotem kości, a gdy te dojrzeją, to wyrzucają je do zamkniętej skrzynki lub łamią kręgi i wrzucają dziecko do Nogatu, lub w garnkach zakopują pod progiem chlewów, lub piją odwar ziół, by dziecko przyszło na świat nieżywe. A gdy jaki poważny mąż wraca z żoną wieczorem po piwie do domu, to dość jest bezżennych pijanic, którzy pod miastem, lub w bramie na otwartej ulicy, gwałtem porywają mężowi żonę i czynią z nią, co im się podoba.“

Dalej powiada:

Nawet żydzi i poganie nie rządzą się tak głupiem prawem, jak niemiecki zakon.

Tak pisze gorący zwolennik zakonu! Wreszcie kończy:

Podobno jak obywatele i zakonnicy, popełniała często i szlachta — a

więc za przykładem zakonników — wybryki niemoralne i brutalne. Opowiadają o okropnościach, których nie można powtarzać. Nawet w Malborgu, w pobliżu mistrza, młodzi szlachcice i obcy rycerze popełniali najokropniejsze występki i czyny niemoralne.

Taki obraz roztacza historyk, o którym wiadomo notorycznie, że był wielkim przyjacielem zakonu.

Co się tyczy strony ekonomiczno-politycznej, mogę tylko wskazać na wiadomy fakt, że nikt inny jak właśnie ludność niemiecka owych krajów usiłowała ukrócić bezprawie Krzyżaków; *że ludność ta niemiecka błagała w Krakowie na klęczkach króla polskiego, aby ją uwolił od niegodziwości krzyżackich.*

(Słuchajcie! słuchajcie! u Polaków.)

Dalej m. p. pragnę wam z dzieła Bluntschli'ego o prawie państwowem przytoczyć to, co on mówi o niemieckim zakonie. Tenże zakon zakazał pod karą śmierci posługiwać się językiem wendyjskim. Bluntschli nazywa ten zakaz barbarzyńskim. Taki wyrok wydaje niemiecki pisarz, niemiecki nauczyciel prawa państwowego, o zakonie krzyżackim.

Przytoczę panom jeszcze ustęp z wspomnianego dzieła historycznego Vogta. Deputacya, złożona z samych Niemców, udała się do Krakowa celem uproszenia króla polskiego, aby ich uwolnił z pod panowania Krzyżaków. Przewodniczył deputacyi gdański obywatel Gabryel Baysen, który tak przemówił do króla polskiego:

„Ponieważ w krajach i miastach pruskich od niepamiętnych lat panuje niesłychany gwałt i niesprawiedliwość, postanowiono jednozgodnie nie znosić nadal gwałtu i niesprawiedliwości Krzyżaków. Że zaś kraj pruski od dawna i panowanie w nim Krzyżaków zawdzięczać należy Polsce, a Krzyżacy sami w królu polskim uznają swego zwierzchnika, przeto nikt inny nie ma prawa do tego kraju jak Jego Królewska Wysokość.“

M. P. Na tem mógłbym zapewne porzucić ten temat, gdybym nie miał wszelkiego powodu do zapytania: jak wyglądają wczorajsze twierdzenia, które postawił z szczególnym zapałem pan minister o wspaniałości niemieckiego zakonu, o świetle prawdy, w świetle nienaruszalnych faktów? Jak wygląda w tem oświetleniu gloryfikacya zakonu ze strony prezesa ministrów w jego mowie etatowej? Można tedy zrozumieć, że zakon niemiecki musiał zginąć w skutek swego tyrańskiego, nieludzkiego panowania, że musiał uledz losowi, jaki bywa udziałem wszelkiej zgnilizny.

Pan minister mówił następnie o tem, w jak nędznym stanie rząd pruski przejął kraje polskie przy rozbiorze Polski. Jeżeli go dobrze zrozumiałem, użył on przytem wyrażenia „polska gospodarka.“ Nie wiem dokładnie — jeśli go atoli użył to pragnąłbym zwrócić mu uwagę na to, że uszczypliwe określenie „polska gospodarka“ oddawna straciło swoje znaczenie; prześcignęło je i przewyższyło nowsze wyrażenie „*niemiecka gospodarka*“ w obecnych czasach. Zwracam uwagę na liczne zbankrutowane banki niemieckie, które upadły w roku zeszłym i przedostatnim, na przepaść zepsucia, jaka się otworzyła przy tej sposobności. Tego przecież Panowie nie moglibyście zapomnieć, toż o tem mówiono w świecie całym i przy tej okazyi zrodziło się wyrażenie o gospodarce niemieckiej. Niech panowie zatem nie występują z takiemi rzeczami, ponieważ bijecie samych siebie przez to!

Jak wyglądały w rzeczywistości owe kraje, o których mówił pan minister, to wykazał między innemi doskonale kolega Stychel przy obradach nad etatem wyznań i oświaty. Odczytał on autentyczny referat pruskiego komisarza, który z ramienia króla pruskiego miał rewidować szkoły, jakie wówczas istniały w Polsce. Panowie mieliście sposobność dowiedzieć się z referatu autentycznego, że ów pruski komisarz nie miał dość słów pochwały, by wysłowić stosunki szkolne, jakie panowały w Polsce, by je przytoczyć jako wzór do naśladowania. Jeżeli nawet sami komisarze pruscy przedstawiają wówczas te stosunki w tak pięknem świetle, to niezawodnie dzisiejsze świadectwo pana ministra Rheinbabena nie będzie miało wobec tego żadnej wartości. Ale MP., choćbyśmy przyznali nawet, że owe polskie kraje znajdowały się w stanie zniszczenia, to któż temu był winien? Winni temu byli między innemi pruscy huzarzy, którzy tam gospodarowali.

(Śmiech i głosy na prawicy. Wielka prawda! w Kole polskiem.)

Jeżeli ten pan tam nie chce temu dać wiary, natenczas przedłożę mu dowód prawdy, któryby musiał mu wprost zaimponować. Mam przed sobą list króla Fryderyka II do hr. Schulenburga, pułkownika huzarów, którzy już przed rozbiorem stali załogą w Polsce. Król pisze:

Pułk nic w Polsce nie robił, tylko *plądrował i wstyd czynił wojsku,*

(Słuchajcie! Słuchajcie! w Kole polskiem.)

jego niedbałość jest winną temu, że pułk nie jest w porządku, a jeżeli go znowu do tego nie doprowadzi, natenczas zamiast go awansować, przyślę innego dowódzcę.

Dalej pisze Fryderyk II:

To nie pułk huzarów, tylko cyganów.

(Słuchajcie! Słuchajcie! w Kole polskiem.)

A zatem MP. Wasz własny król widział się zmuszony nazwać pruskich żołnierzy, którzy stali załogą w Polsce bandą cygańską.

MP. Macie tedy nawet królewskie świadectwo na to, jak Prusacy sami gospodarowali w polskich krajach już przed rozbiorem. Wobec tego tłomaczy się, że, skoro Prusacy, a z nimi Rosyanie przedtem kraj spustoszyli, potem przejęli pustynię. Ale to tylko mówię pobocznie! Nie kładę na to oczywiście wielkiej wagi. Wiele więcej znaczenia przypisuję pytaniu: dla czego, jeśli tak było, jak to przedstawił pan minister, zabrały Prusy wówczas owe kraje dla siebie? Dla czego zagarnęliście owe kraje dla siebie? Dla czego zagarnęliście owe pustynie i przeładowywaliście sobie przeze niemi żołądek?

(Śmiech na prawicy).

MP. Jeżeli stawiacie tutaj tego rodzaju twierdzenia, jak te, które wypowiedział wczoraj pan minister, to wymierzacie przez to sami policzek własnym przodkom, jakże bowiem wielka musiała być u nich żądza posiadania ziem obcych, skoro nie *cofali się wówczas ani przed gwałtem, ani oszukaństwem, ani żadną wogóle zbrodnią, byleby posiąść takie pustynie, jak Pan powiada?*

(Niepokój na prawicy. — Bardzo dobrze! — w Kole polskiem.)

Niewątpliwie, MP., było to zbrodnią — tak rzecz nazwał Fryderyk Raumer, wasz własny historyk. Powiedział on: *rozbiór Polski był zbrodnią.*

(Wielka prawda! — w Kole polskiem.)

Następnie pan minister wysławiał panowanie pruskie w polskich dzielnicach na wszystkie tony i [illegible]awił je, jako dobrodziejstwo [illegible] ludności polskiej. Jakich dobrodziejstw doznawała ludność polska, odkąd zawitało nad nią panowanie pruskie, o tem świadczą męczeńskie dzieje ludności polskiej od dziesiątek lat, *to okazuje krzyk oburzenia polskich matek i dzieci* — to pokazuje się z częściowego wyjęcia ludności polskiej z pod konstytucyi, wyświecaliśmy tutaj tak często, to uczyniłem wczoraj, to odświeży w pamięci etat kolonizacyjny. Najprostsze prawa ludności polskiej narusza się, obraża. Jeżeli wobec tak namacalnych faktów chce się jeszcze mówić o *dobrodziejstwach* ze strony rządu pruskiego wobec ludności polskiej, to *uważam to za szyderstwo, któremu okazałbym wzgardę, gdyby było warte mojej wzgardy!*

Pan Rheinbaben mówił o pokoju, którego pragnie. M. Panowie. Dopóki będziecie nas obdarzali dotychczasowemi dobrodziejstwami, dopóty nie będzie pokoju, wtenczas nie może być pokoju. Wierzę chętnie tak Panom, jak i panu ministrowi, że pragniecie pokoju z nami — nie chcę przeczyć temu — ale jakiegoż chcecie pokoju? *Pokój, jaki nam dać chcecie, ma być pokojem cmentarza, na którym leży pogrzebana polskość.* .. ..
(Wielka prawda! — w Kole polskiem.)

M. Panowie. Jeżeli sądzicie, że osiągniecie ten pokój, w takim razie — powtarzam to — nie zazdroszczę Wam Waszej mądrości dyplomatycznej i bystrości, a cóż dopiero Waszego poczucia ludzkości."
(Huczne brawo — w Kole polskiem.)

„ski" i „ska" w parlamencie.

Porażka rządu pruskiego.

Szowinizm pruski, nie znający granic, rozszalał się tak, że płodząc coraz to nowe szykany doszedł do granic śmieszności i bezsensu. Z tego źródła bezmyślnej nienawiści do wszystkiego co polskie wypłynęły szykany urzędu pocztowego, nakazującego adresować listy po niemiecku i zabraniającego listonoszom rozmawiać po polsku, z tego też źródła powstały trudności, jakie urzędy robią często Polkom przy zapisywaniu w księgach urzędu stanu nazwisk żeńskich z końcówką żeńską. Urzędy upierały się przy zmienianiu samowolnem końcówki „ska" na „ski." Polka mogła mówić, że przecież wie lepiej od urzędnika jak się sama nazywa, ale nie! — są wypadki gdzie urzędnik pruski wie wszystko najlepiej i gotów, Ci, Czytelniku, wykładać nawet, że się nie nazywasz tak jak się nazywasz.

Przy trzeciem czytaniu etatu ministerstwa sprawiedliwości, podał poseł dr. Z. Dziembowski wniosek o zniesienie odnośnego rozporządzenia, które sprzeciwia się wyraźnej uchwale parlamentu. Poseł Dziembowski wykazał, że polska ludność ma prawo żądać, aby nie pisano fałszywie jej nazwisk. Sekretarz stanu Nieberding odpowiedział, że nie wie (?!) o żadnem rozporządzeniu, które sprzeciwiało-by się kodeksowi cywilnemu.

Wobec tego oświadczenia poseł dr. Komierowski stwierdził, że pruski minister spraw wewnętrznych zeznał, że urzędnicy stanu cywilnego mają żądać dowodu, iż nazwisko zapisywane pisze się rzeczywiście na „ska," w wypadkach wątpliwych, a gdzie nie ma wątpliwości, że osoba jest polskiej narodowości, zapisywać nazwiska żeńskie z końcówką „ka."

Znany hakatysta p. Tiedemann usiłował wyjaśnić po swojemu rozporządzenie ministeryalne i jego oświadczenie. W ciągu ostatnich lat spolszczono wiele (?) polskich nazwisk jak Szulc, Szuman, Wolszlegier więc należy zapobiedz dalszej polonizacyi. Polacy — mówił p. T. — w ogólności nie mają powodu do skargi, a posłowie polscy podnoszą tę sprawę w parlamencie, by narobić wrzawy w celach agitacyjnych.

Na to poseł dr. Dziembowski odparł, że na sprawiedliwość władz w Prusach liczyć nie można, bo odrzucają one nawet najsłuszniejsze żądania ludności polskiej. Trzeba się zatem odwołać do kanclerza i parlamentu.

Po przekonywujących wywodach posła Dziembowskiego sekretarz p. Nieberding zabrał głos raz jeszcze i próbował ratować się, ale *przy głosowaniu przyjął parlament rezolucyą polską znaczną większością* głosami Polaków, centrowców, socyalistów, a nawet kilku zagorzałych konserwatystów przeciwko hakatystom, konserwatywnym i narodowym liberałom.

Tak tedy „ska" wyszła zwycięzko, a *rząd pruski odniósł niespodziewaną porażkę.*

Nie mamy wszakże powodu do wielkiej radości, ani nie możemy z tego wysnuwać wniosku, aby w usposobieniu parlamentu względem nas zaszła jaka zmiana. Bynajmniej. Zwycięztwo zawdzięczają Polacy raz temu, że sprawa ta sama przez się nie należy do szczególnie ważnych, a powtóre — wypadkowi czyli przypadkowemu składowi izby parlamentarnej.

Ale i to dobre. Bądź co bądź podnieść należy, że z dwojga złego parlament jest mniejszem od sejmu, bo w izbie pruskich junkrów nawet wypadkiem nie udałoby się wywrzeć nacisku na rząd i uzyskać chociażby najbłahszą koncesyą w imię najprostszej sprawiedliwości.

Koło polskie w parlamencie może też wpisać na swe dobro to zwycięstwo lubo drobne i — zaczerpnąć z niego otuchę do dalszej walki o nasze prawa. A otuchy i wiary w siebie nie ma pomiędzy posłami za wiele.....

Lector.

Nie wywołujmy wilka z lasu!

Jesteśmy narodem nawskroś konserwatywnym i z tego słyniemy daleko. Gdyby ten konserwatyzm nasz ograniczył się tylko do rzeczy dobrych, nie należałoby się nań gniewać; my atoli najczęściej z szczególną wytrwałością konserwujemy rzeczy złe, stare grzechy, błędy, fałszywe zasady i poglądy. Dzieje się to mianowicie w polityce. Formułka lub frazes, które w danej chwili zdobyły sobie prawo obywatelstwa, zamieniają się z czasem na rodzaj dogmatu; tem droższe są dla nas, im bardziej — myszką pachną. Powtarzamy je bezmyślnie, nie bacząc na to, czy w zmienionych warunkach, stosunkach i okolicznościach mogą mieć jeszcze jakąkolwiek wartość?

Był czas, gdy cała prasa nasza straszyła rząd *socyalną demokracyą.* „Pogróżki" te zrodziły się w latach, w których w Niemczech po znanych zamachach na Wilhelma I. i wobec nieco anarchistycznego wówczas kierunku niemieckiej socyalnej demokracyi, ogarnęła rządowe sfery niemieckie wielka wobec prądu tego drażliwość a nawet obawa. „Jeżli rząd — pisały wówczas gazety nasze a tak samo przemawiali nasi posłowie z trybuny parlamentarnej — dalej tak germanizować będzie dziatwę polską i jątrzyć lud polski, mianowicie zaś zwalczać Kościół, ruch socyalistyczny przeniesie się także do dzielnic polskich i strasznie zatruje życie rządowi." Być może, że wówczas pogróżki te nie przebrzmiewały bez wrażenia. Z biegiem lat atoli, gdy socyalna demokracya w Niemczech straciła niemal zupełnie charakter rewolucyjny, spoważniała, zamieniła się na partyę dla reform socyalnych — pogróżki takie straciły całe swe znaczenie i stały się wprost śmiesznemi. Dziś nie ulega chyba wątpliwości, że rząd wolałby, aby w dzielnicach polskich miał tylko niemieckich socyalnych demokratów, niż narodowców polskich. Mimo to część naszej prasy *dzisiaj* jeszcze potrząsa wytrwale straszakiem socyalizmu.

Podobnie ma się rzecz ze skargami naszemi na *protestantyzacyą dzielnic polskich przez komisyą kolonizacyjną.* Skargi te są tak stare, jak — coroczne memoryały komisyi. Zerwały się one, gdy pierwszy taki memoryał wykazał, iż komisya osiedla wyłącznie niemal *protestantów.* Był to czas, w którym silnie jeszcze drgały wspomnienia walki kulturnej, w którym w stronnictwie *Centrum* np. obok Windhorsta rej wodzili tacy fanatycy katoliccy (w dodatniem znaczeniu) jak *Reichenspergerowie i Schorlemer.* Na tych to nasze skargi i ta rzekomo protestantyzacyjna działalność komisyi podziałały jak płomień. Zaraz też zaczęli bić w komisyą z zdwojoną

mocą, a ponieważ dla nas było to pożądane i pożyteczne, przeto też wówczas te skargi miały wszelką racyą za sobą.

Od lat dziesięciu atoli stosunki ogromnie się zmieniły. Centrum stało się stronnictwem na pół *rządowem.* Dzielni owi fanatycy katoliccy w jego łonie pomarli lub się wycofali z życia publicznego. Dzisiajsze Centrum coraz bardziej oswaja się z polityką antipolską a mianowicie z komisyą kolonizacyjną. Zaczyna się już nawet godzić z zasadą, że „na wschodnich kresach“ *bezpieczniej* jest dla Niemiec osiedlać *protestantów,* niż *katolików.* Opór centrowców przeciwko komisyi słabnie z każdym rokiem, wykazały to mianowicie ostatnie obrady nad pomnożeniem funduszów kolonizacyjnych itp. U nas zaś w dzielnicach polskich powstała silna *hakata katolicka,* która usiłuje wnieść niemczyznę do wszystkich naszych *kościołów.*

Mimo to prasa nasza stale się jeszcze skarży na *„protestantyzacyą“* przez komisyą i pisze tak, jak gdyby pragnęła, ażeby rząd osiedlał u nas niemieckich *katolików.* Bezmyślne to, a *niebezpieczne* powtarzanie starych frazesów.

Na centrum najmniejszego one nie wywierają już wpływu ni wrażenia nawet, a i rząd drwi z nich bardziej jeszcze, niż dawniej. Po co i na co tedy wciąż je mamy na ustach — a raczej na łamach naszej prasy?

Niechże nas Pan Bóg broni, aby kiedykolwiek nie znalazły u rządu *posłuchu!* Jeżeli już komisya kolonizacyjna *„musi“* istnieć dalej i dalej działać — to niechże sobie osiedla *wyłącznie* protestantów. To zwiększy jeszcze *przedział,* istniejący między polskim a niemieckim żywiołem i wzmocni *narodową odporność* naszego ludu. Katoliccy osadnicy niemieccy natomiast, nasyłani do nas w większej liczbie, stali by się dla nas czynnikiem wprost niebezpiecznym. O tem ażeby się spolszczyli, dziś ani mowy być nie może. Przeciwnie nietylko sami pozostaliby Niemcami, ale *„wspólnością wiary“* niejednego prostaka polskiego przyciągnęliby na swoją stronę. Przedewszystkiem zaś staliby się rozsadnikiem niemczyzny *w polskich parafiach i kościołach.* Gdyby nawet budowano dla nich osobne kościoły niemieckie, to bliżej z nimi sąsiadująca ludność polska już to z wygody, dla skrócenia drogi lub z ciekawości również by do nich wstępowała i powoli oswajałaby się z niemieckimi kazaniami i pieśniami. Patrzmy tylko na *Śląsk.* Tam niemiecki katolicyzm największe czyni spustoszenia wśród polskiego ludu.

Powtarzamy więc raz jeszcze, niech nas Pan Bóg strzeże przed osiedlaniem u nas Niemców *katolików.* I tak już mamy ich aż nadto, a jakie ztąd wynikają utrapienia dla naszej władzy duchownej, dla naszych kapłanów, to chyba również wszyscy wiemy.

Czas więc najwyższy zaprzestać tych skarg przestarzałych, bo conajmniej nas one *ośmieszają.* Brzmią przecież tak, jak gdybyśmy pragnęli nowego jeszcze czynnika germanizacyjnego u nas. Prasa nasza codzienna niechże zaś raz wreszcie przyswoi sobie więcej *zmysłu krytycznego,* niech od czasu do czasu utarte swe komunały, „zasady,“ formułki i frazesy poddaje *rewizyi,* ażali nie są już zbyt przestarzałe i z tej przyczyny — wprost niebezpieczne dla nas?

Czujny.

Z TYGODNIA.

Już to Niemcy nie mają szczęścia w przyjaźni! Gdzie bądź się zwrócą z swemi afektami, czy to do Rosyi, czy do Anglii zawsze dostają odkosza. Napróżno też konkurowały Niemcy o względy Stanów Zjednoczonych, napróżno cesarz Wilhelm wysełał na drugą półkulę swego brata i ofiarowywał pomnik Fryderyka II., nie przyjęty przez Stany — niechęć do Teutonów wybucha tam raz po raz żywym płomieniem i Niemcy są znowu tak daleko w swych zabiegach o przyjaźń yankesów jak były.

Świeżo otrzymały Niemcy jaskrawy dowód amerykańskiej niechęci — z strony admirała *Dewey* pogromcy Hiszpanów, który flotę amerykańską nazwał najlepszą, ponieważ załoga składa się z inteligentnych, samodzielnych osobników, podczas gdy niemiecka marynarka posiada załogę pod każdym względem niższą. Admirał zapewniał, że pilnie przypatrzył się marynarce niemieckiej i wyraził przekonanie, że powszechnie *przeceniają* jej ewentualną bitność i doskonałość. Dalej admirał twierdził, że rewia floty amerykańskiej na wodach karaibskich była cenną *lekcyą dla cesarza niemieckiego* i to głównie dla cesarza, który mógł był przyjść do przeświadczenia, że Niemcy żadną miarą nie mogły by stawić czoła tak potężnej flocie.

Można sobie wystawić jak przyjęto w Niemczech to orzeczenie, zwłaszcza w kołach, gdzie marynarka jest szczególnie ukochanem dzieckiem. Posypały się wymyślania na Dewey'a i Stany Zjednoczone i zmuszano adm. Dewey'a do publicznego oświadczenia, że nie miał zamiaru uchybić ani cesarzowi, ani marynarce niemieckiej. Takiem zadośćuczynieniem kończą się zwykle tego rodzaju sprawy, ale *wrażenie* mowy Dewey'a pozostanie długo, zwłaszcza, że zdarzyło się to tak szybko po odmownej odpowiedzi Stanów na zaproszenie eskadry amerykańskiej do Kilonii oraz po odrzuceniu prezentu cesarza Wilhelma w postaci pomnika. Wszystko to razem przekona Niemcy, że polityka niemiecka wobec Ameryki *jest zupełnie beznadziejna* — jak pisze pewien wielki organ.

Czy fiasco to nauczy Niemców czegokolwiek na przyszłość?

Pan *Combes* dokonał swego dzieła: spowodował wygnanie trzeciej kategoryi zakonów — zakonów Kartuzyanów. Combes zarzucił im mieszanie się do polityki i sprzyjanie ruchowi antyrepublikańskiemu. Przyznał on, że Francya przy obradach nad zakonami przechodziła najcięższą kryzys wewnętrzną. Rząd przeprowadził swój wniosek większością 100 głosów. Na tem skończyła się akcya parlamentarna nad nie autoryzowanemi kongregacyami męzkiemi i rząd masoński dopiął swego celu.

W dniu tym przyszło do rozruchów w miejscowości, gdzie znajdują się zakłady fabryczne Kartuzyanów. Robotnicy i studenci demonstrowali przeciw rządowi, który z tego mógł powziąść wyobrażenie o niezadowoleniu w narodzie z powodu wrogiej katolicyzmowi polityki.

Prezydent *Loubet* udaje się w podróż do Algieryi, w Afryce północnej. Pierwotnie miał mu towarzyszyć min. Combes, lecz ostatecznie prezydent wybierze się w podróż bez pierwszego ministra, który nie cieszy się popularnością.

Z wiosną, gazety poczynają mówić dużo o projektowanych podróżach monarchów na obce dwory. Król angielski *Edward* wyjeżdża do Portugalii, zaprzyjaźnionej z Anglią jako swym bankierem. Następnie ma udać się do Hiszpanii, Francyi itd. Cesarz Wilhelm wybiera się do Włoszech, gdzie niezawodnie odda pokłon także Ojcu św. Tymczasem kanclerz hr. Bülow przebywa pod włoskiem niebem i konferował tam z włoskim ministrem Prinettim. Car Mikołaj zaniechał swej podróży do Rzymu. Odwołanie przybycia cara do Włoch stoi w związku z aresztowaniem poddanego rosyjskiego Götza w Neapolu, który ma być wmieszanym w spisek na życie Mikołaja II.

W *Macedonii,* mimo wszystkie wysiłki mocarstw i Turcyi, powstanie rośnie i starcia powstańców z regular-

nemi wojskami są na porządku dziennym, a komitety rewolucyjne rozwijają wielką czynność. Jednakże rząd turecki wprowadza gorliwie reformy w życie, a prezydent komitetu macedońskiego Michałowski złożył urząd, oświadczywszy ku zdumieniu swych popleczników, że dalsze zbrojenie się przeciw Turcyi nie ma żadnego celu, bo naprawa losu Macedończyków spoczywa w rękach Europy.

Sejm pruski odroczył się. W ostatnich dniach uchwalono w trzeciem czytaniu ustawę w dodatkach na mieszkanie dla urzędników państwowych, przyczem poseł nasz ks. Stychel przemawiał wymownie. Dalej zajmowano się ustawą o *kolejach drugorzędnych*. Ustawa zapewnia budowę kilku kolei *w dzielnicach polskich.*

Zdaje się, że minister wojny *Gossler* wkrótce ustąpi z swego stanowiska. Jako następcę jego wymieniają jenerała v. der Goltz. Od dawna już p. Gossler miał być „znużonym.“ Wobec Polaków okazał się zawsze hakatystą, bronił przeciwko posłowi Chrzanowskiemu tych wojskowych, którzy szykanowali Polaków w wojsku, i to bronił bardzo niezgrabnie. To też nie uronimy łzy żalu za znużonym panem Gosslerem!

X. Y. Z.

Przegląd prasy.

Swietne mowy posła *I. Głębockiego* były widocznie dla rzekomych naszych „dyplomatów,“ którym wspomnienia ugodowe przeszły w krew, zbyt szczere, serdeczne, polskie! Podczas gdy nawet hakatystyczny „Berl. Tageblatt,“ pisząc o szermierce posła Gł. z ministrem Rheinbabenem wyznaje z ubolewaniem, że *„przebiegły Sarmata“ wyprowadził ministra z równowagi i zgotował mu porażkę“* — „Kur. Poznański“ i korespondent berliński „Dzien. Pozn.“ piszący pod znakiem (Omega) poddali mężne i świetne wystąpienie posla Głębockiego nieprzychylnej krytyce. *„Dzien. Berl.“* pisze w tej materyi:

„Mowy jego nie mogły oczywiście zadowolić zakapturzonych ugodowców, lecz za to tem gorętszem odezwały się echem w sercach narodu, draźnionego wiecznie w najświętszych swoich uczuciach. *One były mu wyjęte z duszy.* Niechaj poseł Głębocki nie zraża się aktem niewdzięczności, jakiej doznał ze strony małego odłamu własnych rodaków, — choć co prawda *w żadnem stronnictwie niemieckiem to nie zachodzi, żeby się ono wypierało swego posła za mężną i męską obronę swoich praw i interesów* — ale niechaj będzie przekonany, że gdyby zarządzono powszechne głosowanie co do tego, czy jego ostatnie dwie mowy odpowiadały chwili i były wyrazem uczuć społeczeństwa, *ogromna większość społeczeństwa najniewątpliwiej by stanęła po jego stronie.*“

W innym artykule *„Dzien. Berl.“* czytamy:

„W takich chwilach odpowiedź posła polskiego nie powinna być dyplomatyczną, lecz — męską — bo tego wymaga nasza *godność narodowa*, a w tym wypadku dyplomacya *byłaby tchórzostwem.*

„Nie mylimy się chyba twierdząc, że w tym specyalnym wypadku śmiały mówca polski miał po swojej stronie nie tylko tych, którzy z zasady przyklaskują każdej minifestacyi „ostrzejszego tonu“, lecz i te politycznie wyrobione żywioły, którym nie idzie zgoła o frazes, lecz jedynie o *męską obronę naszej godności narodowej.*“

Zarzuty czynione posłowi Głębockiemu spotkały się z energiczną odprawą całej prasy niezależnej. A cóż powiedział berliński korespondent (Omega) na swe uniewinnienie? Jak uzasadnia swe stanowisko ugodowca?

Otóż to ciekawe! Według niego „poseł Głębocki potwierdził ustępem końcowym swej pierwszej mowy *słuszność stanowiska hakatyzmu!“* — jak gdyby stanowisko hakatyzmu i hakatyzm wogóle można czemkolwiek uniewinnić! Orzeczenie to jest wprost skandalicznem, bo z gruntu nie polskiem i niegodnem cywilizowanego człowieka!

Nadto przygodny ten korespondent, wijąc się na wszystkie strony, w końcu wypowiada podejrzenie, że posłowi G. nie chodzi istotnie o obronę praw ludu, lecz o własną popularność i zapowiada nam, że „koszta piedestału dla trybuna ludu nie poniesie nikt inny — jak — ludność polska.“ Twierdzenia jednak tego nie uzasadnił ów korespondent. Nie jesteśmy go też szczególnie ciekawi, bo wywody ugodowców są nam dobrze znane i na szczęście przez ogół — wyrzucone na śmietnik polityczny.

Sprawy wyborcze w Prusach Zachodnich wywołały otwartą walkę pomiędzy ludowcami a duchowieństwem, zakapturzonemi ugodowcami oraz wszystkimi, którzy opierają się kandydaturze p. Kulerskiego. Ważnej tej sprawie poświęcamy osobny artykuł, tu zaś zaznaczamy tylko, że spór ten doprowadził do *rozwiązania wieca w Chełmży.*

Na kandydata w okręgu toruńsko-chełmińsko - wąbrzeskim postawiono ostatecznie tylko jednego i to p. red. *Brejskiego.* Gdy bowiem przewodniczący zaproponował na pierwsze miejsce ks. Odrowskiego, według *„Gazety Gdańskiej“* ozwały się głosy: **Nie chcemy księdza! Do Kościoła z księdzem!**

„Gdy na *drugie* miejsce przewodniczący proponował ks. dziekana Fryntkowskiego — czytamy w „Orędowniku“ — powstały znowu protesty i wołania: „Księża niech pilnują Kościoła!“ żądamy p. Kulerskiego!

„Po tem co się działo, komitet wyborczy miał obowiązek wezwać wyborców, ażeby sobie wybrali *drugiego* kandydata. Widocznie z obawy, że wyborcy wybiorą p. Kulerskiego, komitet pominął tę sprawę i przystąpił do uzupełnienia komitetu. Powstało znowu zamieszanie, bo wyborcy dopominali się, żeby na drugiem miejscu postawić p. Kulerskiego. Gdy się komitet temu opierał i zamieszanie wzrastało, policya wiec rozwiązała.“

Wynik ten oświetla *„Orędownik“* w tych słowach:

„Klęska księży na wiecu w Chełmży podniesie w ludzie polskim wysoko poczucie *samodzielności obywatelskiej*, a daj Boże, żeby stała się początkiem do prawidłowego uregulowania obywatelskiego stosunku ludu do księży.

„Niech się z księży nikt nie lęka, że rozwój ruchu ludowego doprowadzi do rozłamu między duchowieństwem a ludem. Do tego nie przyjdzie, bo obecny rozstrój jest wywołany chwilowo położeniem politycznem, i z czasem poważni księża sami uznają, że ich powaga w społeczeństwie, a więc po za Kościołem, nie może się opierać tylko na tem, że pewna część księży usiłuje w sprawach świeckich, narodowych, prowadzić lud na pasku.“

Następnie napiętnowuje *„Orędownik“* wystąpienie ks. Kujota w „Pielgrzymie“ przeciwko p. Kulerskiemu pisząc:

„Napadł on w „Pielgrzymie“ w szeregu artykułów na p. Kulerskiego, na jego życie prywatne w tak wstrętny i odrażający sposób, że włosy stają na głowie. To ma być kapłan katolicki, polski, który w bezwzględnych paszkwilach znęca się, wprost pastwi się nad p. Kulerskim, — za co? — że go lud chce wybrać posłem!

„Artykuły te robią wrażenie, że każdy uczciwy, szanujący się Polak powinien się wyprzeć własnego społeczeństwa, gdyby to społeczeństwo miało się w przeważnej swej części składać z ludzi tak moralnie i obywatelsko nastrojonych, jak ks. dr. Kujot.“

Ogólny wiec wyborców polskich w Westfalii — o którym pisaliśmy w zeszłym numerze — przyjął szereg rezoluyi, w których wyraziwszy zaufanie „głównemu komitetowi wyborczemu“ polecił głosować na p. Józefa *Chociszewskiego* z Gniezna.

„Sprawę wyborów ściślejszych — czytamy dalej w rezolucyach — zechce komitet główny roztrzygnąć dopiero po wyborach głównych, aby przy uchwale uwzględnić można zachowanie się wobec Polaków stonnictw niemieckich podczas walki wyborczej.“

W *Boukou* miał się odbyć wiec przedwyborczy, lecz zaledwie po zagajeniu wiecownicy zaśpiewali „Kto się w opiekę" jeden z żandarmów wiec *rozwiązał* podając za powód użycie mowy polskiej.

To samo powtórzyło się w *Wiemelhausen*. Oburzenie z tego powodu było wielkie.

Postępowanie policyi tłomaczy się tem, że w powiecie bochumskim wiejskim landrat rozkazał rozwięzywać zebrania, skoro-by przemówiono po polsku — chociaż wie chyba, że rozporządzenie takie sprzeciwia się landrechtowi jak orzekł najwyższy trybunał administracyjny.

Ale temi szykanami p. landrat nie zabije polskiego ducha!

Z Śląska donoszą, że polityka „*Katolika*" nowej doznała porażki ze strony Centrum, bo na zebraniu w Tarnowskich Górach dajczkatolicy oświadczyli się niemal wszyscy za obaleniem kandydatury p. *Królika*. Do „*Górnoślązaka*" piszą:

„Postanowiono zwołać raz jeszcze centrowy komitet okręgowy na Bytom i Tarnowskie Góry, aby postawiono innego kandydata na miejsce pana Królika."

Tak bywa tym, co liczą na przyjaźń Niemców.

B. M.

Głosy od przyjaciół.

Berlin dnia 28. 3. 03.

Czytając korespondencyą zamieszczoną w „Pracy" z Krotoszyna, o zwalczaniu rozwielmożnego karciarstwa w naszem Księztwie, postanowiłem także napisać o naszych w Berlinie, a mianowicie o piekarzach.

Z góry zaznaczyć muszę, że piekarze wszystkiej narodowości są skłonni do nikczemnej zabawy w karty, lecz nasi rodacy, którzy udają się do wielkich miast z przedsięwzięciem wydoskonalenia się w swym zawodzie, oraz zaoszczędzenia sobie grosza, snadnie dają się wciągnąć w niemieckie knajpy szulerskie, gdzie ich zgrywają. W istniejącem od lat kilku Tow. Piekarzy polskich zauważyłem dopiero po kilku latach jego istnienia, że i nasi rodacy piekarze zaczynają się bawić w gry hazardowe, przed posiedzeniem i po posiedzeniu i ogrywają się wzajemnie. Niech członkowie Zarządu bawią się w tego „bubka" i trzymają sobie bank. Często przychodzą tacy, którzy krótko należeli do Tow. lub wcale nie, i to tylko na to, aby grać w karty. Przynoszą oni zarazem takie karty w kieszeniach. Wprawdzie ci ostatni to ludzie wykolejeni, którzy chociażby wstąpili do Tow., mogą mu więcej zaszkodzić, niż pomódz, gdyż mają na celu tylko karty. Znam jednego rodaka piekarza z zacnej familii, który gdy przybył do Berlina, należał pewien czas do Tow. Piekarzy, pracował uczciwie, ale później gdy nauczył się od Niemców szulerstwa, rzucił wszystko i nie robi już 4 lata nic, tylko chodzi po większych kawiarniach i hotelach, czasami wyjeżdża za Berlin, nawet do innych miast, także do Poznania, aby uprawiać swoje podle rzemiosło. Z znajomymi zerwał zupełnie, bo cała Polonia go zna; między nimi głupich nie znajdzie, bo go zdemaskują. Aby u Niemców się nie zdradzać, że Polak, przezwał się po niemiecku. Mimo to zdarzyło się, że Niemcy sprawili mu baty za to, że ich ogrywał.

Moje uwagi nie odnoszą się tylko do piekarzy, lecz także do innych. Znam innych, którzy nie mając chęci do pracy, z kart tylko żyją. Zdarzyło się też naszemu ziomkowi restauratorowi, że policya zamknęła mu interes, bo uprawiano w nim szulerkę.

Występowanie w prasie naszej uważam za najlepszy środek przeciw hazardowi. A szulerów tych Towarzystwa nasze powinny wykluczyć raz na zawsze z swego łona, by nie zaszczepiali karciarstwa i nie zamieniali Towarzystw w spelunki karciarskie. Wogóle karty nie powinny się pojawiać w żadnem polskiem Towarzystwie. Jest obowiązkiem zarządów czuwać nad tem!

St. K.

✠

Z okolicy Senftenburgu 12. 3. 03

Może Szanowna Redakcya zużytkuje list mój dotyczący kolonii polskiej w okolicy Senftenbergu. Ziemia w tych stronach jest bardzo nieurodzajna; tylko gdzie niegdzie można natrafić na plan lepszej ziemi. Po większej części też okolica jest zalesiona. Natomiast są tu bogate kopalnie węgla brunatnego, który się ciągnie od Senftenbergu aż pod Finsterwalde, od Ruhland aż blizko pod Calau itd. Na tej przestrzeni możemy natrafić na bardzo wiele kopalń węgla brunatnego, które już zdala są widoczne przez wysokie kominy fabryczne, ponieważ każda kopalnia posiada fabrykę (niektóre i więcej jak jednę) przerabiającą surowe węgle na brykiety. W tych kopalniach i fabrykach jest zatrudnionych do *siedmiu tysięcy naszych rodaków* a może i więcej. Niektórzy z naszych są także zatrudnieni w cegielniach i hutach szklannych. Zarobek przeciętny wynosi w kopalniach od 75 do 100 marek, w fabrykach od 60 do 80 mr. miesięcznie a rzadko więcej, w cegielniach zaś od 2—3 mr. dziennie. Robota zarówno w kopalniach jak w fabrykach jest *niebezpieczna*, bo pochłania co rok dziesiątki ludzi. Kto posiada liczną familią z biedą może się wyżywić, gdyż pomieszkanie i żywność są bardzo drogie.

Kolonia nasza posiada kościół i szkołę katolicką w Senftenbergu, które powstały po większej części z ofiar naszych rodaków, częścią też z ofiar niemieckich katolików oraz od Tow. św. Bonifacego. Parafia nasza liczy blizko 6400 dusz, z tych przeszło 6000 Polaków. Kazania odprawiają się w jedną niedzielę po polsku, w drugą po niemiecku, co jest bardzo wielką krzywdą dla nas Polaków. Gdy jest kazanie polskie, panowie Niemcy przychodzą dopiero po kazaniu do kościoła a gdyby tak samo postępowali Polacy i nie chodzili na niemieckie kazania to ksiądz proboszcz mówiłby prawie do próżnych ławek, bo zaledwie 10 do 15 Niemców da się naliczyć w kościele. Ale nasz ospały ludek, choć nie rozumie co ksiądz mówi, jednak wypełnia miejsca Niemców, którzy potem powołują się na to, że podczas kazań niem. jest także kościół pełen. Mam nadzieję, że zarząd kościelny, który się składa z Polaków i jednego Niemca, (wybranego tylko z łaski Polaków) zajmie się tą sprawą i uprosi u biskupa w Wrocławiu więcej kazań polskich, słusznie nam się należących. W niedzielę, kiedy jest kazanie polskie, podczas mszy św. mamy także śpiew polski, który naszych współwyznawców niemieckiej narodowości oburza. Niektórzy z nich oświadczyli, że *gdy nadal śpiew polski rozlegać się będzie pójdą do kościoła ewangelickiego*. Że mamy śpiew polski podczas mszy św. jestto zasługą towarzystwa katolickich robotników w Senftenburgu.

Istnieje tu także pięć towarzystw polsko-katolickich, mianowicie jedno w Senftenbergu, w Meurostolln, w Zschipkau, w Klettwitz, i w Neu-Welzow. Może Szanowna Redakcya pomyśli, że na tyle tysięcy rodaków tutaj zamieszkałych, liczą nasze towarzystwa setki członków? Oby tak było! Ale pożal się Boże, wszystkie 5 Tow. liczy wspólnie do 300 członków a nie więcej. Natomiast mamy dużo takich Polaczków, którzy jak błędne owce błądzą po niemieckich Sport i Kriegervereinach przez co powiększają szeregi naszych najserdeczniejszych. Drudzy zamiast wstąpić do Tow., uczęszczać na zebrania i korzystać z odczytów, jakie się na posiedzeniach odbywają, wolą się ba-

grać w karty i przy kieliszku czas wolny spędzać. Do towarzystw należy po większej części młodzież nasza, która poczuwa się więcej do obowiązków narodowych, aniżeli starsi bracia. Dla tego też w zarządach poszczególnych towarzystw widzimy młodych wiarusów, którzy swe zadanie godnie sprawują. Z pism polskich czytamy: „Pracę", „Wiarusa Polskiego", „Wielkopolanina" i „Gazetę Toruńską" i „Grudziądzką" oraz niektóre inne pisma. Niestety możemy często natrafić w rodzinach polskich blatty niemieckie! Znam też takich rodziców, którzy sami dobrze po niemiecku nie umieją, dzieci wychowali na Niemców, co teraz własnych rodziców się wstydzą. Mamy także w kolonii naszej takich, którzy pożenili się z Niemkami a teraz żałują i lamentują kiedy już zapóźno. Przytoczę tutaj jeden przykład, jaki się zdarzył u nas w Meurostolln. Przed niedawnym czasem powiła żona (Niemka) pana W. (Polaka) syna, który podług umowy przedślubnej, miał być chrzcony w kościele katolickim. Tymczasem jak tu została wykonana wola ojca! Oto gdy ojciec był przy pracy matka zabrała synka, poszła do pastora i kazała go tam ochrzcić. A gdy ojciec powrócił z pracy do domu, musiał być zadowolony, że miał w kołysce małego Gottliebka. Po Gottliebie, przyszedł Fritz, a za Frycem poszedł także ojciec. Tak się dzieje niejednemu z naszych głupich Polaczków, którzy pozwolą się ułowić przez Niemki.

F. K.

Fernie, Britich Columbia (Kanada) 9. 3. 03

Szanowna „Praco!" Dawno już miałem zamiar przesłać trochę wiadomości, odnoszących się do emigracyi Polaków i innych pobratymczych narodów w te odległe strony. Naturalnie jak przeważnie wszędzie w Ameryce najliczniejszy kontyngens robotników przy ciężkiej pracy wydobywania węgla tworzą Słowianie, którzy niestety nie będąc z natury tak obrotnymi jak Irlandczycy, Walijczycy lub Szkoci zwykle tylko najprostsze roboty wykonują i do lepiej płatnych i wpływowszych sytuacyi rzadko dochodzą. Niespełna rok upłynął od strasznego wybuchu gazów w tutejszych łomach węgla. Sto pięćdziesiąt ludzi zginęło, w tej liczbie dzięki Bogu, nie tak dużo Słowian; podług autentycznych źródeł tylko 25 Słowian, między nimi 2 czy 3 Polaków. A to tylko dlatego, że wtedy liczba zatrudnionych Słowian była znacznie mniejszą, aniżeli dzisiaj. Z pomiędzy Słowian najliczniej są reprezentowani Słowacy, którzy dzięki swym spółkom nieźle się trzymają pod względem narodowościowym. Następnie Rusini, Chorwaci i Polacy, ci ostatni niestety najwięcej odosobnieni, bez związku, niezorganizowani.

Britich Columbia jest to stosunkowo mówiąc prawie dziewiczy kraj, nadzwyczaj górzysty. Zajmuje całą ogromną przestrzeń od Gór Skalistych aż do oceanu Spokojnego od wschodu na zachód, a od granicy Stanów Zjednoczonych aż do Alaski z południa na północ. Cała ta olbrzymia przestrzeń składa się tylko z gór pokrytych dziewiczym, wspaniałym lasem, z wąwozów i rzek bystro płynących. Naturalnie, że zwierzyny i ryb dużo. Z tej to może przyczyny jakby w myśl słów W. Pola: „W góry, w góry miły bracie, tam swoboda czeka na Cię," znajduje się w tych stronach sporo Polaków i Litwinów, ale najczęściej żyjących samopas bez żadnej z sobą styczności.

Rząd kanadyjski jest dosyć postępowy, kraj zamożny dzięki napływowi ogromnych kapitałów z Anglii, Szkocyi i Francyi. Jednakże tendencye centralizacyjne i wynaradawiające są silne i przykro myśleć o losach emigracyi Słowian i Polaków w te strony, którzy zaraz za przybyciem umiejętnie są rozmieszczani przez zręcznych agentów emigracyjnych, tak aby zamieszkiwali w oddaleniu jedni od drugich i nie łącząc się w większe masy jednolitej ludności, ulegli jaknajprędzej wpływom napierającej z wszystkich stron angielszczyzny.

Andrzej Skorzewski.



W. PREISS
150

Specyalny dom okryć damskich i stroju.

Poznań, Stary Rynek nr. 64.

L. Waszyńska

dawniej: **A. Depczyńska**

Poznań, Jezuicka ulica nr. 12, tuż przy Starym Rynku.

Poleca w wielkim wyborze

gustowne kapelusze damskie i dziecięce

od najskromniejszych do najwykwintniejszych.

Kapelusze modelowe.

Piękne kabatki damskie i dla panienek,

oraz 117

peleryny kolorowe, czarne i koronkowe.

Wielki wybór.

Ceny jaknajprzystępniejsze.



Spółka Szewska

Poznań, 138

St. Rynek 78, w pał. Działyńskich

poleca

tanie a dobre, przeważnie **własnego wyrobu**

obuwie.

---

2 uczni

z lepszem wykształceniem szkólnem przyjmie natychmiast (194

F. Kurowski,

Drogerya. — Inowrocław

Sobecki & Wrzesiński, Poznań.

Fabryka ogniotrwałych tektur na dachy i przetworów smołowcowych.

Kantor: plac Wilhelmowski 18 (Dom Przemysłowy)

Fabryka w Głównie p. Poznaniem. 171

Związek telefoniczny nr. 250.

Poleca:

Tektury ogniotrwałe (pape) przedniej jakości w rozmaitych gatunkach, pape izolacyjną na fundamenta, holcement, papier holcementowy, lepnik, (klebmasse) gudron, smołę preparowaną, włóknisty kit na dachy, karbolineum, czerwony lakier na dachy, szczotki do smoły, gwoździe do papy etc.

Saletra chilijska

nadeszła jako też

kainit i superfosfaty

poleca 720

po znanych tanich cenach

Centralna Drogerya

J. Czepczyński.

Telefon 238.

Rólnik kawaler, 28 lat liczący, posiadający 200 mórg dobrej ziemi wraz z masiw nowemi zabudowaniami, poszukuje na tej drodze

201

ZONY.

Panienki, dzielne gospodynie z majątkiem około 10,000 do 12 00 mk. raczą swe łask. oferty wraz z fotografią nadsłać do ekspedycyi „Pracy" pod lit. G. 201.

Za dyskrecyą ręczy się słowem honoru.

Anonimy nie zostaną uwzględnione.

Mleczarnia

w Wielk. Księztwie Poznańskiem, w pobliżu większego miasta powiatowego z garnizonem wojskowym, z kompletnemi budynkami i maszynami — masło premiowane na Wystawie Niemieck. Stowarz. Rolniczego — jest do sprzedania, ew. wydzierżawienia. — Łask. of. pod N. P. 216 do ekspedycyi „Pracy." 216

Patenty na wynalazki

wyjednywa i sprzedaje we wszystkich krajach 88

inżynier K. OSSOWSKI,

Międzynarodowe Biuro Patentowe,

w Berlinie W., Potsdamerstrasse 3.

Restauracya

automatyczna.

ul. Berlińska 6. Poznań, ul. Berlińska 6.

Pierwsza

podziwienia godna w Poznaniu.

Wielki wybór

zimnych i ciepłych potraw.

Piwa prawdziwe i miejscowe.

Wina i likiery Ia gatunku.

Najmodniejsze urządzenie automatyczne z zastosowaniem najnowszych wynalazków.

(System Pelcer & Co., Cöln, Ehrenfeld). 202

Założona 1873

„Westa"

Założona 1873

Bank wzajemnych zabezpieczeń na życie w Poznaniu.

764



Zabezpiecza kapitały płatne przy śmierci osoby zabezpieczonej.

Zabezpiecza kapitały płatne przy śmierci osoby zabezpieczonej ze skróconem składkowaniem.

Zabezpiecza kapitały płatne w chwili, gdy zabezpieczony dożyje pewnego z góry oznaczonego wieku, n. p. 50-go lub 60-go roku życia, lub zaraz w razie rychlejszej śmierci.

Zabezpiecza kapitały na studya, wojskowość i posag dla synów i córek.

Bióra w własnym domu św. Marcin 61.

Dywidendy udzielono za rok 1899 6%, za rok 1900 10%, za rok 1901 10%.

Poznań, dnia 1-go kwietnia 1908.
Szanownej Publiczności donosimy uprzejmie, że otworzyliśmy

w Poznaniu, przy ulicy Podgórnej 10a

obok Hotelu Francuzkiego, pod firmą

„Helvetia"

Nowy Poznański zakład komunikacyjny i Tow. przewożenia paczek.

Czynność nasza obejmować będzie: **pokój do pisania adresów, instytut reklam wszelkiego rodzaju, przewożenie paczek, transport mebli w mieście, opakowanie i przechowywanie tychże, przewożenie paczek w mieście, jako też i do podróży, frachtem i do pociągów pospiesznych,** na sposób urządzeń większych miast w Niemczech i zagranicą. Ponieważ Poznań coraz więcej staje się wielkiem miastem, uważaliśmy obecny czas za stósowny, ażeby taki zakład urządzić.

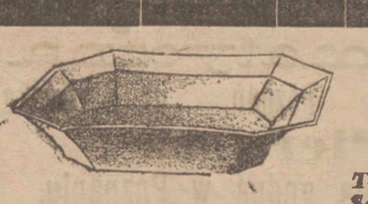
Oparci na długoletniej praktyce w tym kierunku, mając jaknajdokładniejszą znajomość tutejszych stósunków i dobrze wyuczony personał, jesteśmy w możności wszelkie nam powierzone zlecenia pewno i akuratnie pod gwarancyą wykonać.

Prosząc o łaskawe poparcie tego naszego nowego przedsiębiorstwa, pozostajemy

z wysokim szacunkiem

„HELVETIA" 841

Nowy Poznański zakład komunikacyjny i Towarzystwo przewożenia paczek.



Partyą białej porcelany

z nieznacznemi skazami

ofiaruję dopóki zapas starczy

Talerze gładkie i ang. po 6½, 9, 12, 16, 20, 22, 24 fen.
Salaterki po 8, 10, 12, 16, 20, 32, 45, 60, 72 fen.

Półmiski podłużne po 25, 30, 52, 90, 1,40. 2,00. ***okrągłe*** po 70, 1.00, 1,25.
Dzbanki, śmietaniczki, filiżanki etc. etc.

Najnowsze dekorowane serwisy do kawy
na 6 osób po 3, 4, 5, 6, 9, 12 mrk. 334
na 12 osób po 7,50, 8,50, 10,50, 14,— do 40 mrk.

Najnowsze dekorowane serwisy stołowe na 6, 12, 18 osób i więcej.

W. Janaszek, Poznań, ul. Wrocławska 3

Cudze chwalicie! Swego nie znacie!



Najwyższa nagroda
wielki medal złoty
od lekarzy i przyrodników polskich.

Najlepsze i najsmaczniejsze

=likwory=

są



(161)

Botanik

żołądkowy gorzkawy z ziół,

Regium

deserowy słodki z kwiecia,

Wiślanka

orzeźwiająca nalewka kwaskowa z owoców, z fabryki parowej likworów i wódek

KLOSKOWSKI & Co.

Poznań.

Fabryka i kantor:
ul. Berlińska nr. 15.
Skład detaliczny:
Małe Garbary nr. 4.

Telefon 1043.

Agentów poszuk.

Kupujcie, smakujcie! Swoje poznacie!

Kapelusze damskie

poleca

„Nanon"

Berlinska 12
róg ul. Wiktoryi.
Przystępne ceny.

Dwóch

czel. krawieck.

na stałą robotę od sztuki poszukuje 208

Antoni Mlyczko,
Bytom, Kaiserstr,

Posady dla bon i wychowawczyń

z doskonałym niemieckim.
Pensya 210—310 marek.
Wiadomość: 100

Karpińska
Warszawa, Sienna 2 e.
(Moniuszki 7.)

Tapety

w najnowszych deseniach ma na składzie
J. Rzendkowski
Nakło, rynek.

Szczurom

myszom śmierć „Ackerlon". Najlepszy środek! Tylko prawdziwe w paczkach 60 i 100 fen. w aptekach i drogeryach 81

Konopnicka.
Wybór pism
wydanie jubileuszowe, cena z przysyłką 1,20 mr.

Sienkiewicz.
Quo vadis
w oprawie cena z przesyłką 2,20 mr.

Poryłak Prof.
Słownik
polsko-niemiecki i niemiecko-polski opr. cena 3 mr. z przesyłką 3,20 mr.

Praktyczny kucharz warszawski zawierający 1503 przepisy różnych potraw, pieczenia ciast itd. cena z przes. 3,30 mr.

Norkowska de.
Najnowsza kuchnia wytworna i gospodarska cena z przesyłką 4,50 mr.

Kuchnia polska
niezbędny podręcznik dla kucharzy i gospodyń cena z przesyłką 2,20 mr.

Praktyczne przepisy pieczenia ciast świątecznych, a mianowicie bab, babek, placków, mazurków, tortów, strucli, chleba, bułek itd. Cena z przesyłką 1.40 mr.

Duniu mały
książka do nabożeństwa wydanie najnowsze z polecenia ks. Arcybiskupa Stablewskiego. Cena w opr. 2,25 mr., w skórkę z przes. 3,20 mr.

Powyższe książki polecamy i wysyłamy na życzenie odwrotną pocztą

Chrzanowski & Kucner,
Księgarnia. 83
Poznań (Posen)
naprzeciw kościoła św. Marcina.

Czeladź siodlarską 192

dzielną w wyrabianiu kufrów pozukuje

Juliusz Latz,
Fabryka kufrów, w Poznaniu

J. K. Jasielski

adwokat ludowy
(pozaśł. aktuaryusz sądowy)
w Poznaniu,
Wodna ul. 4 I ptr.

spisuje kontrakty, skargi, podania do wszelkich władz, obrony w sprawach kryminalnych, informacye w sprawach procesowych, reklamacye do podatku i wojskowości i wykonuje wszelkie prace piśmienne.

W. Janaszek, **POZNAŃ,** ul. Wrocławska 3.



Ramy do suszenia firan z chaczykami najpraktyczniejsze à 16,50

Maszyny do prania, wyżdżymaczki.

Drabki. Łóżka żelazne. Umywalki.

Garnitury do mycia emaliowane i fajansowe.

Noże, widelce, łyżki, łyżeczki.

Noże do krajania szynki.

Sztućce alfenid Christofle & Cie. 334



Menażki do octu i oliwy e. t. c.

nikl. à 2,00. 3,00. 4,50. 6,50. 9,00.

alfenidowe. 7,50. 9,00. 12—14,00 i t. d.

Szkło. kieliszki, szklanki e. t. c.

Specyalność wyprawy



Jako najlepszy system oszczędności należy się zbierać

Czerwone 343

marki rabatowe.

Fryderykowska ul. 16.

Książeczki do wlepiania oraz spis kupców, którzy odnośne marki rabatowe wydają, można każdego czasu nabyć **bezpłatnie** w składzie głównym.

Dla zwinięcia interesu

Zupełna Wyprzedaż!





serwisów porcel. do obiadu i do kawy.

Lampy wiszące, stołowe i ścienne.

pająki, kandelabry, słupy,

115 **noże, widelce, tace**

po każdej możliwej cenie.

POZNAN, ul. Wilhelmowska 13.

Hotel francuzki.

ul. Wilhelmowska 13, POZNAŃ (Hotel Francuski.)

Stanisław Dekiert

w firmie:

S. Dekiert & Co.

Całkowite wyprawy!

Poszukuje się kupna

majątku

jeżeli sprzedający weźmie w zamian *nader korzystnie tuż przy dworcu położoną kamienicę,* w bardzo ożywionem większem mieście powiatowem, gdzie wiele fabryk jak fabryka cukrownicza etc. etc. z król. gimnazyum, wyższą szkołą żeńską itd. itd.

Nadto kupujący, który z powołania jest rolnikiem dopłaca znaczną zaliczkę w gotówce.

Oferty uprasza pod lit. *A. Z.* do Eksped. „Pracy" w Poznaniu.

WSZELKIE DRUKI

od najprostszych do jak najwytworniejszych w jednym lub więcej kolorze wykonuje szybko i tanio

DRUKARNIA „PRACY"

Poznań, ulica Rycerska Nr. 38.

Poszukuje się dobrze prosperującej

piekarni

i gdzieby można założyć *skład kolonialny* na wielkiej wsi, gdzie kościół szkoła i dominium. Łask. oferty uprasza się do eksp. „Pracy" pod lit.: *K. N. 220.*

Najlepszą mąkę powszechnie znanej dobroci.

poleca na nadchodzące święta, oraz codziennie świeże

drożdże i masło

z dom. Będlewa i Wrączyną. Sprzedaż hurt. i cząstk.

G. Ritter,

Największy polski handel mąki, ul. Wodna 27.

Filia: ul. Kramarska 14. 331

Na prowincyi proszę żądać *mąki Rittera,* a nikt się na pieczywie nie zawiedzie. — We wszystkich miastach na prowincyi jest już zaprowadzona.

Na nadchodzące święta

poleca (222

najlepsze gatunki

MĄKI

we woreczkach z nieporosłej pszennicy.

MIGDAŁY i RODZYNKI.

Codzień świeże MŁODZIE i wybor. MASŁO stołowe po cenach jaknajtańszych

W. Naatz,

Poznań, ul. Wrocławska nr. 30.

Związek ekonomiczny.

Cukiernia 333

z pełnym konsensem w większem mieście powiatowem (gimnazyum i załoga wojskowa) z powodu stosunków familijnych bardzo korzystnie do sprzedania ewtl. do wydzierżawienia. Zgłoszenia przyjmuje eksped. „Pracy" pod lit.: 300

ŁOŻKA

żelazne i wyściełane dla dorosłych i dzieci.

Umywalki.

Wóziki

dla dzieci w wielkim wyborze.

RAMY

do suszenia firanek, bardzo praktyczne.

Drabki pokojowe od Mk. 5,00

poleca

J. Otmianowski

właściciele:

B. Ziętkiewicz — S. Mincikiewicz.

Poznań — Bazar — Telefon nr. 565.

Cenniki darmo i franko.

Szanownej Publiczności miasta Poznania i okolicy polecam moją

pralnią i prasowalnią

oraz

pręgierźnią firan i storów.

Dziewczę do odbierania i odnoszenia bielizny jest do usług Szanownej Klienteli.

Panny przyjmuje każdego czasu w naukę.

W. Niemierowicz, Św. Wojciech 22/24.

Resaga Cykorya iest najzdrowsza.

WIOSENKA.
(Mazurek).

Już idzie! znów ją mamy,
Bocianek już klekota:
Przez jasne wchodzi bramy,
Otwiera złote wrota.

Znikają białe pleśnie,
I ziemia dziś w całunie,
Do życia znowu wskrześnie,
Gdy zejdą w słońca runie....

Młodzieniec hoży kroczy
Przez miasta rynek stary,
A taki wciąż uroczy,
A takie tkwią w nim czary!

Ma piękną postać i lica,
Twarzyczkę urodziwą,
A szata nas zachwyca,
Tęczowe jej przędziwa!

To Lauffra wykonanie,
To Lauffra gust i szyk,
Lauffrowi więc uznanie
Niech złoży pan i smyk.

Olbrzymi wybór

gotowych ubiorów

męzkich i dla chłopców.

Ceny bez konkurencyi!

Rzetelna usługa! — Stałe ceny!

Georg Lauffer

mistrz krawiecki,

ul. Nowa nr. 1, I piętro.

Gospodarstwo 204

wraz z parową **cegielnią**, 35 mórg gruntu, na którym prawie całym znajduje się dobry pokład gliny na przeszło 8 metrów głęboko. **Maszyna i prasa** zupełnie nowe gdyż dopiero rok w biegu, przytem dom masiw budowany i kilka **szop** prawie nowych, w czysto polskiej okolicy jest od nierodaka dla działów familijnych pod *korzystnemi warunkami* natychmiast do sprzedania. *Fachowiec* ma zapewnioną egzystencyą. Zgłoszenia przyjmuje ekspedycya „Pracy" p. lit. **J. J. 111.**

---

i starszego i 4 młodszych

pomocników szklarskich

znających dokładnie swój zawód oraz oprawę obrazów i szklenie ołowiem poszukuję od 1-go resp. 15 kwietnia rb.

ST. WARCZYŃSKI,

Tczew — (Dirschau W. Pr.) 214

Fabryka ram, obrazów i szklarnia budowli.

Po długoletniej praktyce w kraju i zagranicą otworzyliśmy biuro budowlano-techniczne w Poznaniu i podejmujemy wszelkie prace w zakres ten wchodzące.

M. Powidzki, St. Ruszczyński,

architekci. 203

Poznań, Jerzyce ul. Karola nr. 2 I. p.

Rzetelna dostawa.

Długoletnia praktyka. | **Najnowsze aparaty.**

Destylacyom

poleca swe wypróbowane od znawców za najlepsze uznane wyroby.
Pierwsza Poznańska fabryka parowa olejî eterycznych, esencyi, nietrujących farb i destylarnia koniaków

Domagalski & Co.,

Poznań, ul. Bel ńska nr. 14/15.
Telefon 1043. 4

Darmo daje cenniki i 130 recept

do fabrykacyi wódek, likworów, nalewek, extraktów punczowych, limonad i win sztucznych, posiedzicielom koncesyi.

☛ **Poszukuje agentów.**

Przemysł słowiański.

Pewna egzystencya dla Wiarusa,

Kram

z pomieszkaniem w zupełnie nowym domu i w najlepszym położeniu mam, od 1-go października 1903 do zadzierżawienia, i tylko jest najstósowniejszy do interesu łokciowego itd, dla tego że tu takiego niema. 224

J. PANKANIN

w Więcborku (Vandsburg)

Puszki
blaszane do szparagów

Nożyce do szpalerów i róż.

LODOWNIE

(szafy do lodu) *ulepszonego systemu. Maszynki* amerykańskie do wyrabiania lodów.

ŻALUZYE

drzewiane i *rolosy* sztabikowe *do okien.*

MEBLE

ogrodowe (krzesła, ławki, stoły, fotele).
Krzesła trzcinowe, ściany drzewiane.
Maszynki do koszenia trawników.

WANNY

do kąpieli nasiadowych, zwyczajne i bujowe *Schaukelbadewannen — do kąpieli* potrz. *30 l.* po *42 mk.* za sztukę, bardzo praktyczne, poleca

T. OTMIANOWSKI

właściciele:
B. Ziętkiewicz i S. Mińcikiewicz.
Poznań — Bazar — Telefon Nr. 565.
Cenniki darmo i franko.
Adresować proszę: T. Otmianowski, Poznań (Posen.)

Polska restauracya w Berlinie

Linienstr. 111, 8 minut od dworca Friedrichstrasse, punkt zborny akademików, znakomita kuchnia polska; — przybywającym do Berlina służę informacyą!

Z głębokim szacunkiem 345

J. Raczkowski

W NAKLE jest większy (332

skład

w najlepszem położeniu dla każdego przedsiębiorstwa się nadający do wydzierżawienia.

Zgłoszenia przyjmuje

J. Janicki, Nakło.

Nie reklamowe | **przedsiębiorstwo.**



Berlińskie

mody mezkie

polecają się przez
znakomitą elegancyą, dobre leżenie, nadzwyczaj tanie ceny, największy wybór.
Tylko 213
68 I. Stary Rynek 68 I.

Gorzelany

kaw. 30 lat, trzeźwy i pracowity *poszukuje* 197

stałej posady

od św. Jana lub później (lecz jako żonaty). Dobre świadectwa i polecenia, odbył szkołę w Berlinie, obeznany dokładnie z machinami (elektrycznemi) uczony maszynista.

Łaskawe oferty uprasza się do ekspedycyi „Pracy" pod lit. *D. S. 19.*

Gnieźnieńska
fabryka cygar

poleca ogólnie za
„znakomite"
uznane wyroby w cenach po: 2,30, 2,50, 2,80, 3,00, 3,30, 3,50. 380, 4,00, 4 50, 4,70, 5,00, 5,50, 6,00, 6,50, 7,00, ,750 8,00, 8,50, 9,00 9,50 i 10,00 mrk. za 100 sztuk na próbę wysyłam [illegible] pocztową zawierającą [illegible] szt rozm. gat. ir. za zaliczką.

P. Urbanowski,
Fabryka cygar, Gniezno.

☛ Największy skład odleżałych cygar. 1

Z powodu wydalenia mnie ze

służby kolejowej jako Polaka, 336

poszukuje od zaraz stosownego zajęcia w mieście Poznaniu.

Łaskawe oferty przyjmuje ekspel. „Pracy" pod lit **B. nr. 336**

Ucznia

do handlu drogeryjnego przyjmie

J. Janicki.

Nakło. 333

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Prosimy odciąć.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für das II. Vierteljahr 1903 die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abtheilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 1,25 M.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 1,25 M. erhalten zu haben bescheinigt

...., den ....

Kaiserl. Post..





Murillo pinx

Św. Franciszek.

ALBUM „PRACY". „DRUKIEM" „PRACY"

Dział illustrowany.

Kalwaria*)

Od Annasza do Kaifasza. Od Piłata do Heroda.

Na górze las szumi poważnie. Szeroka przed nami droga, cienista i chłodna. Po strasznej kotlinie Cedronu, pełnej mar wstrętnych, dzikich krzyków i natrętnych wołań, po ciężkiej drodze piaszczystej i stromej, upadamy na kolana z uczuciem ulgi. Tu cicho, spokojnie. Znikły potwory, tylko sosny kołyszą się nad głowami. I wznosi się głos przewodnika: „O najcierpliwszy Jezu! któryś bramą tą z naigrawaniem od niewdzięcznych prowadzony był...‘‘

Brama przed nami drewniana, z trzech łuków utworzona. Z obu stron przejścia środkowego wiszą, ozdobione zatkniętemi zielonemi gałązkami, małe krzyżyki. Przechodząc, wieśniaczki pobożnie je całują. A przechodzić należy tylko środkiem, bo tędy Pana Jezusa wleczono. Wszak idziemy Jego śladem!

Za nim też idziemy przez Syońską bramę, i wstępujemy do Jeruzalem, do miasta niewdzięcznego — i stajemy przed Annaszem. Tam bezbożny żołnierz rękę na Pana podnosi.

„Jezus ciężki policzek wziąwszy od Malchusa,
Choć cierpliwy, łagodny, rzekł: „Za co mię katujesz?‘‘
Bierz stąd przestrogę, że gdy bliźnich policzkujesz,
W osobach ich katujesz Jezusa.‘‘

Od Annasza do Kaifasza kroków 330. I znowu pytania, znowu obelżywe słowa, miotane w oblicze Ukochanego, znowu bluźnierstwa i zniewagi...

Aż wreszcie nastaje przerwa, i Jezus zamknięty w Ciemnicy. Schodzimy i my do tej podziemnej kapliczki, gdzie posąg Jego stoi w półmroku. Stoi — już umęczony przebytemi cierpieniami, i gotuje się do dalszej męki. Samotny, od wszystkich opuszczony, ze związanemi rękoma, z nieskończoną boleścią w duszy.

Ale dziś, Jezu najmilszy, nie jesteś już opuszczony. My, wierni wyznawcy, otaczamy Cię gromadnie, obchodzimy na klęczkach Twoją figurę i całujemy Twe stopy. I do miseczki tuż obok wrzucamy miedziaki na kościół Twój, i składamy Ci w ofierze płótna cienkie i jasne lnu sploty...

I idziemy znowu za Nim przez bramy różne, przez Syońską i Żelazną, do Starego i do Nowego Miasta, od Kaifasza do Piłata kroków tysiąc, a od Piłata do Heroda 350, i znowu do Piłata łokci 600.

Przychodzimy pod Ratusz, piętrowy, okazały, skąd lękliwy Piłat Jezusa ubiczowanego, w cierniowej na głowie koronie, Żydom ukazuje, mówiąc: *Ecce Homo!* I zdaje się nam, że widzimy tę zbolałą, okrwawioną twarz, wychylającą się ku nam z górnej kapliczki i spoglądającą na nas pomimo cierpienia, zawsze dobremi, kochającemi oczyma. Myśmy Cię nie wydali przecież na śmierć, Jezu najmilszy!

Ale tłum żydowski krzyczy tam za nami: „Ukrzyżuj go! Ukrzyżuj!‘‘ I Piłat się zgadza, tchórz podły!

I znowu powstaje pieśń i leci pod sosny szumiące: „Kto się w opiekę poda Panu swemu, a całem sercem szczerze ufa Jemu‘‘....

Twarze stają się coraz bardziej skupione, oczy wznoszą się tylko ku obrazom w kapliczkach. Panuje milczenie i lęk jakiś dziwny przed wielką tajemnicą... I coraz bliższym jest nam On, coraz ciaśniej jednoczymy się z Nim, coraz wyraźniej czujemy Jego obecność.

I po leśnych drogach idziemy ze smutnem serc m...

A las wcią.. mruczy swój pacierz uroczysty. Pachną zioła, kwitną kwiaty, i żywica złotemi kroplami spływa po sosnowej korze. I ptaszki gdzieś wysoko ćwierkają po gałęziach, i muszki wirują w promieniach słońca, trzepocą się wielkie białe motyle. I strumień gaworzy w głębi kotliny, i Wilia przebłyskuje gdzieniegdzie błękitną twarzą po przez pnie. I wszystko dokoła tchnie wiosną, jasnością, ciepłem, życiem i weselem.

Ale nie wolno nam z lasem i z kwiatkami radować się nam — wiernym Jego



G. Burton. Ecce homo. — Oto człowiek.

*) Pod powyższym tytułem opisała Emma Jeleńska pięknie słynną Kawaleryę na Litwie blisko Wilna. Z opisu tego zamieszczamy dwa urywki. — (Przyp. Redakcyi.)



W. A. Bouguereau. **Chrystus i Jego Matka.**

wyznawcom — bo idziemy za Nim na mękę, na Kalwaryę...

Pod krzyżem.

„Jak wilk jagnię, Pana oprawcy chwycili,
I krzyż, narzędzie męki, na Niego włożyli.“

Więc już najmilszy, krzyżem obarczon, wstępuje na drogę męczeńską i idzie na śmierć.

Ale zaledwie uszedł kroków 80, już pod krzyżem upada.

W otwartej z trzech stron kapliczce, spoczywa posąg Jego, w czerwoną szatę odziany, przywalony ciężarem wielkiego krzyża. Tu składają znowu ofiary — płótna i len, chusty i obwarzanki. Obwarzanków zwłaszcza mnóstwo — żółcieją one, porozrzucane, jak kamyki, stanowią jakby posłanie dla leżącej figury. Każdy musi tu kilka położyć: trzeba choć tym sposobem grzechy swe odkupować, trzeba za nie składać daninę. Bo i cóż to Pana powaliło na ziemię, jeśli nie nasze zbrodnie? Pod ich ciężarem On upada, one Go gniotą bardziej, niżli ten krzyż, który dźwiga.

„Mało z miejsca pierwszego uszedł Jezus miły —
Pod brzemieniem krzyża na ziemię upada.
Chcesz znać tego przyczynę? Wiara odpowiada,
Że Go twe ciężkie grzechy o ziemię rzuciły.“

A jednak, chociaż za nas cierpi, chociaż za nasze winy leży tu ledwie żywy, bez sił, aby się podźwignąć, taki On jest dobry, że na temże samem miejscu zsyła nam dobrodziejstwa i dary, i oto ten sam krzyż, który go przygniata, to cudowny środek od wielu chorób, a niezawodne lekarstwo od bólu zębów. Więc trzeba koniecznie w nie się zaopatrzyć i nastrugać sobie trochę tego cudownego drzewa i zabrać z sobą do domu.

I niejeden zostaje w tyle za kompanią i prędko ścina kawałki z krzyżowego drzewa. Z łaski Pana Jezusa, będzie ulga w chorobie!

Od pierwszego upadnięcia do miejsca, gdzie Matka Najświętsza ze świętym Janem drogę zabiegła — kroków 60.

Tu dziewczęta rozplatają sobie włosy na znak żałości. Tak czynią po wiek wieków we wsiach na pogrzebach ukochanych osób. Więc i tu także...

Zresztą, powiadają, chcą one naśladować świętą Magdalenę.

Stacya tu stoi na skraju lasu. Dalej faluje bujny łan żyta, a za nim ciemnieją lipy przy księżym sadzie, i wysoko w niebo strzelają wieże Kalwaryi. I wiedzie do niej dróżyna wązka, poprzecinana korzeniami sosen, zarosła polnem kwieciem, w którem świerszcze strzykają. Błękitno tu i słonecznie.

Ze ściany kaplicy patrzą na nas bolejące oczy Jezusa i wykrzywiona w okropnym bólu twarz Jego Matki.

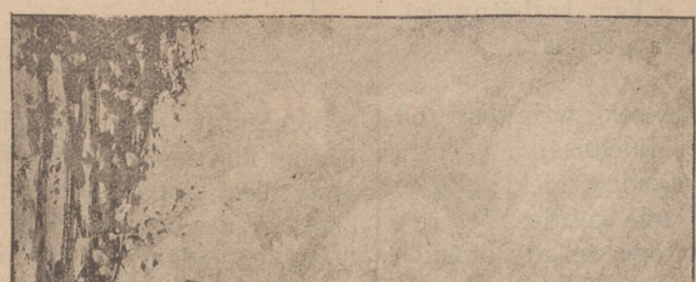
„O, jeśli cię ten obraz do żalu nie wzruszy,
Człowiecze! musisz być serca kamiennego.“

Nie, nie jesteśmy serca kamiennego! Z niejednych oczu łzy zaczynają płynąć, serca smucą się i boleją wespół z Panną Świętą, i coraz żałośniejsza powstaje pieśń, jak jęk: „O, jak smutna i strapiona ta Matka błogosławiona Syna jednorodzonego! która płakała i łkała, z żalem drżała, gdy widziała męki Syna miłego“....

Idziemy. Coraz ciężej Jezusowi krzyż swój nieść — i nam też coraz ciężej na duszy. Już nie rozwesela nas błękitne nad nami niebo, ani kołyszące się do stóp naszych kłosy, ani pachnące po miedzach kwiaty... Ogarnia nas trwoga... Więc oto niebawem spełni się ofiara, oto już stoi przed nami Kalwarya. Zbliżamy się do niej...

Jakże ciężko Jezusowi pod tym krzyżem!

Aż tu, Weronika drogę Mu zachodzi — i litością zdjęta, twarz Mu chustką ociera.



St. Jarocki. **Pod krzyżem,**

„Weronika ociera krew z Jezusa twarzy —
A Jezus ją wzajemnie swym obrazem darzy.
Czyń dobrze dla ubogich, jako Jego braci,
On ci w niebie patrzaniem na swą twarz odpłaci.“

Patrzaniem na swą twarz!... I już przez chwilę zdaje się nam, żeśmy w niebie, i że patrzymy w tę twarz słodką, a dokoła śpiewają aniołowie, przechadzają się święci po promiennych polach, kwitną róże, pachną kwiaty, kołyszą się białe i złote chmurki i błogość nas ogarnia....

Ale nie, jeszcześmy nie w niebie. Jezusa czeka śmierć na krzyżu, a nas— długa i ciężka życiowa wędrówka, Kalwaryjska droga krzyżowa.....

Chrystus umierał...

Chrystus umierał... W ony Piątek Wielki
Zaćmiły słońce ołowiane chmury,
I wionął smutek beznadziejny z góry
I opanował twór tej ziemi wszelki.

Kirem dokoła wszystko się osłania;
Bieleje tylko postać Twa rozpięta
I w blaskach glory płonie głowa święta;
A tuż, u krzyża, słychać płacz i łkania!....

Święte od grobów przemknęły się cienie
I świata możnym spadła z ócz zasłona:
Widzą, jak za nich dziś na Krzyżu kona
Chrystus, co niósł im w miłości — zbawienie.

Wkrótce spoczęło w grobie święte Ciało,
A na rozkazy cnych kapłanów wrogie
Pozaciągano przy nim czaty mnogie,
By na anioła głos nie zmartwychwstało.

Ciągnął za miasto wiernych orszak cały
Z nim Magdalena, łkając, podążała.
Kresem ich drogi była naga skała,
Której czeluście chłodem śmierci wiały.

— „Czemuż duch wzleciał Twój do nieba, Chryste!“
Święta niewiasta woła w głos stroskana
Z płaczem tłum wszystek upadł na kolana...
Milczą dokoła złomy gór skaliste.



W. A. Bouguereau. Po zdjęciu z krzyża.

Znajdziesz w tym tłumie pełnych win, sromoty,
I Magdalenie równe pokutnice,
Jawnogrzeszników i jawnogrzesznice
I cień wybladły zdrajcy Iskarioty.

Patrz... i dziś przyszli wszyscy ci pospołu,
Którym zgrabiały w ciężkiej pracy ręce
I myśliciele w zwątpień wiecznych męce,
Ofiary walki, znojów i mozołu.

Patrz, jakże urósł dzisiaj tłum ten szary...
Czemuż wskrzeszenie Twoje się odwleka,
Na które milion tych milionów czeka,
Żywiąc w swem sercu wieczny płomień wiary?

Dziś przed Twym grobem staje każdy, Panie,
Dłonie wyciąga, woła bólu głosem:
— „Zlituj się Święty nad ludzkości losem
I przyspiesz, przyspiesz nasze Zmartwychwstanie!“

Adolf Czerny.
Tłomaczył z czeskiego
Konrad Zaleski.

Straż przy grobie Chrystusa.

(Do illustracyi.)

Szerokie fale ogólno-ludzkiej kultury zacierają właściwości indywidualne jednostek i wtłaczają je w szablon „normalnego“ cywilizowanego człowieka. W zwycięskim swym pochodzie zatapiają one odrębności licznych zbiorowisk ludzkich, pochłaniają prastare, pełne poezyi i wdzięku zwyczaje, a nad tak zniwelowaną niwą ludzką rozpiera się wszechwładnie szarzyzna życia.

Potężne ogniska kultury, wielkie miasta, przybierają charakter coraz więcej kosmopolityczny, i chyba w cieniu starych drzew wioski, lub wśród cichego życia miasteczka spotkać jeszcze można prastare zwyczaje, tak niegdyś szanowane przez naszych przodków.

Jednym z takich pięknych zwyczajów jest straż przy grobie Chrystusa, którą niegdyś trzymali wybitni parafianie, lub młodzież szkolna, przyodziana w stosowne stroje rzymskie. Zwłaszcza klasztory sadziły się na wielki przepych kostyumów i liczebność straży, co niezwykle podnosiło wspaniałość obrzędu.

Piękny ten zwyczaj dziś prawie już zupełnie poszedł w niepamięć, są jednakże jeszcze, choć bardzo nieliczne, miejscowości, gdzie mieszkańcy

utrzymują go w całej powadze i wspaniałości.

Do takich zakątków, troskliwie chroniących owe dawne tradycye, należy miasto powiatowe gub. Piotrkowskiej, Łask, gdzie stara kolegiata dumnych Korabitów Łaskich chroni w swych murach niejedną ciekawą pamiątkę.

Zwyczaj trzymania straży przy Grobie sięga tu niepamiętnych czasów. Straż składa się z 15 osób, a mianowicie: jednego „kapitana,“ dwóch „rotmistrzów“ i 12 żołnierzy. Trzymają oni straż podczas nabożeństw Wielkiego Piątku, Soboty i Rezurekcyi. Trzykrotnie: podczas Ewangelii, Podniesienia i „Agnus Dei,“ straż prezentuje broń, kapitan i rotmistrzowie obnażają miecze, a żołnierze krzyżują halabardy i dzidy. Te same honory oddają podczas uroczystej chwili, gdy kapłan intonuje: „Zmartwychwstał Pan z grobu!“ W tej chwili dwaj żołnierze padają na ziemię, illustrując tekst Ewangelii św. Mateusza:

„A oto się stało wielkie drżenie ziemie. Albowiem Anioł Pański zstąpił z nieba i, przystąpiwszy, odwalił kamień i siedział na nim. A było wejrzenie jego jako błyskawica, a odzienie jego jako śnieg. A od bojaźni jego stróże przestraszeni są i stali się jakoby umarli.“

Wśród uroczystej procesyi rezurekcyjnej straż otacza baldachim, powstrzymując nacisk zgromadzonego ludu.

Straż odbywają mieszczanie łascy, a pełnią ją z niezwykłym spokojem i powagą, nie naruszając w niczem podniosłości nabożeństw wielkanocnych.

Obecne kostiumy straży, sprawione 20 lat temu, są wcale nieźle utrzymane w stylu. Jeden z członków straży zakomunikował mi, że wzory na nie były „przysłane z Rzymu,“ ponieważ dawniejsze stroje „były całkiem cudackie.“

Całość straży czyni wrażenie bardzo efektowne i sympatyczne. Należałoby zebrać dane, gdzie jeszcze w Polsce utrzymał się ten piękny zwyczaj w całej swej okazałości, ile osób tworzy straż, jakie mają kostjumy, czy nie przedstawiają jakich charakterystycznych scen, szczątków dawnych misteryów itp. Byłby to nader ciekawy przyczynek do obecnego stanu dawnych zwyczajów, które w swoim czasie tak ważną odgrywały rolę w życiu wymarłych pokoleń.

A. Janowski.

PALMA.

(Legenda.)

Zaszumiało, zahuczało, jakieś głosy suną, płyną; jakaś światłość górą chodzi, chodzi górą, a po ziemi ściele smugi.

Słonko jasne, skryte w chmurze, w szmat błękitu się zasuło, światłość jednak się przedziera przez mgły szare, chmury ciemne. Cienie płyną blade, senne, płyną cienie blade, senne, po wszej ziemi, jak szeroka, i znów cisza, cisza wszędy.

Wszystko niby drzemie jeszcze, ziemia westchnie w półśnie swoim, westchnie, i znów przyciszona, nasłuchuje, hasła czeka.

Bór zaszumiał, i wnet stare swe konary coraz żywiej rozpościera, coś się w sercu drzewa dzieje — krew w niem żywiej jakoś krąży, młodość zda się w nie powraca.

Każda igła osrebrzona strząsa krople srebrno-białe — płacze łzami radosnemi. Płaczą drzewa, krzewy, wrzosy, drży sasanka w mchy spowita, blade dzwonki swe rozchyla i łzy chwyta krzewów braci.

. . . .

Echo niesie jakieś szumy, dziwne głosy płyną zdala, niby tęskne a radosne — coś się stało! coś się stało!

Woda szumi srebrną falą, potokami płynie z góry, ziemia-macierz z wód kąpieli czarne łono swe wychyla.

Zawstydzona, zasromana, w płaszcz otula się oparów — w powłoczystą szatę białą.

Z góry, z góry, z za obłoków, smuga światła płynie złota, mgieł tumany z ziemi zrywa, zrywa z ziemi czarnej łona — szmaty rzuca po rozłogach, to rozwłóczy je jak dymy, kopułami w niebo wznosi, wieżycami w chmur błękity. A z błękitów światło płynie, płaszczem złotym tuli ziemię, ciepłą dłonią pieści, gładzi. I pieszczotą swą obdziela wszystkie drzewa, mchy i krzewy, wszystkie łzy tęsknoty spija, ścieląc wiarę w głębi duszy...

Każda gałąź szara, martwa drży nabrzmiała nowem życiem; jeszcze chwila jedna, druga, jeszcze światła, ciepła jeno, rozchylą swe szarozłote, otulone w czerwień pęcze; całe szczęściem upojone, w jasną zieleń się ustroją, zielonością swą bogate, wzniosą w górę dumne czoło.

Wszystko, wszystko się zieleni, nowem życiem się odmładza, wszystko w ciepłem słonku złotem kąpie młode swoje pęcze.

Jedna tylko wierzba biedna stoi ciemna w wód topieli....

Każdy biednej się urąga, każdy wzgardę rzuca na nią, nikt się do niej nie uśmiecha, nikt gałązek jej nie sięga.

. . . .

Aż szedł Chrystus w szacie białej, za Nim rzesza różnotłumna, w dzień radosny, w dzień wesela...

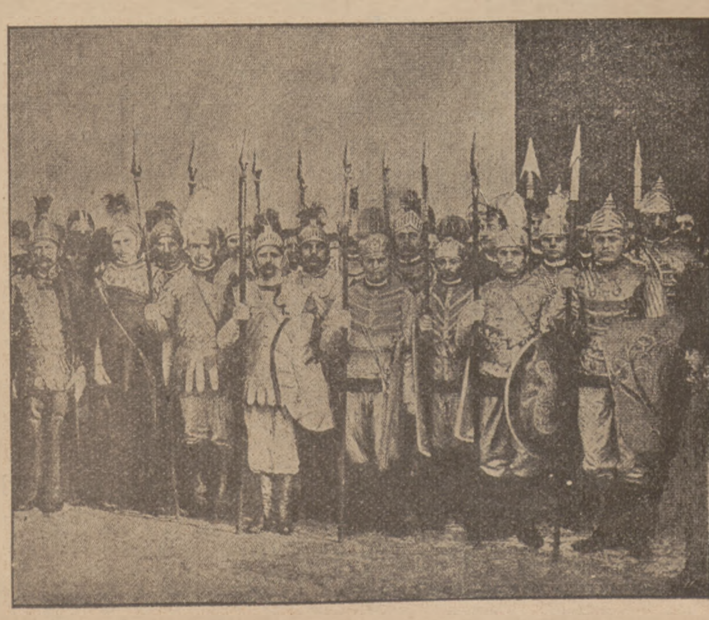
Ścielą zieleń u stóp jego, krzyk radosny w niebo bije, w górę wznosi się Hosanna...

A szedł Chrystus z smętnem licem... Rzesza, tłumy, wszystko dumne, pierś ich pusta,jak krzyk głośny; nawet drzewa, co mu ścielą liść zielony pod stopy, pychą zdjęte z bogactw swoich, dumnie wznoszą swe korony.

Jedna tylko wierzba szara drży ze smutku i w pokorze aż ku ziemi schyla skronie.

Ona niema listek złotych, jej konary smutne, suche, smutkiem jej wciąż szeleszczą; pochyliła się w tęsknocie, pochyliła do stóp Jego i szelestem woła: „Wierzę!“

Tłum się cisnął w gniewie cały, szarą gałąź precz odrzucił, szarą ga-



Straż przy grobie Chrystusowym w Łasku.

łąź bez zieleni, wzgardy darząc ją wyrazem.

. . . .

Ale Chrystus skinął dłonią — wzrok swój zwrócił na wzgardzoną i zawołał głosem wielkim:

— Odrzucona i przeklęta, wiara twoja — życiem twojem, bądź od dziś dzień pełna siły!

Nagle, sucha gałąź wierzby w liść srebrzysty się okryła, słońca złote jasne smugi utuliło ją w objęcia, a z gałązki strojnej w zieleń, pieśń ku Niebu popłynęła.

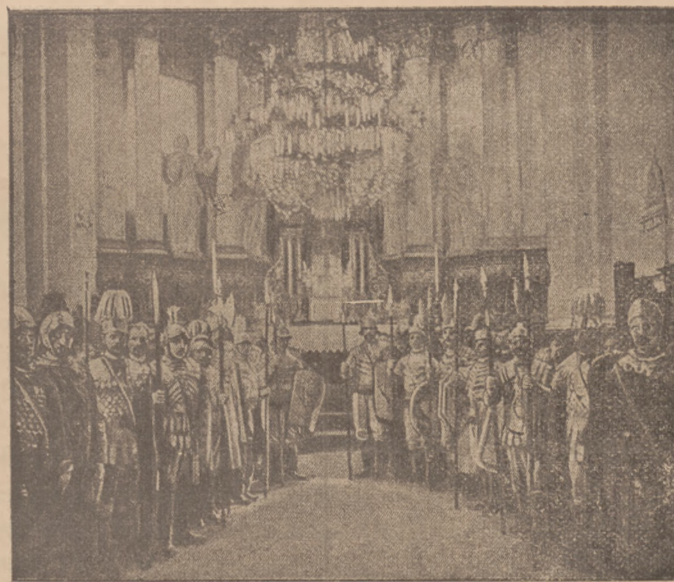
Odtąd, kiedy wszystkie drzewa stoją jeszcze w smutku szacie, wierzba, w srebrną zieleń strojna, śpiewa chwałę Chrystusową. Srebrem tkane jej gałęzie dają palmę na ołtarze.

Z. Morawska.

Wielki piątek.

(Obrazek staroświecki).

Stoją rycerze,
Zbrojni w pancerze:
Husarze!
Orszak skrzydlaty
Odprawia czaty
I straże!
Golone głowy,
Na nich stalowy
Hełm z kitą!
Tarcza migota,
A na niej złota
Okwito!
One kawalery!
Każdy chwat szczery
Do korda!
Przecz łza się toczy?
Przecz smętne oczy
I *corda?*
Ach, dniu żałosny!
Nic, czarze wiosny,
Po tobie!
Świata Zbawiciel,
Win Odkupiciel —
Śpi w grobie!
Z przebitym bokiem,
Z przygasłem okiem,
W krwie własnej!
Złą zabit pychą,
Spoczywa cicho
Przejasny!
On zgubił złoście
I nieprawoście,
Siał miłość!
Wżdy nad tą gloryą
Grzech wziął wiktoryą
I zgniłość!
Gra pozytywa,
Jakoby żywa
Kapela;
Nutą stęsknioną,



Straż przy grobie Chrystusowym w Łasku.

Jak grotem łono,
Przestrzela!
Rycerstwo słucha:
Krzepkiego ducha
Wąsacze!
Zgiął hufiec głowy
W czapie stalowej —
I płacze!
I mruczą owo,
Że łzą perłową
Na twarzy:
„Przecz-żeś k'odsieczy
Nie skrzyknął mieczy
Husarzy?
Przecz-żeś, o Panie,
Gorzkie konanie
Przedłożył?
My-by przybiegli,
Wrogi polegli,
A tybyś życia nie złożył!
Sprosne niecnoty,
Po starciu roty
Powszedniem,
Poszły-by z dymem,
Jak pod Chocimem,
Pod Wiedniem!"
Śpi Chrystus w grobie,
Ale się w sobie
Uśmiecha:
Mrok się rozwidni,
Będzie za trzy dni
Pociecha!

ao.

Matka Boleściwa.

Podanie ludowe.

Kiedy Anioł Pański zwiastował Pannie Maryi, pachniały dokoła Niej same jaśminy.

Skoro zaś odleciał wysłannik niebieski i Błogosławiona między niewiastami powstała z ziemi, po długiej modlitwie samotnej zapełniła się jej skromna izdebka przedziwną wonią kadzidła — niby w smętnej komnacie umarłych.

Przeraziła się tem Marya wielce, albowiem na owe czasy znak taki bywał przepowiednią czegoś złego... Więc pomyślała sobie:

— Jakiegoż to smutku mam się spodziewać, skoro przecież zwiastowano mi przed chwilą, iż winnam, oczekiwać radości wielkiej, bo powiję syna.

I tak zastanawiając się nad tem, co ją spotyka niespodziewanie, wyszła z izby, chcąc zająć się, jak zazwyczaj, gospodarską robotą.

Aż tu patrzy, przystanąwszy w podwórku: siedm ptaków siedzi na płocie...

Klasnęła tedy z uciechy w dłonie, wiosna bowiem właśnie nadchodziła i jej to zwiastunów skrzydlatych ujrzała Marya w tej chwili.

Dziwna rzecz jednakże, co się stało z temi ptakami przez ubiegłą zimę.... Toć to najwyraźniej jaskółki, tylko odmienione na ciemne, gdy tymczasem były one zawsze całkiem białe, jak najczystsze gołąbeczki... Trudno wątpić, są to jaskółeczki, zapewne co dopiero przyleciały; ależ czemu to one dzisiaj jakieś czarne z białem — jak żałoba w kościele, wyglądają, niby ptaki złej wróżby, niby zwiastuny boleści i smutku, a przecież przybyły z dobrą nowiną, że wesoły dzień nastaje, bo się wiosna rodzi...

Posmutniała Panna Marya. Głowę zwiesiła z pokorą na piersi, szepcąc:

— Przeczuwam, Panie, ile boleści czeka serce Matki Syna Bożego!

A gdy wzrok swój podniosła ku niebu, migotały przed jej oczyma jeno smugi białe i czarne, jako w pogrzebowej szacie.

To wysoko, w błękicie, ponad głową Wybranki Pańskiej szybowały bo-

ciany, wypatrując miejsca na gniazda. Siedm ich było, tyleż co jaskółek...

Za chwilę zleciały na domostwo, w którem mieszkała Marya, która też wtedy z nowem zdumieniem, spostrzegła, że i te ptaki długonogie mają część piór czarną, chociaż przedtem były całe białe...

— A może wy ptaszęta moje, to jeno zwiastujecie ludziom, że po wesołej wiośnie znowu przyjdzie kiedyś smutna, zima? — mówiła Marya, kojąc na chwilę żałobne przeczucia matczynego serca.

Aliści tego dnia jeszcze przy robocie w ogródku pokłuła się boleśnie cierniami. Gdy w domu później zauważyła ranki na palcach, policzyła, że było ich siedm. Więc sama do siebie zawołała ze łzą w oku:

— Panie, siedmiu boleści ciężkich oczekuje w pokorze wybrana przez Ciebie Matka Syna Twojego!

I odtąd co rok z wiosną, patrząc na jaskółki i bociany, nie dziwiła się Służebnica Pańska barwie ich pierza, które zmienił Bóg właśnie w dniu Zwiastowania swej Wybrance Narodzin Jezusa...

Przeczuwała wszystko, co jej one zwiastowały na przyszłość i rok po roku wyglądała ze spokojem dnia strasznej Męki Syna Swego i okrutnych boleści własnego serca...

A kiedy już pod Krzyżem stała Matka Boleściwa, przypomniała sobie skrzydlate zwiastuny radości i smutku z owej zagrody, w której mieszkała przy swoich ojcach, zanim ją Pan z Niebios powołał na Bogarodzicę...

I przypomniała sobie, jak to Syn Jej, który teraz na Krzyżu umiera, cierpiąc katusze, umiłował w swych latach dziecinnych jaskółki i bociany, i jak to one same zwykle przylatywały do niego bez lęku i pozwoliły Mu bawić się miękkiem pierzem, Jezusek zaś maleńki głaskał je zawsze tylko po czarnych piórkach...

Na ową to pamiątkę, co rok jaskółki i bociany, przyleciawszy do nas z wiosną, uwijają się w święto Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny, oraz w Piątek Siedmiu Boleści N. M. P., nad przydrożnemi figurami Bożej Rodzicielki, potem zaś, we wrześniu, gdy pod koniec lata mają już od nas odlecieć, krążą w dniu Matki Bolesnej nad krzyżami z Męką Pańską poza wioską, nad ktoremi też zawsze w to święto ukazuje się siedm jaskółek zupełnie czarnych bez jednego białego piórka; ale tych ptaków ludzie widzieć nie mogą, tylko wszyscy aniołowie z nieba, z Jezusową Matką na czele, która się z góry do tych ptaków uśmiecha przez łzy bolesnych wspomnień...

Kal.......i.

Za bezgraniczną miłość ludu...

Za bezgraniczną miłość ludu,
Za prawdy światło wiekuiste,
Za życie wielkich trosk i trudu,
Ukrzyżowano Cię, o Chryste!

A kiedy pełen cichej skargi
Uczułeś, że omdlewa ciało,
Wonczas pod drżące bólem wargi
Żółć podsunięto Ci zgorzkniałą.

Widząc, że chwila się już zbliża —
Że cierń wyrwała sił ostatki —
Śmiertelne tchnienie u stóp krzyża
Przejęte było sercem Matki.

A gdy zawarły się powieki, —
Nad góry Synaj szare skały
Spłynęła prośba w świat daleki:
Ojcze, przyjm ducha do swej chwały!

Za tej boleści ciężkie brzemię,
Którego światu było trzeba,
Po stokroć biedne ludzi plemię —
Ja ci przebaczam w imię nieba! —

Eszet.

Zabójstwo cara Piotra III.

7-go lipca 1762 roku.

(Ciąg dalszy.)

Wieczorem 27-go czerwca 1762 r. Grzegorz Orlów przyszedł do domu księżnej Daszkowej z uwiadomieniem, że kapitan Pasek, jeden z najgorętszych spiskowców, został aresztowany. Tracić czas i odkładać — już było za późno. Limfatyczny, powolny i ostrożny Panin radził czekać do dnia następnego i dowiedzieć się wprzódy, za co aresztowano Paseka. Orlów i Daszkowa nie tak myśleli. Pierwszy pojechał dowiedzieć się, co się dzieje, a Daszkowa, włożywszy szary oficerski płaszcz, piechotą udała się do Rosławlewa, jednego ze spiskowców.

Nie daleko od domu Daszkowa spotkała konnego posłańca, który leciał jak koń wyskoczy. Nie znając żadnego z braci Orłowa, Daszkowa domyślała się jednak, że to musi być jeden z nich; zrównawszy się więc z nim, nazwała go, prosząc o zatrzymanie się i wymieniła mu swe imię.

— Ja do was księżno jadę — powiedział on, Pasek aresztowany jako polityczny przestępca, czterech żołnierzy stoi u drzwi więzienia jego, a dwaj około okna. Brat poszedł do Panina, a ja byłem u Rosławlewa.

— Czy on bardzo przestraszony?

— Bardzo.

— Daj pan znać Rosławlewowi, Łasuńskiemu, Czertkowowi i Bredichinowi, żeby zaraz przybyli do izmajłowskiego pułku, i przygotowali się na przyjęcie carowej. Potem powiedz swemu bratu, że ja jemu radzę jak można najprędzej jechać do Peterhofu po carowę, niech jej powie, że pocztową karetę już przygotowałam, i proszę ją, by natychmiast przybyła do Petersburga do obozu izmajłowskiego pułku. Prędkie przybycie jej do stolicy jest rzeczą tak wielkiej wagi, że nie mam czasu zajść do domu i napisać list do niej, że na ulicy i ustnie dałam poruczenie przywieźć ją jak najprędzej do stolicy.

W wilię dnia tego, słysząc od Paseka o silnem szemraniu żołnierzy i bojąc się, żeby się co nie wydało, Daszkowa napisała do żony kamerdynera carowej, żeby ona posłała karetę z czterema pocztowymi końmi do swego męża do Petersburga, i kazała jej czekać na podwórzu. Panin śmiał się z tych ostrożności, nie myśląc, żeby przewrót miał nastąpić tak prędko. Okoliczności pokazały, że Daszkowa postąpiła nadzwyczajnie dobrze.

Rozstawszy się z Orłowem, młoda konspiratorka wróciła do domu. Wieczorem krawiec miał przynieść męzkie odzienie i nie przyniósł, a żeńskiem lękała się być zbytnie związaną. Żeby nie dać żadnego podejrzenia, Daszkowa odesłała pokojówkę i położyła się spać; lecz nie przeszło pół godziny, jak gwałtowny stuk w zewnętrzne drzwi obudził ją. To był młodszy Orlów, którego starsi bracia przysłali zapytać, czy nie wcześno jeszcze posyłać po carowę i niepokoić ją. Daszkowa rozgniewała się okropnie. „Jaka tu mowa być może o utrudzaniu carowej; lepiej ją omdlałą, bez zmysłów, przywieźć do Petersburga, niż doprowadzić do więzienia, a może być razem z nami na rusztowanie. Powiedz pan braciom, żeby natychmiast którykolwiek z nich jechał do Peterhofu.“

Orlów uznał sprawiedliwość słów Daszkowej i pospieszył do braci. Niespokojnie przepędziła młoda księżna noc; ciężkie marzenia, smutne przewidywania męczyły jej wyobraźnię!...

Tymczasem Aleksy Orlów przybył do Peterhofu. Katarzyna chociaż go nigdy nie widziała, zgodziła się z nim jechać natychmiast. Orlów usiadł za furmana i tak pędził konie, że te padły w drodze. Caryca i jej pokojówka musiały iść piechotą, póki

nie spotkali wozu jakiegoś, który Orłów najął i w nim demokratycznie przywiózł carowę o czwartej godzinie z rana do Petersburga.

Izmajłowski pułk przyjął Katarzynę z nadzwyczajnym entuzyazmem. Żołnierzom mówiono, że Piotr III. chciał w tę noc zabić ją i jej syna. Z koszar z tryumfem i krzykiem żołnierze przeprowadzili ją do Zimowego pałacu, okrzykując panującą carową. Przeszkód nie napotkano żadnych. Naród masami walił ku pałacowi, urzędnicy zbierali się, arcybiskup otoczony duchowieństwem, ze święconą wodą czekał w Kazańskim soborze na nową carowę.

Gdy Daszkowa z nadzwyczajną trudnością przedarła się do Katarzyny, młode kobiety rzuciły się w objęcia powtarzając: „chwała Bogu, chwała Bogu!“ Daszkowa w Pamiętnikach swoich pisze: „nie wiem, czy jaki śmiertelnik był kiedy tak szczęśliwy, jak ja w tę chwilę.“ Cały ten przewrot odbył się nadzwyczaj małymi środkami, bez żadnego obmyślanego planu, ludźmi zupełnie niezgadzającymi się z sobą, i niepodobnymi ani z wychowania, ani z charakteru. Tak są łatwe przewroty w każdem państwie, gdzie tron opiera się tylko na sile bagnetów!.....

Nacałowawszy się do syta, Daszkowa zauważała, że carowa miała jeszcze wstęgę św. Katarzyny, a nie św. Andrzeja; natychmiast więc pobiegła do Panina, zdjęła ją z niego, i włożyła na Katarzynę.

Carowa objawiła życzenie stanąć na czele wojska i iść do Peterhofu; Daszkowa otrzymała rozkaz jej asystować. Carowa wzięła mundur u kapitana Tałazina, a Daszkowa u sierżanta Puszkina. Obydwa mundury były przeszłej przeobrażeńskiej formy. Jak tylko carowa przyjechała do Petersburga, żołnierze bez żadnego rozkazu zdjęli nowe mundury i włożyli stare— piotrowskie.

Wtedy, gdy Daszkowa się przebierała, zebrała się nadzwyczajna rada, pod prezydencją Katarzyny z wyższych osób i senatorów, znajdujących się w stolicy. Warta, postawiona około drzwi wpuściła młodego oficera, który śmiałym wzrokiem wszedł do sali. Nikt oprócz carowej nie poznał w nim Daszkowej. Ona zbliżyła się do Katarzyny, mówiąc że warta zła, że tak mogą przepuścić i Piotra III., jeżeliby się on zjawił. Warta była natychmiast powiększoną. Carowa przerwała dyktowanie manifestu i powiedziała zebranym, kto był młody oficer, co tak *sans facons* wszedł do sali, i rozmawiał z nią z cicha. Wszyscy senatorowie wstali z miejsc, i ukłonili się zmięszanej i zarumienionej Daszkowej.

Zarządziwszy należne środki ostrożności dla zachowania spokojności w stolicy, carowa i Daszkowa wsiadły na konie i po drodze do Peterhofu zrobiły przegląd 20,000 żołnierzy, którzy przyjęli nową panią z nieopisanem uniesieniem.

W czerwonym traktierze (krasnej kabaczok) insurekcyjna armja zatrzymała się; potrzeba było dać odpoczynek ludziom, którzy już byli dwanaście godzin na nogach. Carowa i Daszkowa, które ostatniej nocy nie spały zupełnie, były bardzo zmęczone. Daszkowa wzięła od pułkownika Karca płaszcz, posłała go na jedynym tapczanie, który był w pokoju, postawiła szyldwachy, i nie zdejmując munduru, rzuciła się na tapczan razem z Katarzyną, mając zamiar zasnąć; lecz sen odbiegł ich powiek, wypadki przeszłe, zmiana położenia, niewiadoma przyszłość, obmyślanie, co robić dalej, nie pozwoliły im zmrużyć oka.

Jest coś bardzo poetycznego w tej odwadze dwóch kobiet, przemieniających losy ogromnego carstwa, w tej rewolucji, zrobionej przez piękną i rozumną kobietę, otoczoną młodzieżą, zakochaną w niej, i wśród której, na pierwszym planie — ośmnastoletnia piękność w przeobrażeńskim mundurze i z szablą w ręku.

Nieszczęśliwy i ogłupiały Piotr III w tym samym czasie jeździł z Oranienbaumu do Peterhofu i z Peterhofu do Oranienbaumu, nie wiedząc, co przedsięwziąć, nie umiejąc na nic się zdobyć. Szukał on za Katarzyną w pokojach pawilonu, gdzie ona mieszkała, za szafami i drzwiami, jak gdyby ona grała z nim w mrużki, i nie bez zadowolenia powtarzał do kochanki swojej Romanówny:

— Ot, widzisz, czy nie miałem racji? Ja byłem pewny, że ona zrobi cośkolwiek, ja zawsze mówiłem, że ta kobieta zdolna jest do wszystkiego.

Obok Piotra III jeszcze stał stary wódz Munich, jeszcze cała Rosja i część Petersburga nie była przeciwko niemu, a on już zupełnie stracił przytomność. Siadłszy z całą świtą na carską galerę, stojącą na kotwicy w Peterhofie, Piotr III kazał płynąć do Kronsztadu, w nadziei, że będzie tam przyjętym. Lecz admirał Tatyzin, który przybył kilka godzin przedtem z Petersburga, nie tylko nie wpuścił galery do portu, lecz oznajmił, że będzie strzelać, jeżeli statek nie oddali się. Zrozpaczony Piotr kazał galerze płynąć nie do floty, stojącej nie daleko, lecz napowrót do Oranienbaumu, bo damy lękały się kołysania i morza, a sam car — wszystkiego. Noc była cicha, księżycowa, nędzny imperator schował się w kajucie z kurtyzanami swymi, a na pokładzie siedzieli zadumani ponuro z gniewem, wstydem i smutkiem w sercu, dwaj bohaterowie Munich i Gudowicz. Oni teraz dopiero spostrzegli, że nie można zbawiać ludzi przeciw ich woli!...

O czwartej godzinie z rana galera przybyła do Oranienbaumu. Cały orszak z spuszczonemi głowami cicho wszedł do pałacu. Piotr III siadł pisać list do Katarzyny.

O tejże samej godzinie w przeciwnym obozie osiodłano dwa tęgie konie, jednego dla carowej, drugiego dla Daszkowej, i znowu te dwie kobiety wesołe i pełne energii stanęły przed wojskiem, które ruszyło w drogę o piątej i zatrzymało się, żeby odpocząć, około Troickiego monasteru. Tu zaczęli przybywać jeden za drugim gońcy Piotra III, przywożąc propozycje, jedną głupszą od drugiej. On wyrzekał się tronu, prosił, aby go puszczono do Holzacji, przyznawał się do winy i do niezdolności panowania. Katarzyna żądała, żeby się zdał na łaskę, jeżeli chce uniknąć większych nieszczęć, i obiecała mu dać najlepsze utrzymanie w jednym z pałaców za miastem, według jego wyboru.

Wojsko Katarzyny spokojnie zajęło Peterhof. Orłow był wysłany na rekonesans i nie spotkał nikogo. Holsztyńczycy, otaczający Piotra III. i oddani jemu zupełnie, gotowi byli umrzeć za niego, lecz on nie pozwolił im bronić się. Chcąc uciekać, kazał przygotować konia. Potem zmienił plany swoje, kazał armaty pościągać z wałów Oranienbaumu i broń złożyć.

Na ten widok stary Munich przejęty nieukontentowaniem zapytał go:

— Czy on nie umie umrzeć na czele wojsk swoich, jak carowi przystało? Jeżeli wasza carska mość lęka się być zabitym, weź krzyż do ręki; oni nie ośmielą się dotknąć ciebie, a ja będę prowadzić do boju.

Piotr nie chciał go słuchać i wysłał list do Katarzyny, że zrzeka się tronu, lecz chce zostawić pewne osoby przy sobie, wyliczał, co mu potrzeba do życia, prosił, żeby mu pozwolono żyć w Ropszy, która do niego należała, kiedy jeszcze był wielkim księciem, żeby mu zostawiono kochankę, mopsa, przysłano skrzypce, ulubionego murzyna, wino burgundzkie, tytuń, biblię, i kilka romansów do czytania, mówiąc, że chce zostać filozofem.

Katarzyna zamiast odpowiedzi przysłała mu do podpisania następne zrzeczenie się tronu.

„W ciągu niedługiego czasu mego panowania nad Rosją, przekonałem się, że siły moje nie wystarczają do dźwigania takiego wielkiego ciężaru, i że ja nie mogę rządzić cesarstwem nie tylko samowładnie, lecz i żadnym innym sposobem, gdyż to poprowadziłoby do rozstroju cesarstwa i pokryłoby mnie wieczną hańbą. Po długim więc namyśle, solennie i bez żadnego przymusu, objawiam wobec państwa rosyjskiego i przed całym światem, że się zrzekam tronu nazawsze, nie życząc sobie panować ani samowładnie, ani pod inną formą rządu, i przyrzekam, że nie będę starać się nigdy osięgnąć tronu moskiewskiego za obcą pomocą. Stwierdzam to zrzeczenie się moje przysięgą przed Bogiem i światem, pisząc ten akt i podpisując własną ręką.“

Piotr III. — podpisał...

Izmajłow przywiózł ten akt zrzeczenia się do carowej, potem wrócił napowrót do Oranienbaumu, w towarzystwie jednego tylko sługi i powiedział:

— Jesteś tu panem mego życia, lecz w imieniu carowej ja ciebie aresztuję.

Holsztyńcom kazano złożyć broń, co wypełnili oni — z rozpaczą i wściekłością. Potem zamknięto ich w różnych pomieszkaniach. Piotr III., Romanówna i Gudowicz siedli do karety i w towarzystwie Izmajłowa udali się do Peterhofu.

Oddając się w ręce żony swojej Piotr III. nie tracił jeszcze nadziei. Pierwsze wojsko, które spotkał na drodze, były 3 tysiące kozaków, którzy jeszcze nigdy nie widzieli jego. Oni spotkali dawnego cara w milczeniu. Lecz gdy gwardya go otoczyła, okrzyk „niech żyje Katarzyna II!“ podniósł się ze wszech stron. Wśród tej wrzawy przejechał on mimo wojska. Piotr III. stracił zupełnie głowę. Gdy przybyli do pałacu i Piotr III wychodził z karety, żołdactwo schwytało Romanównę i podarło na niej wstęgę św. Katarzyny, którą miała na sobie. Gudowicza otoczono także, grożąc mu śmiercią, lecz Gudowicz odpowiadał im śmiało, wyrzucając zdradę i krzywoprzysięstwo. Wśród zgiełku i wrzawy oddano go pod straż.

Car jeden wszedł do pałacu z wściekłością, rozpaczą i trwogą w sercu.

— Rozbieraj się! — krzyknięto na niego.

Piotr zdjął wstęgę, szablę i mundur, rzucił je na ziemię i rzekł:

— Jestem teraz w ręku waszym.

Zostawiono go czas niejaki w jednej koszuli i z bosemi nogami na pośmiewisko żołdactwa. Potem włożono szlafrok na niego, i pod strażą Aleksego Orłowa, Boriatyńskiego, Paseka i Baskakowa posłano na mieszkanie do Ropszy.

Tragedya ta skończyła się o 7-mej wieczorem.

(Dokończenie nastąpi.)

ORSO.

Nowela.

Napisał *Henryk Sienkiewicz.*

(Ciąg dalszy.)

Gdzież są Orso i Jenny? Jedno z pasm wkradającego się przez szpary światła, w którem kręci się i wiruje kurz, pada jako złota plama na zagłębienie dalszych ławek. Plama ta posuwa się zgodnie z ruchem słońca na dworze, a w końcu oświetla grupę złożoną z Orsa i Jenny.

Orso siedzi na wierzchu ławki, przy nim zaś Jenny. Jej śliczna dziecinna twarzyczka przytulona jest do ramienia atlety, a ręka otacza jego kark i zawiesza się na drugiem ramieniu. Oczy dziewczynki wzniesione są do góry, jakby słuchała uważnie słów towarzysza, który, pochylony nad nią, porusza niekiedy głową, niby tłumacząc coś i przekładając. Tak przytulonych do siebie możnaby wziąć za parę zakochaną, gdyby nie to, że odziane w bladoróżowe trykoty nóżki Jenny, nie dostając do ziemi, kiwają się w tył i naprzód ruchem zupełnie dziecinnym, który nazywa się także robieniem garnków, a jej wzniesione oczy wyrażają raczej zasłuchanie się i mocne natężenie myśli, niż inne jakie romantyczne uczucie. Przytem kształty jej przybierają dopiero pierwsze zarysy kształtów kobiecych. Wogóle Jenny jest jeszcze dzieckiem, ale tak uroczem, że nie ubliżając panu Harvey z San-Francisco, który malował Palace Hotel, trudnoby mu było wymarzyć coś podobnego. Jej drobna twarzyczka jest poprostu anielska; ogromne, smutne, niebieskie oczy mają wyraz głęboki, słodki, ufny; ciemne brwi rysują się z nieporównaną czystością na czole białem i jakby zamyślonem, na które płowa, jedwabista, trochę bezładna czupryna rzuca cień, jakiegoby się nietylko mistrz Harvey, ale i pewien inny malarz, nazwiskiem Rembrandt, nie powstydził. Dziewczynka przypomina zarazem kopciuszka i Gretchen, a przytuloną postawą, jaką przybrała, zdradza usposobienie bojaźliwe i potrzebujące opieki.

Od tej postaci w rodzaju Greuza, dziwnie odbija strój cyrkowy, złożony z krótkiej gazowej spódniczki, naszywanej srebrnemi blaszkami, tak krótkiej, że nie okrywa jej kolan i różowych trykotów. Siedząc w paśmie złotego światła, na tle głębokiem i ciemnem, wygląda jak jakie zjawisko słoneczne i przeźroczyste, a przytem kształty jej wysmukłe tworzą proste przeciwieństwo z kwadratową postacią chłopaka.

Orso, ubrany w cielisty trykot, wydaje się z daleka nagim, a tenże sam promień oświeca jego rozrosłe nieproporcyonalnie bary, zbyt wypukłą pierś, zapadły brzuch i zakrótkie w stosunku do długiego tułowia nogi. Potężne jego formy zdają się być tylko z gruba wyciosane toporem. Ma on wszystkie cechy cyrkowego atlety, ale podniesione do takiej potęgi, że czynią z niego prawie karykaturę. Przytem jest brzydki. Chwilami, gdy podnosi głowę, widać twarz jego, której rysy wprawdzie są regularne, może nawet bardzo regularne, ale jakieś zastygłe i także jakby wyrąbane siekierą. Nizkie czoło i spadające aż na nos czarne włosy, podobne do włosienia końskiego, a odziedziczone zapewne po matce skwawie, nadają jego licom wyraz ponury i groźny. Jest on zarazem podobny do byka i niedźwiedzia, a wogóle uosabia straszliwą siłę, ale złą. Jakoż wcale nie jest dobry.

Gdy Jenny przechodzi koło klatek końskich, poczciwe te stworzenia zwracają głowy i patrzą na nią rozumnemi oczyma, rżą z cicha, jakby chciały powiedzieć: *„How do you do darling?“* na widok zaś Orsa aż przysiadają ze strachu. Jest-to chłopak zamknięty w sobie, mrukliwy i posępny. Murzyni pana Hirscha, pełniący obowiązki masztalerzy, klownów, minstrelów i linoskoków, nie cierpią go i dokuczają mu jak tylko mogą, ponieważ zaś jest metysem, nic sobie z niego nie robią i głośno wypowiadają mu swą pogardę. Dyrektor, który prawdę rzekłszy niewiele ryzykuje, stawiając sto dolarów za nim naprzeciw każdemu, ktoby się chciał z nim próbować, nienawidzi go i boi się zarazem, ale w taki sposób, w jaki pogromca zwierząt boi się naprzykład lwa, to jest ćwiczący go z lada powodu.

Dzieje się to jeszcze i dlatego, iż pan Hirsch sądzi że gdyby on nie bił chłopaka, byłby przez niego bity, ale wogóle trzyma się zasady owej kreolki, która bicie uważała za karę, a niebicie za nagrodę.

Taki to jest Orso. Od niejakiego czasu stał się on jednak lepszym, albowiem zaczął bardzo kochać małą Jen-

ny. Zdarzyło się przed rokiem, że gdy Orso, który był zarazem dozórcą zwierząt, czyścił klatkę kuguara, zwierz wysunąwszy łapę przez pręty, skaleczył go dość mocno w głowę. Wówczas atleta wszedł do klatki i ze strasznej walki, jaka wywiązała się między nim a zwierzęciem, wyszedł sam tylko żywy. Był jednak tak silnie pokaleczony, że dyrektor oćwiczył go jeszcze za połamaną kuguarowi kość pacierzową. W czasie choroby mała Jenny okazywała mu wiele litości, opatrywała w braku kogo innego jego rany, a w chwilach wolnych przesiadując przy nim, czytała mu Biblią, to jest „dobrą książkę", która mówiła o kochaniu się, o przebaczeniu, o miłosierdziu, słowem o rzeczach, o których nigdy nie było mowy w cyrku pana Hirscha. Orso, słuchając tej książki, pracował długo swoją indyjską głową, a w końcu doszedł do tego przekonania, że gdyby tak było w cyrku, jak w tej książce, to i on nie byłby taki zły. Myślał także, że wówczas nie bywałby bity, a może nawet znalazłby się ktoś taki, ktoby go kochał. Ale kto? Nie murzyni i nie pan Hirsch, więc chyba mała Jenny, której głos tak mu słodko brzmiał w uszach, jak glos maukawisa.

Wskutek tej myśli, pewnego wieczora rozpłakał się ogromnie, zaczął całować małe ręce Jenny i od tej już pory pokochał ją bardzo. Odtąd, gdy w czasie wieczornych przedstawień dziewczynka jeździła na koniu, on był zawsze na arenie i wodził za nią troskliwemi oczyma. Podstawiając jej obręcze pozaklejane bibułą, uśmiechał się do niej, a gdy przy towarzyszeniu nuty: „Ach, śmierć blizka!" nosił ją ku wielkiemu przerażeniu widzów na szczycie drąga, to i sam był przerażony. Wiedział dobrze wówczas, że gdyby ona spadła, to jużby nie było nikogo w cyrku z „dobrej książki," nie spuszczał też z niej oczu, a ta jego ostrożność i jakby trwożliwość ruchów dodawała grozy widowisku. Potem, gdy wywołani burzą oklasków, wbiegali razem na arenę, wysuwał ją zawsze naprzód, aby na nią największe brawa spadły, i mruczał z radości. Z nią też jedną umiał rozmawiać ten mruk i przed nią tylko otwierał się. Nienawidził on cyrku i pana Hirscha, który był zupełnie inny, niż ludzie z „dobrej książki". Coś ciągnęło go zawsze na kraniec widnokręgu, na bory i stepy. Gdy wędrownej trupie w ciągłych włóczęgach zdarzyło się przebywać okolice niezaludnione, odzywały się w nim takie instynkta, jakie odzywają się w chowanym wilku, który pierwszy raz bór zobaczy. Skłonność tę może nietylko po matce odziedziczył, bo i ojciec jego biały był zapewne jakim wnicznikiem, błądzącym po stepach. Z tych swoich pragnień zwierzał się małej Jenny, a zarazem opowiadał jej, jak się to żyje na pustyni. Po większej części to odgadywał, a trochę wiedział o tem od stepowych strzelców, którzy niekiedy przychodzili do cyrku już to dostarczając dzikich zwierząt panu Hirschowi, już aby się pokusić o owe sto dolarów, które dyrektor za zwalczenie Orsa wyznaczył.

Mała Jenny słuchała zwykle tych odgadywań i indyjskich widzeń, otwierając szeroko swe niebieskie oczy, lub zamyślając się. O, bo Orso sam nigdy nie wybierał się na pustynię. Ona była zawsze z nim i tak im było dobrze, że aż strach. Codzień widzieli coś nowego, mieli całe swoje gospodarstwo, wypadało więc nad wszystkiem się zastanowić.

Siedzą więc oto teraz oboje w paśmie światła i rozmawiają, zamiast robić próbę nowych skoków. Koń stoi na arenie i nudzi się. Mała Jenny przytulona do ramienia Orsa, utkwiła zamyślone oczy w przestrzeń i nóżkami kiwa zawzięcie i rozważa w swojej małej główce, jak to będzie na pustyni, a czasem rzuca pytania, żeby się jeszcze lepiej dowiedzieć jak to będzie.

— A gdzie tam mieszkać? — pyta, podnosząc oczy na towarzysza.

— Tam jest pełno dębów. Bierze się siekierę i buduje się dom.

— Well — mówi Jenny — a nim dom stanie?

— Tam zawsze ciepło. Gryzli Hiller mówił, że tam bardzo ciepło.

Jenny poczyna kiwać jeszcze mocniej nóżkami na znak, że jeśli tam ciepło, to jej o nic więcej nie chodzi; ale po chwili zastanawia się znowu. Ma ona w cyrku ulubionego psa, który nazywa się pan pies, i kota zwanego pan kot, chciałaby więc i względem nich coś postanowić.

— A pan pies i pan kot pójdą z nami?

— Pójdą — odpowiada Orso i mruczy z radości.

— Weźmiemy z sobą i dobrą książkę?

— Weźmiemy! — mówił Orso i mruczy jeszcze głośniej.

— Well — szczebioce dziewczynka. — Pan kot będzie nam łapał ptaszki, a pan pies będzie szczekał, jeśli zechce do nas przyjść kto brzydki; a ty będziesz mężem, ja twoją żoną, a one będą nasze dzieci.

Orso taki już uszczęśliwiony, że nie może nawet mruczeć, więc Jenny prawi dalej:

— I pana Hirscha nie będzie i cyrku nie będzie i nie będziemy nic nigdy robić i tyle!.... Ale nie! — dodaje po chwili — dobra książka mówi, że trzeba pracować, więc czasem przeskoczę sobie przez jaką obręcz, przez dwie obręcze, przez trzy obręcze, przez cztery obręcze!

Jenny nie wyobraża sobie widocznie pracy pod inną postacią, jak skakanie przez obręcze.

Po chwili pyta znowu:

— Orso, i ja naprawdę będę zawsze z tobą?

— Tak jest, Dży: ja ciebie bardzo kocham.

Twarz jego rozjaśnia się gdy to mówi i staje się prawie ładna.

A jednak on sam nie wie, jak kocha tę małą jasnowłosą główkę.

Oto jak brytan swoją panią. Zresztą na całym świecie ją tylko jedną. Swoją drogą wygląda przy niej jak smok, ale co mu to szkodzi? Nic a nic!

— Dży — mówi po chwili — posłuchaj, co ci powiem.

Jenny, która przed chwilą podniosła się, chcąc spojrzeć na konia, przyklęka teraz przed Orsem, i aby nic nie stracić z jego słów, opiera łokcie na jego kolanach, następnie położywszy brodę na obie dłonie, poczyna słuchać z zadartą główką.

W tej chwili jednak, na nieszczęście dzieci, wchodzi do cyrku artysta na bacie, a wchodzi w jaknajgorszym humorze, albowiem próba ze lwem zupełnie się nie udała.

Wyłysiały ze starości zwierz, który radby, żeby mu już raz dali święty pokój, żadną miarą nie chciał rzucać się na artystę — pod razami bata chował się tylko w głąb klatki. Dyrektor myślał z rozpaczą, że jeśli to lojalne usposobienie nie opuści lwa do wieczora, to koncert na bacie może się nie udać, bo bić lwa, który się odwraca, nie jest większą sztuką, niż zacząć jeść raka od ogona.

Humor dyrektora jeszcze się pogorszył, gdy murzyn sprzedający bilety na paradyz doniósł mu, że Cahuillowie widocznie już przepili pieniądze wzięte za winobranie, albowiem zgłasza się ich wprawdzie do kasy wielu, ale zamiast pieniędzy, ofiarowują za bilety swoje derki znaczone U. S., albo też żony, zwłaszcza stare. Brak pieniędzy u Cahuillów był niemałą stratą dla artysty na bacie. Liczył on bowiem na „crowded house," a bez paradyzu nie może być „crowded house," dlatego dyrektor życzył sobie w tej chwili, aby wszyscy Indyanie mieli tylko jeden grzbiet i aby on mógł dać koncert na tym grzbiecie wobec całego Anaheimu. W tem usposobieniu wchodzi do cyrku, a widząc konia nierobiącego nic i stojącego ze znudzoną miną pod pa-

rapetem, ma ochotę przewrócić kozła z gniewu. Gdzież mogą być Orso i Jenny? Zakrywszy ręką czoło, aby mu oczu nie zaślepiało światło wdzierające się przez płótno, dyrektor wpatruje się w głąb i dostrzega w świetlanem pasemku Orsa i Jenny klęczącą przed nim, z łokciami wspartymi na jego kolanach. Ujrzawszy takie widowisko, puszcza koniec bata na ziemię.

— Orso!

Piorun, któryby uderzył w grupę dwojga dzieci nie mógłby wywołać większego w nich przerażenia. Orso zrywa się na równe nogi i poczyna zstępować wycięciem między ławkami na dół, tym pośpiesznym ruchem zwierzęcia idącego do nogi na głos pana; za nim postępuje mała Jenny z oczyma szeroko otwartemi z przerażenia, chwytając się po drodze ławek.

Orso, wylazłszy na arenę, zatrzymuje się przy parapecie chmurny i milczący. Szare światło padające z góry oświeca teraz wyraźnie jego herkulesowy tułów, osadzony na krótkich nogach.

— Bliżej! — woła ochrypłym głosem dyrektor, gdy tymczasem koniec jego rozpuszczonego bata porusza się po piasku złowrogim ruchem, jakim porusza się ogon tygrysa czyhającego z zasadzki.

Orso postępuje kilka kroków i przez jakiś czas obaj patrzą sobie w oczy. Dyrektor ma zupełnie minę pogromcy, który wszedłszy do klatki, ma zamiar ćwiczyć niebezpieczne zwierzę, ale zarazem śledzi je.

Wściekłość bierze w nim jednak górę nad ostrożnością. Jego cienkie nogi, ubrane w łosiowe spodnie i wysokie masztalerskie buty, podskakują pod nim z gniewu. Może zresztą nie samo tylko próżnowanie dzieci wzbudza w nim gniew. W górze między ławkami Jenny patrzy na obydwóch, jakby patrzyła sarna na dwa rysie.

— Nieodlumie! — łapaczu psów, psie nieznany! — szepcze dyrektor.

Bat z szybkością błyskawicy opisał krąg, zaświstał, zasyczał i uderzył. Orso zaskowyczał z cicha i rzucił się krok naprzód, ale drugie uderzenie wstrzymało go odrazu, poczem trzecie, czwarte, dziesiąte. Koncert rozpoczął się, choć widzów jeszcze nie było. Wzniesiona ręka wielkiego artysty nie poruszała się prawie wcale, dłoń tylko kręciła się, jakby część jakiej maszyny osadzona na śrubie, a każdy jej skręt odzywał się klaśnięciem na skórze Orsa. Zdawało się, że bat, a raczej jadowity jego koniec, wypełnił całą przestrzeń między atletą a dyrektorem który, podbudzając się sam stopniowo, wpadł w prawdziwe uniesienie artystyczne. Mistrz improwizował poprostu. Trzaskawka, migocąc w powietrzu, dwa razy już wypisała krwawe ślady na szyi atlety, które wieczorem miał pokryć puder.

Orso zamilkł w tańcu. Za każdem jednak uderzeniem posuwał się krok naprzód — dyrektor krok w tył. W ten sposób obeszli całą arenę. I znowu dyrektor wycofywał się z areny, zupełnie jak pogromca z klatki, a wreszcie znikł u wejścia do stajen... zupełnie jak pogromca.

Na odchodnem jednak wzrok jego padł na Jenny.

— Na koń! — wykrzyknął. — Rachunek na później!

Głos jeszcze nie przebrzmiał, gdy biała spódniczka mignęła w powietrzu i Jenny w mgnieniu oka skoczyła jak małpa na grzbiet koński. Dyrektor zniknął za zasłoną, koń zaś począł galopować w koło, dudniąc niekiedy kopytami w parapet.

— „Hep! hep!“ — pokrzykiwała cienkim głosikiem Jenny: „Hep! hep!“ ale owo „hep! hep!“ było zarazem łkaniem. Koń biegł coraz prędzej i dudnił kopytami, pochylając się coraz gwałtowniej. Dziewczynka, stojąc na siodle z nóżkami przyciśniętemi jedna do drugiej, zdawała się go ledwie końcami palców dotykać; różowe nagie jej rączki chwytały nagłymi ruchami równowagę, rzucone w tył pędem powietrza włosy i cyrkowa z gazy spódniczka goniły za jej lekką postacią, podobną do ptaka, krążącego w powietrzu.

— „Hep! hep!“ — pokrzykiwała jeszcze. Tymczasem łzy zalewały jej oczy, tak, że musiała głowę zadzierać, żeby coś widzieć; bieg konia odurzył ją; spiętrzone szeregi ławek i ściany i arena poczęła wirować naokół niej. Zachwiała się raz, drugi i wreszcie spadła w ramiona Orsa.

— O, Orso! biedny Orso! — wołało szlochając dziecko.

— Co ci jest, Dży — szeptał chłopiec. — Czego płaczesz? Nie płacz, Dży! Mnie nie bardzo boli, wcale nie bardzo.

Jenny rzuciła mu obie ręce na szyję i poczęła całować jego policzki. Całe jej ciało trzęsło się od uniesienia, a płacz przechodził prawie w spazmy.

— Orso! o Orso! — powtarzała, nie mogąc więcej przemówić, i ręce jej zaciskały się gwałtownie koło jego szyi. Gdyby sama została wybita, nie mogłaby płakać więcej; jakoż w końcu on zaczął ją utulać i pocieszać... Zapomniawszy o bólu, chwycił ją na ręce i przyciskał z kolei do serca, a rozkołysane biciem jego nerwy sprawiły, że pierwszy raz uczuł, iż kocha ją nietylko tak jak brytan swą panią. Oddychał szybko, a wargi jego poczęły szeptać przerwanym tchnieniem:

— Nie mnie już nie boli... Gdy ty jesteś przy mnie, bardzo mi jest dobrze... Jenny! Jenny!

Tymczasem dyrektor chodził po stajniach i pienił się ze złości. W sercu jego nurtowała zazdrość. Widział on dziewczynę na kolanach przed Orsem, a od pewnego już czasu cudne dziecko poczęło w nim wzbudzać jakby brzask nizkich uczuć, nie dość jeszcze rozwiniętych. Ale posądził już ją i Orsa o romans, więc pragnął się zemścić. Znalazłby dziką rozkosz, gdyby ją wybił, bardzo mocno wybił, i tej chęci nie mógł się oprzeć. Po chwili zawołał na nią.

Wyrwała się natychmiast z rąk atlety i w mgnieniu oka znikła w ciemnem wejściu do stajen. Orso był jakby odurzony, bo zamiast iść za nią, poszedł chwiejnym krokiem do ławki, i siadłszy na niej, począł ciężko robić piersiami.

Tymczasem dziewczynka, wbiegłszy do stajni, nie spostrzegła zrazu nikogo, albowiem ciemniej tam było jeszcze, niż na arenie. Bojąc się jednak, aby nie posądzono jej, iż nie spełniła natychmiast rozkazu, wołała cichym i przestraszonym głosem:

— Już jestem tu, panie, już jestem!

W tej samej chwili ręka dyrektora chwyciła za małą jej rączkę, a chrapliwy głos wyrzekł:

— Come!

Gdyby był gniewał się na nią, lub krzyczał, mniejby ją to przerażało niż owo milczenie, w jakiem prowadził ją w stronę garderoby cyrkowej. Przechyliła się więc w tył i opierając się co siły, powtarzała jak mogła najszybciej:

— Mister Hirsch! mój drogi, mój słodki! nigdy nie będę.

Ale on prowadził ją przemocą do długiej zamkniętej komory, w której był skład kostiumów, i zamknął drzwi na klucz.

Jenny rzuciła się na kolana. Z wzniesionemi oczyma ku górze, ze złożonemi rękoma, drżąca jak liść, zalana łzami, próbowała go przebłagać; on zaś, zdjąwszy szpicrutę ze ściany, rzekł w odpowiedzi:

— Połóż się!...

Uczepiła się wówczas rozpaczliwie jego nóg, bo prawie umierała ze strachu. Każdy nerw dygotał w niej jak naciągnięta struna, ale napróżno swoje zbladłe usteczka przyciskała błagalnie do jego wyglansowanych cholew. Przeciwnie: strach jej i prośby zdawały się go jeszcze podniecać. Chwyciwszy ją za opaskę spódniczki,

rzucił na stos sukien leżących na stole, potem przez chwilę jeszcze tłumił gwałtowne poruszenia jej nóg i wreszcie uderzył.

— Orso! Orso! — zawołała dziewczynka.

W tej samej chwili drzwi zatrzęsły się w zawiasach, zatrzeszczały od góry do dołu, i cała ich połowa, wybita olbrzymią siłą, zwaliła się z łoskotem na ziemię.

W wyłomie stanął Orso.

Szpicruta wypadła z ręki dyrektora, a twarz pokryła się mu trupią bladością, bo też Orso wyglądał strasznie. Zamiast oczu, widać mu było tylko białka, szerokie wargi jego pokryte były pianą, głowa pochylona jak u byka, a całe ciało zebrane w sobie, niby do skoku.

— Precz! — krzyknął dyrektor, starając się krzykiem pokryć strach.

Ale tama była już zerwana. Orso, tak zwykle posłuszny na każde skinienie jak pies, nie cofnął się tym razem, tylko schyliwszy niżej jeszcze głowę, posuwał się złowrogo ku artyście na bacie, rozciągając jakby przemocą swoje żelazne muskuły.

— *Help! Help!* — zawrzeszczał artysta.

Dosłyszano go.

Czterech ogromnych murzynów wbiegło co sił ze stajen przez wyłamane drzwi i rzuciło się na Orsa. Zaczęła się straszna walka, której dyrektor przypatrywał się, szczękając zębami. Przez długi czas widać było tylko kupę poplątanych ciemnych ciał pasujących się w konwulsyjnych skrętach, ruchliwą, kłębiącą się, zwichrzoną; w ciszy, jaka zapadła rozległ się czasem jęk, czasem chrapnięcie lub świst nozdrzy. Ale po chwili jeden z murzynów, wyrzucony jakby nadludzką siłą z owej bezkształtnej masy, zakołysał się w powietrzu i padł obok dyrektora, uderzywszy z głuchym łoskotem czaszką o podłogę; wkrótce wyleciał drugi, a wreszcie ponad kłębem walczących podniósł się tylko Orso, straszniejszy niż przedtem, pokrwawiony i z włosem zjeżonym na głowie. Kolana jego gniotły jeszcze dwóch omdlałych negrów. Potem podniósł się i szedł znowu ku dyrektorowi.

Artysta zamknął oczy.

W tejże samej sekundzie uczuł, że nogi jego nie dosięgają już ziemi, potem uczuł, że leci w powietrzu, a jeszcze potem nic nie uczuł, bo uderzywszy całem ciałem w pozostałą połowę drzwi, padł bez czucia na ziemię.

Orso obtarł się i zbliżył do Jenny.

— Chodź! — rzekł krótko.

Wziął ją za rękę i wyszli. Całe miasto goniło właśnie za procesyą wozów i za maszyną grającą: „Yankee Doodlee“ — więc koło cyrku było zupełnie pusto. Papugi tylko, kołyszące się w obręczach, napełniały krzykiem powietrze. Dzieci szły ręka w rękę prosto przed siebie; tam, gdzieś na końcu ulicy widać było zdaleka niezmierzone pole kaktusowe. Milcząc, mijali domy ukryte w cieniu eukaliptów, następnie minęli miejscową bydłobójnię, koło której kręciły się tysiące szpaków czarnych z czerwonemi skrzydłami, przeskoczyli wielki rów irygacyjny, weszli w lasek drzew pomarańczowych i wydostawszy się z niego, znaleźli się między kaktusami.

To już była pustynia.

Jak okiem sięgnąć, piętrzyły się coraz wyżej kolczaste kępy; powikłane liście wyrastające z innych liści zagradzały drogę, chwytając haczykami za sukienkę Jenny. Czasem kaktusy wznosiły się tak wysoko, że dzieci były jakby w lesie jakim, ale też w tym lesie nikt już nie mógł ich znaleźć. Szli więc, skręcając to na prawo, to na lewo, byle dalej. W miejscach, gdzie piramidy kaktusów były mniejsze, widać było na samym krańcu widnokręgu błękitne góry Santa-Ana. Szli ku górom. Upał był wielki. Popielate szarańcze ksykały w kępach: promienie słoneczne zlewały się na ziemię potokami; wysuszona ziemia pstrzyła się siatką zapadlin, sztywne liście kaktusów zdawały się mięknąć od gorąca, a kwiaty były omdlałe i nawpół zwiędnięte. Dzieci szły, milcząc i rozmyślając. Ale wszystko co ich otaczało było tak nowe, że wkrótce oboje oddali się zupełnie wrażeniom i zapomnieli nawet o zmęczeniu. Jenny biegała oczyma z jednej kępy na drugą, to znów zapuszczała badawczy wzrok w środek kaktusów, pytając od czasu do czasu cicho towarzysza:

— To, to jest pustynia, Orso?

Jednak pustynia nie zdawała się być pustą. Z dalszych kęp dochodziły nawoływania kogutów kuropatwich, a naokoło rozlegały się rozmaite dziwne klaskania, cmokania, mruczenia: słowem najróżnorodniejsze głosy małych zwierzątek, zamieszkujących kaktusy. Czasem zrywało się całe stado kuropatw; czubate biegacze uciekały piechotą na długich swych nogach, czarne wiewiórki dawały za zbliżeniem się dzieci nurka pod ziemię, na wszystkie strony pierzchały zające i króliki; susły, siedzące na tylnych łapkach przed jamami, podobne były do tłustych niemieckich farmerów, stojących we drzwiach domów.

(Dokończeuie nastąpi).

Z teatru.

„Małe dusze“ komedya Stefana Krzywoszewskiego.

Autor wprowadził nas w ciekawy światek mechesów warszawskich, pociągnięty pokostem polskości, a w środku międzynarodowy, i na szerokim pendzlem podmalowanem tle wodnemi farbami naszkicował profile grupy osób w lekkich, rozwiewnych zarysach, zaznaczywszy przytem zgrabnie rasowe różnice pomiędzy mechesami a finansistami wyrosłymi z pnia polskiego. Obrazek o treści zbagatelizowanej ujął p. K. w ramki charakterystyczne tak, iż istota sztuki, którą stanowi defraudacya bankiera Berskiego i powiązane z nią losy jego familii rozpływa się w potoku czczego życia towarzyskiego.

Tak zwykle bywa w życiu, wszelako autor położył zbyt wielki przycisk na obramowanie swego obrazu; zwłaszcza przedłużył akt trzeci scenkami, które nie mogą budzić żywszego interesu, ponieważ akcya już się rozegrała i o losach Belskich dowiedzieliśmy się wszystkiego. Zastępując te scenki jednym lub kilku zgrabnemi zwrotami, p. K. osiągnął-by swój cel daleko efektowniej. Ale utalentowany powieściopisarz nie zrósł się jeszcze z sceną tak, aby poznać wszystkie jej wymogi, a więc zgłębić arkana architektoniki dramatycznej i podwodne rafy dyalektyki. Dlatego wprowadza pod sam koniec dwie zbyteczne, statystyczne figury, połowę pierwszego aktu podarł w strzępy dyalogów rozstrzelonych, które nie pozwalają słuchaczowi spocząć umysłem na żadnym punkcie. Byłoby inaczej, gdyby autor pozwolił nam wcześniej zachwycić wątek sztuki. W dyalogach zaś, acz potoczystych miejscami błyskotliwych, brak miąższości, z pomocą której uwydatniła-by się myśl dobitniej. Mimo to wszakże wytworzył p. K. atmosferę salonową, poznaczył swój obraz dobrze podpatrzonemi, specyficznemi rysami odnośnej sfery, a mianowicie oświetlił mieszkającego w niej ducha, albo raczej — brak ducha i nicość moralną.

Bankier Meergold, *spiritus movens* komedyi, skupia w sobie główne cechy mechesów, a dla aktora charakterystyczno-komicznego przedstawia wdzięczne pole popisu. P. Dobrzański pochwycił sposobność ujawnienia swego talentu; odegrał Meergolda

z zrozumieniem, pewną inwencyą i jednolicie.

Wogóle wykonanie „Małych dusz“ nie pozostawiało wiele do życzenia. P. Polenski był bardzo szczerym Sztajerem z miny i czupryny, panna Micińska wlała dużo ciepła w rolę Kasi, pani Orwid z drobnem zastrzeżeniem utrzymała się w charakterze, p. Prochaska był dość poprawnym Henrykiem. P. Andruszewski wyszedł z niekoniecznie przekonującej roli Bełskiego — zwycięzko.

Mniejsze role: Meergoldowej, Kowalewicza, Kręskiego i Orzelskiego oddali bez zarzutu panna Podgórska, pp. Czerniak, Stradiot i Wiślański. Wszyscy inni przyłożyli rękę do sukcesu „Małych dusz,“ które zrobiły przyjemne wrażenie.

Roman Rola.

* * *

„Zagroda Sobkowa“ — melodramat E. Błotnickiego.

Melodramat Błotnickiego przerobiony z niemieckiego wliczyć należy do lepszych widowisk niedzielnych, posiada bowiem wszystkie, mniej lub więcej uwydatnione pierwiastki utworów rysowanych węglem i koloryzowanych jaskrawo. A artyści nasi wypuklili melodramat swą dobrą grą. P. Czerniak — którego oklaskiwaliśmy w tak różnego pokroju kreacyach — okrasił sztukę swą kreacyą czarnego charakteru. Pani Sznage z wielkiem przejęciem odtworzyła rolę nieszczęsnej sieroty i zdobyła zasłużone oklaski. Panna Grabowska stworzyła sympatyczną Sobkową; panna Micińska, pp. Ryszkowski i Wiślański sekundowali dobrze.

Zarówno sztuka jak aktorzy musieli zadowolić widzów, lecz niestety widzowie niebardzo dopisali.

R. R.

KRONIKA.

„Wielkie uprzątanie“ oto hasło bojowe naszych pań w tygodniach przedświątecznych. Okna bez zasłon, tak że mógłbyś, gdybyś był ciekawym, przejrzeć całe wnętrze mieszkania.

Wszędzie ogólne odkurzanie, trzepanie i oczyszczanie. Lecz nie tylko w domach naszych odbywa się to wielkie wyprzątanie. Przecież w tym właśnie czasie oczyszczamy też dusze nasze, krusząc się u stóp konfesyonału. Lecz co dziwniejsza szczególny zbieg okoliczności sprawia, że i Niemcy zabrali się do generalnego uprzątania. Jedno z pism niemieckich zapowiada także generalne uprzątanie, a na imię temu uprzątaniu: *„sprawa Endella.“*

Sprawa ta od dawna wisi w powietrzu. Dochodziły przed kilku laty posłuchy, że komisya kolonizacyjna nabyła od p. majora Endella Kiekrz, na życzenie osób najwyższe zajmujących urzędy w W. Ks. Poznańskiem. Ratowano tym sposobem Niemca, dla sprawy niemieckiej tak zasłużonego, że kazano mu podpisać rewers, iż urzędu przewodniczącego w Izbie rolniczej nadal nie przyjmie. Musiałyby to być dziwne „zasługi!“ Potem mówiono o tych „zasługach“ najrozmaiciej, wreszcie były oskarżenia, sądy honorowe, w końcu padł strzał i zakończył życie samobójczo landrat Willich, a pan Endell urósł w siłę i w poważanie i znowu jest członkiem Izby rolniczej. Tego już było za wiele tym, którzy wiedzieli o istnieniu owego znakomitego rewersu, ogłoszono przebieg sprawy, a pan Endell chce wytoczyć proces.

Piszę o tem wszystkiem, ponieważ proces ten może rzucić jaskrawe światło na stosunki, panujące wśród tutejszych Niemców, może wykryć, jak daleko się korupcya zakradła pod wpływem rządów hakatyzmu u nas. Dowiemy się może dużo — lecz, kto wie? Proces już raz miał się odbyć, a jednak go nie było. Czyżby się obawiano przystąpić do wielkiego uprzątania? Czy może już tyle brudów się zebrało, że trzebaby nowego Herkulesa na wyprzątnienie tej agajaszowej stajni?

Widzimy z tych krótkich uwag, że w państwie bojaźni Bożej coś się psuje, że to, co przepowiadały tylekroć pisma nasze, że te wszystkie antypolskie fundusze ustanawiane dla wzmocnienia niemczyzny wprowadzą rozkład do duszy niemieckiej, że jad nienawiści, szczepionej przez Bismarcka, zostawi swe niszczące ślady na niemieckiem obywatelstwie.

Podnoszę to wszystko dlatego, ponieważ Prusacy tak często się chełpią swemi rzekomo katonowskiemi cnotami, ponieważ wyszydzają korupcyą panującą w innych państwach. Wydaje mi się, że przysłowie: „zamiatajcie przed własnemi drzwiami“ — najzupełniej się stosuje do stosunków wśród Niemców osiadłych u nas. — Dosyć o tem.

O niezmiernie smutnej dla nas muszę pomówić sprawie. Podano wiadomość, że 16 gospodarstw polskich w Mąkownicy pod Witkowem przeszło w ręce komisyi kolonizacyjnej.

Bolesny to cios! Nie chodzi tu już tyle o obszar ziemi, bo przecież większi właściciele większe jeszcze majątki oddawali w ręce komisyi, lecz o zastraszający objaw, iż wśród gospodarzy naszych mnożą się kolonizatorzy.

Pisma przestrzegały naszych włościan, wyraźnie pisały, że komisya kolonizacyjna wzmocniona nowemi milionami starać się będzie o wykupywanie mniejszej własności, że całą siłą będzie się starała wysadzać polskiego chłopa z sadyb ojczystych. Dostatecznie też tłomaczono znaczenie komisyi kolonizacyjnej i znaczenie sprzedaży polskiej ziemi tej komisyi, aby można czemkolwiek wytłomaczyć taki postępek gospodarzy.

A zdaje się jednak, że jeszcze za mało się pisze o tem, bo w memoryale komisyi kolonizacyjnej wyraźnie powiedziano, że 140 gospodarzy polskich ofiarowało swe ziemie komisyi kolonizacyjnej.

Ci, co tak zrobili, shańbili cały poczciwy stan polski włościański, wymierzyli mu ciężki policzek. Wydaje mi się, że tak, jak piszemy, w pismach naszych: *„uczmy dzieci czytać i pisać po polsku,“* tak też musimy umieścić hasło: *„Nie sprzedawaj ziemi komisyi kolonizacyjnej!“*

Dalej należy nam omawiać na wszystkich wiecach straszne skutki, jakie działanie komisyi kolonizacyjnej może za sobą pociągnąć.

Obecnie będą się odbywały większe i mniejsze wiece przedwyborcze, niechaj mówcy pouczają się o wyborach do parlamentu, omówią też, jakie cele ma komisya kolonizacyjna. Niechaj posłowie nasi, zdający na wiecach sprawę — z czynności Koła Polskiego w parlamencie niemieckim omówią sprawę tę jasno i dobitnie. Trzeba nam zawsze pouczać i przypominać, do czego dąży komisya, jaką zbrodnię popełnia sprzedający ziemię ojczystą komisyi kolonizacyjnej.

Zapobiegajmy póki czas!!

Swiatlejsi włościanie niech baczą w swych wsiach na kusicieli pojawiających się w różnych postaciach, i niech przed nimi ostrzegają mniej doświadczonych, ciemnych lub obojętnych. Przeciw sprzedaży ziemi obcym wszyscy musimy występować. Sprawa ta bardzo ważna, nagła, paląca!

Alfa.

Zaległe numery musi dostarczyć każda poczta na żądanie.

W obrębie państwa niemieckiego jest ***każda poczta i każdy listowy tak na wsi jak i w mieście zobowiązany*** każdego czasu do przyjęcia abonamentu, który wynosi na kwartał

tylko 1 markę 25 fen.

Uwaga: Przy zamówieniu na poczcie winien każdy wyraźnie zaznaczyć, że pragnie zaabonować „Pracę z *Poznania.*

W zeszłym numerze rozpoczęliśmy druk bardzo pięknej dwutomowej powieści, osnutej na tle stosunków alzackich z ostatniej wojny francusko niemieckiej p. t.

Pod pruskim zaborem.

Powieść jest bardzo zajmująca, rozczulająca i owiana prawdziwą miłością ojczyzny.

Początek tej powieści otrzyma każdy nowy abonent gratis i franko.

Nadto zamieszczać będziemy cały szereg przepięknych nowel, opowiadań, wspomnień z podróży i t. d. pióra naszych najznakomitszych współczesnych literatów; mianowicie drukować będziemy między innemi następujące utwory ***Henryka Sienkiewicza:*** nowelkę *„Orso“*, której druk w zeszłym numerze rozpoczęliśmy, wspomnienie z podróży *„Walka byków w Hiszpanii“*, oraz opis puszczy Białowiezkiej p. t. *„Z puszczy Białowiezkiej.“*

Początek nowelki „Orso“ otrzymają nowi abonenci gratis i franko.

Jak się Szanowni Czytelnicy przekonają z ostatnich numerów, rozszerzyliśmy także znacznie dział powieściowy i wprowadziliśmy między innemi działami znowu *„Dział rolniczo-ekonomiczny.“*

Każdy ze starych abonentów, który zjedna nowego abonenta, otrzyma jako

premium

piękną książkę powieściową, jeżeli nam nadeśle na dowód własny kwit abonamentowy pocztowy, oraz kwit zjednanego abonenta.

Już czas największy zapisać

„Czytelnię Polską“

na nowy kwartał.

„CZYTELNIA POLSKA“ zapisaną jest na poczcie w spisie gazet na rok 1903 pod rubryką: „Abtheilung II t. poln. 13.“

Abonament „CZYTELNI POLSKIEJ“ wynosi kwartalnie

60 fen.

W Austryi i wogóle w Austro-Węgrzech

97 hal.

Pod opaską: kwartalnie 1,10 mk., czyli 1 koronę 23 hal.

W 11-tym zeszycie

„Czytelni Polskiej“

rozpoczęliśmy druk bardzo pięknego, nadzwyczaj interesującego, obszernego romansu historycznego, napisanego w dwóch tomach przez Michała Czajkowskiego p. t.

„Szwedzi w Polsce.“

Było to roku Pańskiego 1655. Karol Gustaw, potomek nieprawego przywłaszczyciela szwedzkiego tronu, widząc Polskę, szarpaną domową wojną i uciśniętą morskiemi najazdami, znając niepokwapność do wojny i serce, chciwe pokoju i zgody, w Janie Kazimierzu, nadstawiał ucho podszeptom i obietnicom jej nieprzyjaciół i postanowił na padem na polską ziemię — przywłaszczyć dla siebie i dla swoich dziedziczne prawo Zygmuntowego syna.....

Na powyższem tle historycznem napisany jest romans

„Szwedzi w Polsce,“

który każdy mianowicie młodzież nasza czytać będzie z wielkiem zainteresowaniem, gdyż treść jego jest nadzwyczaj zajmująca.

Początek romansu otrzyma każdy nowo przybyły abonent gratis, jeżeli nam nadeśle na dowód kwit pocztowy abonamentowy.

Ze względu na rozpoczęcie druku powyższego romansu historycznego zachęcamy Czytelników i Przyjaciół naszych do najliczniejszego zapisywania sobie na poczcie i w naszej ekspedycyi „Czytelni Polskiej.“

Kwity na „Pracę“ i „Czytelnię“ zamieszczone są na osobnej stronie pod okładką.

Kwity na „Pracę“ i „Czytelnią“ zamieszczone są na osobnej stronie pod okładką.

Wiadomości.

— **Z teatru.** Od wyjazdu pani Modrzejewskiej scena nasza znowu nie ma powodzenia i mimo tak wyborowego jak też urozmaiconego programu teatr świeci przeważnie przerażającemi pustkami, podczas gdy w Kaisergartenach, Apolinach i Stadteatrach jest na przedstawieniach wielu Polaków. Fakt to smutny, lecz prawdziwy, nad którym bardzo ubolewać należy.

W sobotę i w niedzielę wieczorem ujrzymy piękny utwór dramatyczny Józefa Szujskiego p. t. *„Halszka z Ostroga.“* Spodziewamy się, że wzniosły ten dramat historyczny ściągnie licznych widzów do teatru. W niedzielę po południu „Zagroda Sobkowa.“

— **Tow. Wykładów Ludowych.** W zeszłą niedzielę przemawiał p. *red. M. Wierzbiński* o „związkach kobiet chrześcijańskich w Anglii“ i dał wyczerpujący obraz ogromnej działalności społeczeństwa angielskiego w tym kierunku tak, iż słuchacze mogli wynieść wskazówki w jakim duchu działać należy i jakiemi środkami należy się posługiwać. Następnie p. poseł i *mec. Chrzanowski* dokończył szereg swych wykładów z historyi polskiej i mówił z zwykłą swadą o smutnym okresie dziejów naszych: trzecim rozbiorze Polski, pokrótce wskazując na przyczyny upadku Rzeczypospolitej.

— **Zwracamy** uwagę na ogłoszenie firmy „Antoni Rose“ w Bazarze, która poleca przepiękne wielkanocne karty pocztowe z życzeniami.

— **Pralnią, prasowalnią** i pręgiernią firan poleca w dziale ogłoszeń p. *Władysława Niemirowiczowa* przy ulicy św. Wojciecha 22 i 24. Zakład istnieje już od lat kilku i cieszy się liczną klientelą, gdyż wykonuje wszelkie polecenia sumiennie i wzorowo. Zwracamy na to przedsiębiorstwo baczną uwagę Szanownej Publiczności i polecamy gorąco jej względom pralnią pani N.

— **Egzamin** na akademii drogerzystów w Brunświku złożyli następujący Polacy: pp. Bogajski Stanisław z Poznania, Kulesza Eweryst z Gniezna i Kędzierski Józefat z Inowocławia.

— **Język urzędowy.** Najwyższy sąd administracyjny zawyrokował, że napisy na drogowskazach mogą być tylko niemieckie, a polskie gdzie są, muszą być usunięte.

— **O polskie imiona.** Panowie: kupiec Ignacy Jańczak z Kruszwicy, kupiec Jan Kowalski ze Strzelna, Wincenty Wąsowicz, właściciel apteki z Inowrocławia i pani Elźbieta Klemensowa z Gniewkowa byli swego czasu oskarżeni przed sądem ławniczym w Inowrocławiu o wypisanie polskich imion na godłach kupieckich. Sąd ławniczy uwolnił ich od winy, ale prokurator odwołał się do izby karnej, i ta instancya uwolniła oskarżonych od winy. Prokurator apelował teraz do wyższej instancyi, jak donoszą „Dzien. Kuj.“

— **Wały forteczne w Poznaniu** zostaną, jak wiadomo, zupełnie zniesione. Obszar, jaki zajmują, ma być sprzedany na place budowlane. Wobec tego wystosowali podobno hakatyści poznańscy podanie do rządu, ażeby z obszaru tego ani piędzi nie sprzedano Polakom.

— **Uroczystości** tutejszego Bractwa strze-

leckiego z okazyi 650-letniego istnienia potrwają od 11 do 19 lipca. Spodziewany jest bardzo liczny zjazd strzelców.

— **Uwięzieni** redaktory mają podobno lepiej być traktowanymi, jak się dowiaduje wrocławska socyalistyczna „Volkswacht.“ Pisze ona, że wyszło osobne ministeryalne rozporządzenie, które reguluje obchodzenie się z redak cıami w pruskich więzieniach. Odtąd ma l.yć wolno redaktorowi zajmować się we więzieniu pracą zawodową, lecz tylko od warunkiem, że wróci administracyi więziennej straty, które ona przez to ponosi. Celi swej również nie ma odtąd ıedaktor zamiatać sam, a na podwórzu więziennem będzie mu wolno przechadzać się osobno bez towarzystwa innych więźniów. Nawet gazetę będzie wolno trzymać uwięzionemu, ale nie więcej jak jedı ę. O ile wiadomość ta zgadza się z p awdą, trudno na razie powiedzieć.

— **Niem. Piekary.** (Obchody Kalwaryjskie.) Jak rokrocznie, tak i w tym roku odbędą się ıa tutejszem św. miejscu w wielkim tygodniu, a osobliwie palmową niedzielę o 2 po południu, w wielki czwartek o 6 po poł., a w wielki piątek z rana o 5 godz. uroczyste obchody kalwaryjskie z kazaniami. W przeszłym roku przybyło na te nabożeństwa kalwaryjskie a osobliwie w wielki czwartek i w wielki piątek przeszło 5(,000 ludzi, poczęści z dalekich stron, jak z Królestwa Polskiego, z Galicyi a naw et z Księztwa Poznańskiego i Prus Zachodnich. Przez całą noc z wielkiego czwartku na wielki piątek kolejka elektryczna będzie w użyciu, tak że co kwadrans można z Bytomia do Piekar przyjeżdżać i odwrotnie.

Tutejsza Kalwarya jest co do stacyi męki Pańskiej podobieństwem św. miasta Jerozalem i wszystkie stacye odpowiadają co do odległości prawdziwej drodze Jerozolimskiej, którą szedł nasz Zbawiciel na mękę i śmierć. Tak samo pod względem sztuki tutejsze stacye są arcydziełami sztuki rzeźbiarskiej itd. i można śmiało powiedzieć, że nie znajdziesz nigdzie tak pięknej Kalwaryi, jaką jest Piekarska. Przez całą noc z wielkiego czwartku na wielki piątek wszystkie kapliczki i kościoły będą świetnie elektrycznie oświetlone.

Zmarli:

† S. p. *ks. Konrad Kempiński*, proboszcz w Dębnie, dnia 30-go z. m. Nieboszczyk był dawniej przez szereg lat wikaryuszem przy archikatedrze poznańskiej; urodzony w r. 1842, święcenia kapłańskie otrzymał 1869 r., a od r. 1889 był proboszczem w Dębnie.

† S. p. *Zbigniew Trąmpczyński*, referendaryusz sądowy, dnia 25-go z. m. w Poznaniu, przeżywszy 27 lat.

† S. p. *Zofia z Wiśniewskich Danielska*, dnia 24. z. m. w Kobylinie.

Od Redakcyi.

Panu Kazimierzowi Kieslingowi w Poznaniu. — Komentarza do tej powieści nie posiadamy.

Panu W. A. w K. — W tej sprawie poinformuje Pana każda księgarnia. Udaj się Pan do księgarni „Chrzanowski i Kucner“ w Poznaniu, św. Marcin.

Panu W. K w Poznaniu. — Odezwę do handlarzy węgli otrzymaliśmy już po wydrukowaniu numeru na dzień 29 go marca, zatem zamieścić nie mogliśmy.

Wielebnemu Ks. J. w Żninie. — Na cel ten nic u nas nie złożono.

Panu T. K. w Pleszewie. — Gdybyś Pan dom kupił z wolnej ręki, to kontrakty najmu (komornego) przez to nie są zniesione, tylko wszystko pozostaje tak, jakby dom ten był w posiadaniu dotychczasowego właściciela.

Panu Fr. R. w Marxloh. — Notatkę o wiecu, który się odbył dnia 22-go z. m. w Marxloh, otrzymaliśmy już po wydrukowaniu numeru „Pracy“ na dzień 22-go marca, zatem nie mogliśmy jej zamieścić.

Panu J. Ch. w Berlinie. — Szkół fachowych dla rzemieślników w Poznaniu nie ma. O ile nam wiadomo, urządzają się corocznie w tutejszej król. szkole budowlanej kursa dla poszczególnych rzemiosł, tak dla majstrów jak też dla czeladzi. Poinformuje Pana bliżej dyrekcya zakładu. Pisać trzeba po niemiecku pod adresem: „*An die Direktion der Königl. Bauschule in Posen, Wiesenstrasse.*“

Cz. 100 — Przewodniczącą Towarzystwa Polek i Litwinek w Londynie jest pani Zofia Pace. Adres Tow. brzmi: Patriot square 2. Cambridge Rd. London N. E.

Panu A. Przybylskiemu w S. — Podług ogólnych przepisów pocztowych winien na pierwszej stronie karty pocztowej być umieszczony napis: „Postkarte“, a jeżeli tego napisu nie ma, to trzeba za taką kartę zapłacić tyle, co za list zwyczajny t. j. 10 fenygów. Na karcie przez Pana wysłanej do p. A. F. jest wprawdzie napis „Karta pocztowa“ (Correspondenz-Karte), ale poczta tego napisu nie uznała za wystarczający — może tembardziej dla tego, że tam mowa o „Pracy“, której, jak wiadomo, hakatyści wcale nie kochają.

Panu W. K. Wc. 100. — Jeżeli komornik ma podług kontraktu najmu zawartego z gospodarzem trzymiesięczne wypowiedzenie, to 4 stycznia r. b. było komorne za późno wypowiedziane i wyprowadzić się nie potrzebuje. W takim razie gospodarz odpowiedzialnym jest za wszelkie dla Pana wynikłe straty.

— Manuskryptów nie zwracamy, nie przyjmujemy za nie żadnej i to żadnej gwarancyi, choćby były przysłane w liście zastrzeżonym (rekomendowanym). Kto więc do naszej Redakcyi przysyła manuskrypty, traci wszelkie prawo do zwrotu manuskryptów, a dalej w razie zagubienia manuskryptów traci też prawo do wszelkiego za nie odszkodowania, i to choćby interesent takowe sobie wyraźnie zastrzegł.

Redakcya i wydawnictwo „PRACY.“

Wesoły kącik.

Miłość i piec.

Młodzieniaszka miłość
Jest tak niezawodnie,
Jak żelazny piecyk:
Pała, lecz wnet chłodnie.

Miłość w wieku mężkim
To piec z kafli duży:
Trudniej się rozpala,
Ale grzeje dłużej.

A gdy porównanie
Poprowadzim dalej,
Wspomnieć piec wypadnie,
W którym djabeł pali.

Wspomnienie wiosny.

Fijołki Zosia mi dała.
Pamiętam, dała przed laty,
Gdym jeszcze marzył o szczęściu
Jak zwykle żaczek s...
Tymczasem wąsal kawaler,
Z przed nosa zdmuchnął mi Zosię,
Ale mi został fijołek —
Niestety, tylko... na nosie.

Przezorność.

— Czy ciocia bardzo lubi pierniki? — pyta czteroletni Józio młodej ciotki.

— O, bardzo lubię — odpowiada ciocia.

— Taaak?... to ja dam moją paczkę wujowi do schowania — postanawia malec przezorny.



Pewny siebie.

— Chcesz pan 200 marek zaliczki. A co będzie, jak pan umrzesz?

— Oo, panie dyrektorze, to się po mnie nigdy nie pokaże!...

Nauka i wychow.

Lekcyi muzyki
na skrzypcach udziela gruntownie po tanich cenach nauczyciel muzyki.
O łaskawe oferty uprasza się pod lit. L. L. 500. (Postlagerad Posen O 5)

Lekcyi muzyki na fortepianie
udziela gruntownie nauczyciel muzyki.
O łaskawe oferty uprasza się pod lit. G. G. 100. (Postlagernd Posen O. 5.

Lekcyi muzyki
na skrzypcach i fortepianie udziela gruntownie po umiarkowanych cenach
Godurkiewicz, organista, Poznań, Kronprinzenstr. 74

Baczność!
Lekcyi muzyki tak na skrzypcach jako i fortepianie po umiarkowanych cenach udziela
Trenner, nauczyciel, Poznań, Piekary nr. 22, I.

Egzamin do jednorocznej służby.
(Przez państwo konc. zakład.)
Nauka rozpoczyna się w poniedziałek, 6 kwietnia rb. Przyjm. od 2—4 po poł.
Poznań, ul. Bismarcka nr. 5.
Dr. Theile.

Zaofiarowane.

Panienki
uczęszczające do szkół, przyjmie na stół i stancyą od 1 kwitnia r. b., zapewniając macierzyńską opiekę. Bliższych szczeg. udzieli K. Prabucka, ul. Ssrzelecka 25, III p. od 1 kwietnia św. Marcin 54 III p.

Gimnazyastów
przyjmie od 1 kwietuia br. na stancyą, zapewniając troskliwą opiekę
Władysław Trąpczyński.
Pozna św Marcin nr. 4.

Przyjmę od 1 kwietnia
dwóch chłopczyków na stół i stancyą
uczęszczających do tutejszych szkół. Ręczę za troskliwą i macierzyńską opiekę.
A. Lissowska, wdowa po nauc., Poznań, ul. Strzelecka 21, (Posen, Schützenstr. 21).

Panów na stół i stancyą
przyjmuje
Stanisław Laurentowski.
Poznań, Kronprinzenstr. 85.

Syna porządn. rodziców, który ma chęć wyuczenia się piekarstwa przyjmę od zaraz w naukę Józef Tiałowski, mistrz piek. w Starogardzie.

Szan. Rodzicom najuprzejmiej donoszę, że od Wielkanocy rb. przyjmuje
na stancyą panienki
uczęszczające do wyższych szkół żeńskich, zapewniając religijne wychowanie, troskliwą opiekę i pomoc w naukach. Zgł. przyjm. do 1 kwietnia św. Wojciech 16, od 1 kwiet. św. Marcin 9, I piętro.
Franciszka Laskowska, naucz. wyższ. szkoły żeńsk.

Gimnazyastów
z lepsz. domów przyjmie od Wielkanocy, zapewn. prawdz. macit zyńską opiekę.
Anna Koczorowska, ul. Strzelecka 3 B obok gimnazyum realnego.

Pomieszkania.

Pomieszkania
Meblowany pokój jest do wynajęcia, zgłoszenia przyjmuje
Stanisław Laurentowski
Wilda, Kronprinzenstr. 85.

Panny
zatrudnione w tutejszych handlach, przyjmuje na stół i stancyą po umiarkowanych cenach
A. Lissowska
Poznań, ul. Strzelecka 21 (Posen Schützenstr. 21.)

Panów na stół i stancyą przyjmuje
Godurkiewicz
Wilda Kronprinzenstr. 74

Od 1 lipca ewent 1 paźdz. br. są przy ul. Posadowsky'ego 15:
pomieszkania
o 5, 4, 3 i 2 pokojach, z przynależytościami do wynajęcia. Również piekarnia z składem i *skład* nadający się na interes kolonialny. Bliższ. wiad. udzieli
J. Drygas
Wielkie Garbary 8.

Z powodu przesadzenia jest mieszkanie przy *pl. Działowym 6*, 1 p., zajęte przez h. Roedern, skład. się z sali, 8 pokoi, balkonu, werandy i przynależyt., także *6 pokoi z balk. i przynal.*, zaraz lub później do wynajęcia. Bliższ. wiad. tylko od 10—2 na part. na lewo tamże.

Wilcheimowska ul. 19
I piętro, sala, 8 pokoi, łazienka etc. z elektr. oświetl. op 1. 10. 03 lub prędzej do wynaj. Oglądać można od 10—11 przed i 2—3 po poł.

Od 1 lipca t. r. poszukuję 4 pokoje z kuchnią
i przynależyt., na 1 piętr. lub part. w górnej części miasta. Zgłosz.:
Strzelecka 3 a, I p.

Pomieszkanie.

Do wynajęcia:
3 pokoje i kuchnia na parterze.
Stajnia na 8 koni od 1 kwietnia.
L. Jeziorski, Poznań, przed Berlińską bramą 16.

Przy ulicy Blüchera (Wilda) są
Pomieszkania
od 2—3 pokoi z kuchnią w nowej kamienicy od zaraz do wynajęcia. Bliższych wiadomości udzieli p. A. Chojnacki, ul. Bülowa Nr. 5.

Przyjmuje się panów na
stół i stancyą
pod bardzo korzystnemi warunkami.
Na życzenie wydaje się także smaczne i pożywne obiady.
Bliższych informacyi udzieli *Redakcya „Pracy.“*

Panów na stół i stancyą przyjmuje **Trenner**
Poznań Piekary 22 I

Kupno i sprzedaż.

Hotel w jedn. z większ. miast powiat. Księztwa z ca. 30 000 mieszkańców, z gimnazyum, wyższą szkołą żeńską, sądem, wielkim garnizonem, fabrykami itd. itd. na pryncypalnej ulicy, jest z powodu zaszłych zmian familijnych pod bardzo korzystnymi warunkami przy zaliczce **20—30,000 mrk** do nabycia. Łask. zgł. pod lit. *W. G.* do ekspd. „Pracy“ w Poznaniu.

Pewna egzystencya!
Dla kupca Polaka, mogącego założ. tutaj w Grucznie **skład bławatów.**
Są tutaj już wprawdzie 2 składy, ale w obcych rękach. Dla polskiej okolicy, jaka tutaj jest, byłby bardzo pożąd. polski skład. Zgłosz. przyjm.
Feliks Czajkowski, budowniczy w Grucznie, pow. Świecki (Grutschno Westpreussen.)

Wózika dla dzieci już używanego poszukuje. Zgłosz. przyjm. eksped „Pracy.“

Moją *posiadłość* w ni i nach o pół mili od Gdzńska, 59 mórg ziemi dobrej na łąki, warzywnik i do uprawy zboża mam do przeprowadzki tanio na sprzedaż. Wpłata 1/3 ceny. Bliższ. inform. udz.:
Buhrand, Gdańsk.
Halbe Allee Michaelsweg 108.

Dobrze prosperujący
skład wiktualny
jest tanio do sprzedania.
Molinus, W. Garbary 53.

Mam z woln. ręki do sprzedania **posiadłość** 60 mórg roli, dom mieszkalny murow. chlew w fachulec, stodoła obita deskami, budynki nowe, za 8570 mrk. wpłaty, reszta 2200 m. może na długi czas być oprocentowana.
Jan Baschek, Abbau Seeben, Ost Pr. p. Koschlau.

Mój *leśny plan* w Stanisławie, obejmujący 42 mórg, na którym jest wysiane 8 korcy żyta, a 15 mórg jest lasu, w którym 2 tys. sztuk zdatnego do budowy drzewa stoi, chcę za 1800 tal. sprzedać. Mający chęć kupna mogą się zgł. u karczmarza p. Skore w Stryjewie przy Bredynku (Striewo p. Bredinken.) Jędrzej Piech, gospodarz, Stanisławo przy Bredynku.

3 koła i maszyna do szycia tanio do sprzedania.
Jan Wycisk, Stare Zabrze, ul. Podgórna 2

6 okien ma tanio do sprzedania. **Spinczyk**, Stare Zabrze, ul. Henryka 38.

Skład wiktualny
w dobrym biegu jest z powodu okoliczności familijnych tanio do sprzedania.
K. Gołębniak, Poznań, ul. Podgórna nr. 12.

4-calowy mocny wóz do sprzedania. — Wilczyński, Poznań-Jerzyce, Lorenzstr. 22

Jeszcze przeszło $1^1/_2$ miliona jednorocznych
wysadków sosnowych
ma na sprzedaż
Zarząd leśny w Miłosławiu.

Gospodarstwo
nizińskie pod Kwidzynem sprzeda zaraz
Frost, Barloschno.

Mały obraz olejny (Sobieski) jest do zamienienia na inny. Bliższ. wiad. w składzie instrumentów muzycznych Max Brill ul. Wrocławska 15.

Posady i prace.

Dwóch czeladzi szewskich
na stałą pasową robotę poszukuje od zaraz skład i warsztat modnego obuwia A Bina, Trzcianka — Schönlanke.

Poszukuje od zaraz
czel. rzeźnickiego
wydoskonalonego we wyrobach, na stałe zatrudnienie.
W. Morawski, Raszków.

3 zdolnych
czeladników
i dwóch uczni przyjmie zaraz mistrz szewski
L. Paprzycki, Poznań, Berlińska 20.

2 zdolnych czeladzi
krawieckich
na stałe zatrudnienie i dobrą płacę potrzebuje od zaraz
A. Balcareh, Ostrzeszów — Schildberg (Posen).

Panny
zdatne do szycia staników i spódnic przyjmie zaraz
M. Joachimowicz, Wilhelmowska ul. nr 14.

Czeladź szewską
na męzką i damską dobrą, szytą robotę potrzebuje zaraz M. Szymański, Wrocławska 13.

Zdolnego
pomocnika
zegarmistrzowskiego na stałe miejsce potrzebuje natychmiast
J. Żywiałowski, Zegarmistrz w Trzemesznie.

1000 ceglarzy
(strycharzy)
znajdzie w Herzfeldzkiej cegielni stałe zatrudnienie. Zgłoszenia i bliższe szczegóły przez Herzfelder Ziegelei-Besitzer-Verein, Herzfelde bei Strausberg an der Ostbahn.
Otto Mann.

2 doskonałych czeladników
krawieckich
na duże sztuki i 1 na spodnie i kamizelki na pierwszorzędną robotę na stałe zatrudnienie prosz. pracownia modnej gard. męzk. **W. Matecki** plac Wilhelmowski 17 III.

Ucznia
z dobremi wiadomościami szkolnemi przyjmie
Paul Wolff
Drogerya, artykuły fotograficzne.

Od 1 kwietnia poszukuję
ucznia
do mojej apteki.
Suchocki, Pleszew.

Ucznia
z odpowiednem wykształceniem szkolnem przyjmie
J. Pomorski
Inowrocław,
handel bławatów i konf. damskiej.

Zdatne panny
do krawiecczyzny przyjmie zaraz lub od 1 kwietnia
„Chic Parisien“
J. Szubert, — plac Piotra 4, I p. Również uczennice płatne i nie płatne mogą się zgłosić.

Urzędnik gosp.
kaw., 36 lat licz., szuka posady od 1. 4. 1. 7. tu lub za granicą. Łask. of. przyjm. Józef Szpinger Czeluścin p. Żydowo.

Poszukuję od 1. 7. znakomitej
kucharki
trzeźwej i moralnej.
Eliza Kurnatowska
Pożarów p. Wronki.

Uczeń
lub wolontaryusz
może się zaraz zgłosić.
Stachowski i Litwinski
Mogilno.
Handel towarów kolonialnych, delikatesów, win, cygar i żelaza.

Ekonom
kaw., dobrze polecony i zdolny pod każdym względem, potrzebny od 1 kwietnia 3. Zgłosz. przyjm.
Zarząd dóbr Samostrzel.

2 dobrych czeladzi krawieckich potrzebuje na stałe zatrudnienie M. Switek, Poznań O. 5. ul Następy tronu 85.

Ucznia uczciwych rodzic. przyjmie od zaraz ogród Czarz p. Schmiegel.

Ucznia do mego handlu kolon. i destylacyi poszukuje od 1 kwietnia lub później
O. Lachmann, Kościan.

Pomocnika i ucznia
przyjmie od zaraz
Maksymilian Andrzejewski, balwierz i fryzyer, Jarocin.

2 doskonałych **czeladników** stolarskich na meble i budowlaną robotę przyjmie natychmiast **F. Drygas**, mistrz stolarski w Stęszewie.

Poszukuje od zaraz **ucznia** do destylacyi i drogeryi.
T. Stasiewski, Swarzędz.

Poszukuje się od zaraz pomocnika do kowalstwa za dobrą zapłatą. Fr. Piasecki, mistrz kowalski, Ueckendorf, Bochumerstr. 14.

Służąca, polka, znajdzie miejsce od 1 kwietnia.
Józef Helik, Herne, Kaiserstr. 85, skład piwa.

Administrator dotychcz. w miejscu poszukuje od 1. 7. 03. administracyi lub samodzielnego zarządu większego majątku ziemskiego w kraju lub za granicą. Łask. of. upr. pod lit.: M. D. postl. Kostschin (Bez. Posen).

Dział rolniczo-ekonomiczny.

Walne zebranie delegatów Towarzystw przemysłowych.

Dnia 29-go z. m. o godz. 2. po południu odbyło się na salce Domu przemysłowego walne zebranie delegatów Towarzystw przemysłowych z udziałem szerszego grona przemysłowców.

Zebranie zagaił prezes Związku p. mec. Czypicki z Koźmina. Marszałkiem wybrano p. dr. Ulatowskiego z Gniezna.

Reprezentowanych było 28 towarzystw związkowych i 14 niezwiązkowych. Delegatów przysłały następujące miasta: Bydgoszcz, Chełmce, Gostyń, Kępno, Kłecko, Kostrzyn, Koźmin, Krotoszyn, Nakło, Oborniki, Poznań (Stary przemysł, katolickie Towarzystwo rzemieślników), Raszków, Srem, Sroda, Szamotuły, Witkowo, Wrocław, Września, Zerkow, Kurnik, Gniewków, Wilda, Inowrocław (Młody przemysł), Gniezno (Stary i Młody przemysł), Wolsztyn, Pleszew. Niezwiązkowe: Stęszewo, Wągrowiec, Czarnków, Kcynia, Opalenica, Swarzędz, Pobiedziska, Mosina, Mogilno, Borek, Poznań (Młody przemysł i Towarzystwo Młodzieży rzemieślniczej), Inowrocław (Stary przemysł), Janowiec.

Obszerne i wyczerpujące sprawozdanie z czynności Związku i jego zarządu odczytał prezes p. mec. Czypicki.

Treści z sprawozdania nie podajemy, bo ukaże się w druku.

Nad sprawozdaniem wywiązała się obszerna dyskusya, w której zabierali głos pp. Paryzek z Inowrocławia, Głowiński z Obornik, Sulikowski z Bydgoszczy, Wąsowicz z Poznania i wielu innych. Wyrażano życzenia w kierunku polepszenia organizacyi, wysełania prelegentów i t. p.

Następnie skarbnik p. Filipowicz przedstawił stan kasy, który jest dość pomyślnym, jest bowiem w kasie 1803 marki. Imieniem komisyi rewizyjnej wniósł p. Gniatczyński o udzielenie pokwitowania, gdyż książki znaleziono w należytym porządku.

Ożywioną dyskusyę wywołała sprawa wydawnictwa pisma przemysłowego. Liczni mówcy uznawali potrzebę założenia organu dla przemysłu i handlu. Referował w tej sprawie p. mec. *Czypicki*, obliczając koszta takiego wydawnictwa na 6000 m. rocznie. *P. Milski*, opierając się na doświadczeniu jako kierownik wydawanego swego czasu „Tygodnika przemysłowego'', był zdania, iż wydawnictwo dałoby się tańszym kosztem opędzić, iż jakie 4000 m. rocznie mogłyby wystarczyć. Gdyby się nie można zdobyć na pismo przemysłowe, radzi mówca wydawanie roczników w formie księgi adresowej handlu i przemysłu. Taka księga adresowa budziłaby interes nie tylko wśród przemysłowców, ale także wśród szerszej publiczności, ktoraby chętnie ją nabywała. Wobec trudnych warunków, w jakich handel polski i przemysł się rozwijają, księga adresowa miałaby doniosłe znaczenie, zwłaszcza gdyby się co rok pojawiała. Delegat towarzystwa przemysłowego poznańskiego p. *Teodor Szulc* wniósł o wydawanie pisma, a redaktor p. *dr. Ulatowski* z Inowrocławia wniósł o przekazanie sprawy wydawnictwa Zarządowi dla ściślejszego zbadania. Obadwa wnioski zostały przyjęte.

Nastąpiły wybory. Prezesem Związku wybrano ponownie p. mecenasa *Czypickiego*, jego zastępcą p. *dr. Hącię*, sekretarzem *W. Witkowskiego*, skarbnikiem p. *Filipowicza*, *dr. Gantkowskiego* i *Tylewicza* z Kórnika. Po wyborze komisyi rewizyjnej i rady przemysłowej wyrażali delegaci jeszcze rozmaite życzenia.

Na tem porządek dzienny wyczerpnięto.

Ze świata handlowego.

Rozmaite powody składają się na to, że kraj nasz powoli, lecz stale zmienia zasadniczy swój charakter ekonomiczny. Niegdyś rolnictwo było głównem zajęciem Polaka, innym zajęciom nie poświęcał się wcale lub też uważał je za niegodne siebie. Okolice nadwiślańskie nazywano śpichrzem Europy''; pszenica sandomierska w całym świecie była słynna i szła statkami do Holandyi, Francyi i Anglii, a nieraz i dalej.

Dziś zwrócono się do innych „śpichrzów''; w dostarczaniu ludziom zboża wyprzedziła nas Ameryka, z którą konkurować prawie niepodobna. Do tej głównej przyczyny przyłączyły się też inne, które sprawiły, że kraj nasz z rolniczego zamienia się w przemysłowy i handlowy. Nie stawiamy tu zapytania, czy tak jest dobrze, czy ta zmiana nie przyniesie nam w przyszłości bliższej lub dalszej strat materyalnych lub moralnych — stwierdzamy tylko, że tak jest, a z tem, co jest, zawsze liczyć się potrzeba.

Skoro więc konieczność wprowadziła nas na drogę handlu i przemysłu, zdawałoby się, że powinnibyśmy mieć spory zastęp ludzi odpowiednio zawodowo przygotowanych. Niestety, mamy ich bardzo mało, a w niektórych gałęziach nie mamy wcale. Weźmy np. gałęź handlu: mamy wprawdzie pracowników handlowych, wykształconych specyalnie, zazwyczaj jednak są oni albo samoukami, albo też — co się zdarza bardzo rzadko — uczniami nauczycieli prywatnych. I między nimi zresztą daje się zauważyć pewna jednostronność, wynikająca ztąd, że pracownik nie ma wykształcenia teoretycznego, a kształcąc się tylko praktycznie zna wyłącznie tę lub ową gałęź handlu.

Pierwszem następstwem tego stanu rzeczy jest płaca, mogąca zadowolnić zaledwie najskromniejsze wymagania. Mniejsza zresztą o płacę; każdy pobiera taką, na jaką się zgadza lub za jaką może pracować. Ale nizka płaca pracowników handlowych pociąga za sobą inne jeszcze następstwa; i tak: lekceważąc skromne wynagrodzenie, pracownik nasz handlowy nie stara się o czynienie postępów na drodze, jaką sobie obrał, lub jaka w dziale życiowym mu przypadła, nie stara się rozszerzać zasobu swych wiadomości, jak to czyni np. każdy lekarz, prawnik i t. p., przeciwnie, lekceważy sobie i zajęcie wykonywane i nawet sam zawód.

Z drugiej strony przyznać też trzeba, iż kupcy nasi nie zawsze dbają o dobrego, sumiennego i odpowiednio wykształconego pracownika; im idzie tylko o to, aby nie drogo kosztował. Im tańszy tem lepszy, a za tanie pieniądze, jak wiadomo, dobrego towaru nie dostanie. Zmienia się tedy pracowników jednego po drugim tak długo, dopóki się nie natrafi na takiego, który za tanie pieniądze bodaj w części odpowie zadaniu, jakiego się odeń powinno wymagać.

Kupcy z tego gatunku — a jest ich bardzo dużo, jeżeli nie najwięcej — nie chcą pracownika wykształconego odpowiednio, nie umieją go ocenić, nie

wynagrodzą jak należy, a często wymagają od niego usług, jakich można wymagać właściwie od posługacza lub parobka sklepowego. Na uwagę zrobioną w podobnym wypadku przez pracownika, pryncypał zwykł odpowiadać:

— Jak panu źle u mnie, to niech pan sobie poszuka innego miejsca!.....

Odpowiedź taka, zbyt często — niestety! — słyszana, jest niejako podstawą dzisiejszych stosunków między pryncypałem a pracownikiem handlowym. Dawniej słyszeliśmy, że pracownik uczciwy, sumienny, zdatny, uważany jest za członka rodziny, na korzyść której pracuje. Nieraz zdarzało się, że pryncypał na stare lata przekazywał skład swoim wieloletnim towarzyszom z poza „lady“ sklepowej. W Anglii, Francyi, w Niemczech — wypadki takie i dziś nie należą do wyjątkowych. U nas o nich nie słychać.

— Co pan tam wiesz o tem — mówił raz pewien kupiec do człowieka, który na podobny temat nawiązał z nim rozmowę. — Ci handlowcy, co to się w zagranicznych szkołach uczyli, to materyał nie dla nas. Dumne to, wydmuchane, wychuchane, nos zadziera do góry, a roboty jąć się nie chce.

— Jakto, więc daremnie każe sobie płacić?

— No, daremnie, to niby nie. Ale każ mu pan wyładować towar świeżo przywieziony, to się oburknie i nie posłucha. Miałem ja takiego, mieszkał w pokoiku tuż za składem! Raz zdarzyło mi się, żem wrócił nieco po północy, pukam do składu, bo stróża nie chciałem budzić. Pukam i pukam a on nic. Nareszcie, może dopiero po jakiej godzinie, gdym zaczął dobijać się z całej siły, raczył mi otworzyć. Gdym mu zwrócił uwagę, odpowiada: „czy to ja stróż pański?..“ Tak mnie to, panie, zirytowało, żem mu zaraz miejsce wymówił.

— I prędko znalazłeś pan lepszego?

— Prędko, nie prędko. Przewinęło się tego coś ośmiu. Ale ostatecznie mam dziś człowieka, że do rany przyłóż. Podobno jest przechrztą — Gorliwy, usłużny, bez fanaberyi, co powiem, to w mig zrobi. Jest u mnie dopiero dwa miesiące, ale jestem pewny, że się z nim nigdy nie rozstanę.

A jednak rozstał się i to dosyć wcześnie. Przyznać jednak trzeba, że chciał wszelkiemi siłami zatrzymać w swym interesie tę „perłę subjektów.“ Obiecywał mu podwyżkę płacy i lepsze warunki — nic nie pomogło. Wyjątkowy ów pracownik miał jakąś przyczynę, na pozór bardzo błahą, dla której w żaden sposób nie mógł pozostać na miejscu. Rozstali się ku obopólnemu żalowi.

Ale następca owej „perły“ miał kłopot nielada. W księgach handlowych okazały się „niedokładności,“ jak np. pozycye z opłacenia dostawców, którzy jednak wcale nie otrzymali zapłaty. Gdy zaczęto upominać się o zapłatę u niektórych dłużników, okazało się, że niektórzy z nich już zapłacili, lecz należności utonęły w kieszeni owego „gorliwego pracownika“. Rzecz charakterystyczna: nie pociągnięto go do odpowiedzialności sądowej — bo jak twierdzą świadomi rzeczy — takie sprawy zwyczaj każe załatwiać po cichu, o ile załatwić się dają.

Wypadki takie są bardzo rzadkie, niemniej jednak potwierdzają one, że stosunek, łączący dziś pracodawcę z pracownikiem handlowym, jest anormalnym.

Brak nam jest handlowców odpowiednio wykształconych, ale z drugiej strony pryncypałowie nie starają się o nich, lecz przeciwnie unikają ich wszelkiemi sposobami. Tworzy się z tego zaklęte kółko, z którego koniecznie wyjść potrzeba, jeżeli chcemy, aby handel nasz oparł się na trwałych podstawach i rozwijał się jak należy.

K. Z.

Czy samopomoc jest dozwoloną?

Zadaniem sądów jest przedewszystkiem usunięcie stosunków, niezgodnych z istniejącemi przepisami prawnemi. Dzieje się to albo na żądanie stron, z których skrzywdzona wytacza skargę cywilną lub stawia wniosek o ukaranie, albo też pewne organa władzy, n. p. policya lub prokuratorya mają prawo, bez stawienia wniosku, ukarania winnego. Rozstrzygnięcie sprzeczek i wykrywanie karygodnych czynów celem ukarania ich odbywa się najpierw ze względu na państwo same, powtóre ze względu na powagę rządu, a ostatecznie leży w interesie strony słabszej, aby bezstronny sędzia mógł osądzić jej pretensye i wyrok kazać wykonać przez organa rządowe. Jest to korzystniejszem, niż gdyby strona słabsza n. p. skazaną była na własną siłę, na samopomoc. Ale nie po wszystkie czasy i nie podług obecnego prawa w Niemczech jest samopomoc zakazaną — przeciwnie, prawo pozwala użyć jej w rozmaitych przypadkach.

Przy samopomocy należy rozróżnić: samoobronę i samozadośćuczynienie; pierwsze jest odparciem nieuzasadnionej zaczepki, a więc obroną konieczną własnej osoby, drugie jest samodzielnem utworzeniem nieistniejącego jeszcze położenia. Konieczna obrona osoby własnej jest dozwoloną, samozadośćuczynienie zakazanem. Zasady te odpowiadają poczuciu sprawiedliwości i prawodawca idzie dalej jeszcze: samozadośćuczynienie jest wtedy tylko dozwolonem, jeżeli pomoc władzy za późno by przyszła i gdyby urzeczywistnienie pretensyi stało się bez samopomocy niemożliwem, albo znacznie utrudnionem. Następujące punkta należy sobie spamiętać: 1, Czyn nakazany obroną konieczną nie jest bezprawiem. Obrona konieczna jest to taka obrona, która jest do odwrócenia obecnej napaści bezprawnej od siebie samego lub drugiej osoby. (§ 227 pr. cyw.) Jeżeli więc ktoś bez powodu poszczuje mnie na ulicy psem, to wolno mi psa zabić, to samo wolno uczynić każdemu, kto się tej scenie, n. p. przez okno przypatruje. 2, Nawet chociaż pies, nie będąc poszczutym, rzuci się na mnie, wolno mi go bezkarnie zabić, jeżeli mi niebezpieczeństwo groziło, bo podług § 228 kod. cyw. wolno mi cudzą własność uszkodzić i zniszczyć, aby odwrócić z jej strony niebezpieczeństwo mnie samemu, lub osobie drugiej grożące, jeżeli to uszkodzenie lub zniszczenie rzeczy koniecznem jest do odwrócenia niebezpieczeństwa, a szkoda niepozostaje w rażącym stosunku do niebezpieczeństwa. Gdybym psa drażnił, to wolno mi go zabić, ale muszę szkodę wynagrodzić. 3, Przy samoobronie więc, przeciwko cudzym rzeczom ustępują mniejsze interesa większym. To samo wyraża § 904 kod. cyw., który przepisuje, że właściciel jakiejś rzeczy nie ma prawa zakazywania komuś innemu do wywierania wpływu na tę rzecz, jeżeli wpływ ten jest potrzebnym do odwrócenia obecnego niebezpieczeństwa i jeżeli grożąca szkoda byłaby zanadto wielką. Właściciel ogrodu n. p. musi pozwolić straży ogniowej wejść do swego ogrodu, skoro chodzi o gaszenie ognia na sąsiedniem podwórzu, tak samo musi dać wodę z swej studni. Może on naturalnie żądać wynagrodzenia wszelkiej szkody. Ale nie zawsze powstaje szkoda. Jeżeli n. p. wiatr zrzuci mi kapelusz i poniesie go przez płot do czyjegoś ogrodu, ja chcę go podnieść a właściciel ogrodu wzbrania mi wejścia i nie chce mi kapelusza przerzucić, w takim razie wolno mi bez jego pozwolenia wejść do ogrodu i nie potrzebuję odpowiadać za żadną szkodę. Gdyby właściciel poszczuł mnie psem, to wolno go zabić albo mnie samemu, albo moim towarzyszom. 4, Jeżeli ktoś zabiera, niszczy, lub uszkadza

rzecz jakąś w celu samopomocy, albo jeżeli ktoś aresztuje w celu samopomocy podejrzanego o ucieczkę albo jeżeli ktoś usuwa opór obowiązanego przeciw wykonaniu jakiejś czynności, na której dokonanie tenże zezwolić powinien, ten nie postępuje bezprawnie, jeżeli nie można dość wcześnie osięgnąć pomocy urzędowej a bez użycia takich środków zachodzi niebezpieczeństwo, że urzeczywistnienie pretensyi może być zniweczone lub znacznie utrudnione. Jeżeli n. p. dłużnik chce pożyczone książki lub ubranie w ogień wrzucić, w takim razie wolno mi je odebrać mu i wolno mi też przytrzymać zaopatrzonego w bilet okrętowy do Ameryki i w znaczną sumę pieniędzy dłużnika, jeżeli komornika sądowego nie ma na miejscu, i jeżeli nie wydano jeszcze wyroku sądowego aresztowania go. Ale prawodawca nakreślił tu ciasne granice, bo § 230 kod. cyw. przepisuje, że samopomocy nie wolno posuwać po za konieczność odwrócenia niebezpieczeństwa. O zabraniu rzeczy i przytrzymaniu dłużnika rozstrzyga także sąd. § 231 kod. cyw. przepisuje: jeżeli ktoś przedsiębierze jeden z czynów w § 229 określonych w tem błędnem mniemaniu jakoby zachodziły warunki do wykluczenia bezprawia potrzebne, ten jest zobowiązanym do wynagrodzenia drugiej stronie szkody i wtenczas nawet, jeżeli omyłka nie polega na niedbalstwie. 5, Gospodarzowi domu wolno zatrzymać rzeczy podlegające fantowaniu a należące do lokatora, który winien komorne, bez pomocy sądu, a rzeczy już wyniesione bez jego wiedzy lub przeciw jego woli, jeżeli niebezpieczeństwo utraty komornego grozi, może sobie przynieść napowrót. Podobne prawo ma restaurator.

Widzimy więc, że w wielu wypadkach jest samopomoc dozwoloną i że wtedy nie jest bezprawiem, może jednak zdarzyć się, że użyte przytem środki są karygodne, n. p. uszkodzenie rzeczy, zadanie rany i t. p. Wszystko to może zajść przy samopomocy, a jeżeli nie było bezwarunkowo potrzebnem, w takim razie podlega karze.

M. P.

Rezolucya
przeciw markom rabatowym.

Na sali Domu katolickiego odbyło w ubiegłą niedzielę po południu o godzinie 5-tej Towarzystwo młodzieży kupieckiej zebranie, na którem wyrażano ogólne oburzenie z powodu nowego przedsiębiorstwa pewnego, zaprowadzającego nowy system rabatowy, który zdaniem znawców przynosi ogromne korzyści przedsiębiorstwu samemu, krzywdzi zaś w znacznej mierze szerokie warstwy ludności. Domagano się od kupców porzucenia marek rabatowych tego przedsiębiorstwa. Pewna liczba obecnych na zebraniu kupców przyklasnęła tej myśli. Liczono na sali około 300 osób, pomiędzy którymi naliczono przeszło 100 kupców mniejszych i większych. Wszyscy jednogłośnie ten system potępili.

Powzięto następującą rezolucyą:

Rezolucya przeciwko czerwonym znaczkom rabatowym: Niżej podpisani, a na wiecu zebrani kupcy, handlarze i przemysłowcy, oświadczamy, że nie będziemy popierali nowego systemu rabatowego i nie będziemy łączyli się z żadnemi innemi przedsiębiorstwami rabatowemi z powodu, że system rabatowy daje stosunkowo bardzo małe zyski odbiorcom, a przynosi szkodę i straty nam kupcom i handlarzom, a nieraz podkopuje nasz byt materyalny. Zgromadzeni kupcy i handlarze zanoszą niniejszem prośbę do publiczności polskiej, aby nie kupowała swoich towarów od takich kupców, handlarzy i rzeźników, którzy wydają czerwone znaczki rabatowe, gdyż nowy system rabatowy nam tylko szkodzi na majątku, a publiczności nie daje nic, prócz małowartościowej luksusowej tandety.

Zgromadzeni kupcy i handlarze uchwalają niniejszem jednogłośnie, aby z nowego towarzystwa rabatowego wystąpić, z niem wszelkie stosunki z dniem 1-go kwietnia r. b. zerwać, i jeżeli się okaże konieczna potrzeba marek rabatowych, utworzyć związek rabatowy kupców i handlarzy polskich.

Notatki ekonomiczne.

Mleczarstwo w Szwajcaryi. Jednem z głównych źródeł zamożności Szwajcaryi jest gospodarstwo mleczne. Mały ten kraj, zajmujący około 41.500 kil. kw. obszaru (trochę więcej niż połowa Galicyi) ma z wywozu za granicę przetworów mleka 73 miliony franków rocznie dochodu. Mianowicie Szwajcarya wysyła rocznie serów za 43 miliony fr. i mleka zgęszczonego za 30 milionó. Wyrób zgęszczonego mleka, które idzie przeważnie do Anglii rozwinął się ogromnie w ostatnich latach.

Głównem ogniskiem hodowli bydła i wyrobu sera szwajcarskiego *(Ementahler)* jest Kanton Bern. Producenci owi tworzą syndykat, który utrzymuje gorliwych i surowych inspektorów *(Stramm und Schneidig)*. 135 serowni należy do tego syndykatu.

Ostatni rok był dla produkcyi sera szwajcarskiego bardzo korzystny. Cały wyrób sprzedano z góry, po doskonałej cenie. Z powodu konkurencyi fabryk zgęszczonego mleka i świeżo wymyślonej „czekolady mlecznej“ zabrakło mleka na wyrób serów.

Dodać trzeba, że Szwajcarya ma tylko około 740,000 krów, i że spożycie miejscowe mleka i przetworów mlecznych jest bardzo znaczne. W r. ubiegłym zabrakło sera miejscowego w Szwajcaryi wskutek większego wywozu zagranicę i musiano sprowadzić z Francyi i Włoch za 3,000.000 fr. serów, przeważnie miękkich.

O wydajności pokładów węgla kamiennego pisze dr. Frech, poddając krytyce odnośne orzeczenia komisyi rzeczoznawców i uczonych. Zdaniem jego w Saksonii, środkowej Francyi i północnej Anglii wystarczą pokłady na 100 do 200 lat; inne złoża węglowe Anglii i północnej Francyi na 200 do 350, w Westfalii, w okręgu aacheńskim, Belgii na 600 do 800, zaś na Śląsku górnym na 1,000 lat. Należy wziąć w rachubę, że przypuszczalna wydajność pokładów węgla w innych częściach świata, jak np. w Azyi (Chiny), wystarczy na eksploatacyę dochodzącą do 3,000 lat.

Drobne przepisy

Imitacya mahoniu na drzewie orzechowem. Powierzchnię orzecha powleka się najprzód rozcieńczonym kwasem azotowym, a gdy wyschnie, roztworem krwi smoczej (znaną żywicą czerwoną, *Drachenblut* w spirytusie. Po dokładnem wyschnięciu, powleka się tak zabarwniony orzech roztworem. 30 gr. szelaku w 500 gr. spirytusu, do którego dodać jeszcze należy 30 gr. węglanu sody, którą się poprzód w bardzo małej ilości deszczowej wody rozpuściło. Skoro i pod tą powłoką drzewo dobrze wyschło, szlifuje się je jak zwykle pumeksem przy pomocy lnianego oleju.

Dodatek Humorystyczny.

Prima aprilis.

...Prima aprilis — tfy!...

Panu śmiech, panu wesele, a nam biednym żydkom, czasami choć płacz. Niech pan posłucha co panu powiem. Ja handluje z różne starożytności, co się nazywa tandetę, jeszcze takiej przygody nie miałem. Przygoda „wesola", fein! niech jej moje wrogi zaznają!

Pan zna studenty? Każdy to taki wesoły, aj, taki wesoły, jak wróbel na wiosnę. A jakie one bywają gołe! to drugie tyle, co wesołe! Ale to nic, on sobie śpiewa, jak wróbel, papierosy pali, jak smok i kocha się zawsze w te panienke z przeciwka. U nich jednak można zarobić i ja panowie studenty bardzo lubię, choć to wielkie figlarze.

Raz taki wesoły student kiwa na mnie z góry.

— Handeles chodź!

Czemu nie mam pójść? To mój fach. Idę na trzecie piętro. Schody krzywe, zdyszałem się, ale w moim fachu nie ma fatyki. Ile razy pan myśli ja robię taki kurs pod strych? Może dwadzieścia, może trzydzieści razy, może więcej, a czasami całkiem po próżnicy. Trudno, trzeba żyć.

Wchodzę do stancyjki, a tu dwa studenty mieszkają. Jeden siedzi przy stoliku z papierami, a drugi leży z papierosem na łóżku.

— Handeles — powiada pierwszy — chcesz kupić „Portugalię"?

Pan wie, oni to nazywają „portugalie" z wesołości, choć to nie jest żadna geografia.

— Jabym wolał żakiet, marynarkę, stare buciki, ale cóż robić, niech pan pokaże tę „portugalię".

On mi pokazał. Patrzę u dołu — trochę strzępy, patrzę w samo dno — sito!

— Co pan chcesz za ten łachman? — pytam.

— No, no! — gniewa się student — ostrożnie z gębą (jakie one czasami bywają ordynarne!) Łachman czy nie łachman, dasz markę.

Więc ja sobie pomyślałem „niech ciebi...", ale powiedziałem tylko:

— Dam 25 fen. ale ani grosza więcej.

— To się wynoś!

Więc ja poszedłem za drzwi i jeszcze raz tylko powiedziałem:

— Dam 25 fen. niech stracę!

— Dasz markę, albo idź precz.

— Panu nikt nie da i 25 fenygów.

— Zobaczymy.

— Poszedłem, ale się zatrzymałem na schody, bo słyszę, jak student woła innego kupca. Więc ja zaraz temu kupcowi powiedziałem o co chodzi, żeby ceny nie podbijał i my poszli razem na górę. Przez drzwi ja słyszałem jak ten student na łóżku powiada głośno:

— Franek, a zrewiduj „portugalię", bo jakieś mi jej pożyczał na balik, wpakowała mi się za podszewkę „pięciomarkówka."

— Papierek!

— Może nawet dwudziestomarkówka. Wtenczas miałem „flotę" i nie chodziło mi o to.

— Gdziebyś teraz znalazł. A zresztą szukaj sobie.

Więc ja otwieram drzwi raptem i mówię:

— Ja, panie, postąpię!

— I łap za nogawkę, a tu mi coś za podszewką w palcach chrzęści, całkiem jak „papierek." Ale i tamten łapserdak także chwycił za drugą nogawkę i powiada:

— Ja kupię!

— Czekajcie! — woła student — tam są podobno pieniądze. Trzeba przeszukać.

— Na co? po co to? Na moje sumienie tu nic nie ma, tylko same dziury.

— I tu także nic nie ma, żebym tak zdrów był, przyświadcza tamten łapserdak, ale nogawkę trzyma.

— Więc co będzie — pyta student — dacie markę?

— Ja dam 50 fenygów — powiadam.

— Ja dam 60 fenygów — woła ten drugi kapcan.

I ten, ten gałgan, ten łapserdak, ten łajdak co nie miał podbijać cenę, zaczyna licytować. To my się posprzyczali — pan wie, w handlu człowiek jest zawsze gorący — trochę pogniewali, trochę nakrzyczeli, aż ten student na łóżku z uciechy nogami fikał. Wesoły był.

Ale kiedy my się trochę posprzeczali, to myśmy także trochę ciągnęli nogawki do siebie, trochę szarpali i zdarzył się trochę feler, a potem całe przygodę. Ta siła w samo dno nie wytrzymała, zrobił się krach i my odlecieli od ściany każdy ze swoją nogawką w garści.

A panowie studenty, powiadam panu, tylko się śmieli, jak się oni śmieli!

— No, i cóż teraz? — pyta ten starszy. Zepsuliście mi mój „strój balowy" (on teraz nazywał „strój balowy!"), trzeba zapłacić.

— Więc my się porozumieli z tym drugim kupcem, a że on nie chciał oddać swojej połowy, to my musieli teraz zapłacić po 50 fenygów — bare geld.

A potem, kiedyśmy wyszli do sieni, to co pan myśli, myśmy znaleźli każdy w swojej nogawce... Puste kartki z napisem: „Prima aprilis."

My zrobili gwałt, my zrobili protestowanie, ale studenty się śmieli i powiadali: pocoście rozdarli nasz „strój balowy?" A z ten strój balowy i te geograficzne portugalie, to teraz ledwie starczyło na porządną czapkę... Ja sobie potem na te studenty odbiłem, ale wtedy to miałem stratę i wstyd, i zawód.

Prima aprilis, tfy!...

(n.)

Rower.

(Studjum sezonowe.)

Rower jest to stworzenie dwukołowe, nie obdarzone rozumem ani mową, mające szkielet stalowy, a ciało gumowe.

Lekkość i wdzięk zbliżają go do kobiety, lecz jakkolwiek „lekki" nie należy do istot bezwzględnie „upadłych," tylko często upadających.

Rower jest istotą przewrotną, chociaż z fałszem ludzkim nie ma nic wspólnego; wykrętny, chociaż nie wykręca się sianem.

W rowerze, jak i w ludziach, ceniony jest blichtr i pokost.

Rower jest istotą *fin de siecle*; kto go smaruje, ten jedzie.

Rower w przeciwstawieniu do ludzi, bywa najmilszym, gdy jest nadęty.

Rower jest poetą, albowiem żywi się powietrzem.

Rower jest istotą niezmęczoną; nie poci się, nie czernieje i nie wysuwa języka; czyni to za niego cyklista.

Rower jest istotą rozważną, posiada bowiem kierownik, podczas, gdy tylu ludzi bywa bez steru.

Rower jest istotą przyszłości i nie może być uważany, jako potężny czynnik zwyrodnienia.

Rudolf'a Petersdorff'a Dom konfekcyjny



„Pod Wielką Fabryką"

Poznań,

Stary Rynek 100

part. I., II., III., IV. ptr. ❁ part. I., II., III., IV. ptr.

Kto zna moją firmę,

zna moją zdolność wykonania.

Co sprzedaję ═══ *służy mi jako polecenie!*

Jak sprzedaję ═══ *służy mi jako reklama!*

Petersdorffa ceny ═══ *są miarodawcze dla wszelkiej konkurencyi!*

Przedsiębiorstwo największych rozmiarów

we własnym domu

Dział powieściowy.

MĘCZENNICA W KORONIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA ILLUSTROWANA.

57) ORYGINALNY PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO.

—*—

(Ciąg dalszy.)

— Dam sobie radę, — odpowiedziała Józefina szorstko. — Co mam użyć, kija czy bata? Muszę mieć zawsze coś takiego pod ręką — wywiera to większe na chorych wrażenie!

— Widzę, że się pani znasz na swojem rzemiośle! Tam w szafie znajdziesz wszystko, czego potrzebujesz!

— Któremi choremi mam się specyalnie zająć? — spytała Józefina.

— Zaraz je pani pokażę, — odrzekł Blakborn, wręczając jej krótki, mocny bat z plecionej skóry.

Józefina z daleka już poznała księżnę Chimay, i serce jej uderzyło radośnie, gdy ujrzała, że właśnie do niej prowadzi ją doktor!

— Otóż to jest jedna z nich, — rzekł Blakborn cicho, wskazując Klarę. — Bardzo to niebezpieczna kobieta! Żona prostego robotnika, zakochała się w jakimś cyganie i dostała pomieszania zmysłów! Wyobraża sobie, że jest księżną, że mąż ją chce zabić — i sprawia nam doprawdy dużo ambarasu!

— Już ja ją uleczę, — rozśmiała się Józefina, drżąc wewnętrznie z oburzenia na bezczelne kłamstwa doktora. — Poczekaj, moja księżno!

— Tak jest — zawsze ostro, — pochwalił Blakborn.

Józefina zbliżyła się do stołu i — oczy jej spotkały się z oczami Klary.

Nieszczęśliwa kobieta zadrżała i już otwierała usta, aby okrzykiem radości powitać swoją wybawczynią.

Ale Józefina uprzedziła ją.

— Jeść, — krzyknęła szorstko, uderzając ją w ramię, — jeść i nieobracać się! Czemu zupa jeszcze nietknięta?

Klara nie wiedziała co to znaczy, i ze łzami w oczach wzięła blaszaną łyżkę, aby jeść wstrętną zupę.

— Oprócz tej chorej, — odezwał się znowu Blakborn, — jest tu jeszcze jedna, którą specyalnie pani powierzam. Jest to żona pewnego cudzoziemca, dosyć łagodna, ale pomimo to nie dowierzam jej. Czuwaj pani pilnie nad nią!

Józefina spojrzała w wskazanym sobie kierunku i stanęła jak skamieniała. Ową żoną cudzoziemca nie był nikt inny, jak Felicya Szalenburg!

A więc i ta nieszczęśliwa miała tu zakończyć życie!

Teraz wiedziała Józefina, że nie jedną, ale dwie przyjaciółki ocalić musi, i ta myśl dodała jej więcej odwagi i energii.

Doktor skinął jej znacząco i odszedł.

Na sali głęboka panowała cisza. Ach, ile tu było nieszczęśliwych kobiet. Z oczu wszystkich patrzała rozpacz i zwątpienie, niektóre były już rzeczywiście obłąkane. Raz po raz dawało się słyszeć głuche uderzenie, poczem odzywał się zaraz jęk — dozórczynie zbyt często używały bata!

Po kolacyi spędzono wszystkie chore, jak owce, w jedną trzodę — która nie wstała dosyć prędko z krzesła, zrzucono, a która nie stanęła na czas na oznaczonem jej miejscu, otrzymała uderzenie batem.

Potem przeczytała główna dozórczyni listę obecnych, każda musiała, gdy wymieniono jej imie i numer, odpowiedzieć „jestem.“ Kontrola ta odbywała się trzy razy dziennie, o ucieczce więc nie można było nawet pomyśleć. Józefina zauważyła to i postanowiła odpowiednio postępować.

Po przeczytaniu listy zakomenderowano: „do kąpieli“ i w mgnieniu oka napełnił się basen z zimną i brudną wodą, chudemi i posiniałemi postaciami. Ledwie się znowu ubrały, wszedł doktor i krzyknął:

— Spać!

Dziwna się teraz odegrała scena. Chore rzuciły się jak szalone do drzwi, i biegły na schodach i kurytarzach, ile im sił starczyło — wiedziały one, że która po upływie pięciu minut nie leży już w łóżku, tę czeka niezmiernie surowa kara, a mianowicie dziesięć uderzeń batem.

Józefina skorzystała z tego, aby wobec doktora pokazać swoją brutalność, i podnosząc bat, krzyknęła ostro na Klarę i Felicyą:

— Dalej, spieszcie się, inaczej zaznajomię was z moją pięścią!

Równocześnie obróciła się Felicya i krzyknęła: Poznała Józefinę.

— Czego patrzysz na mnie! — zawołała Józefina, podnosząc bat. — Spiesz się, bo...

Felicya wybiegła i po chwili znalazła się z Klarą w wspólnej celi, Józefina poszła za niemi, zamknęła drzwi na klucz i potem zeszła znowu na dół do sali, w której teraz dozorczynie miały jeść kolacyą.

Koleżanki okazywały jej wielki szacunek, podziwiając jej energię i stanowczość.

Jedzenie było wyborne i obfite, i nawet wino stało na stole a Józefina zauważyła, że wszystkie prawie dozorczynie piły dużo. Rozmowy też bardzo były ożywione.

— Teraz możemy się trochę zabawić, — rzekła przełożona. — Pacyentki śpią...

— Ach, ja im nie dowierzam, — odpowiedziała Józefina. — I dla tego chciałabym raz jeszcze zajrzeć do nich.

— Jak pani myślisz, ale potrzebne to nie jest! Drzwi i okna żelazne opatrzone kratą — uciekać z cel nie mogą! A zresztą — mamy sposób na to, aby spały spokojnie aż do następnego nawet południa — a nawet i dłużej jeszcze — chociażby na wieki —

— Jaki to sposób? — spytała Józefina drżącym głosem.

— Odkręcić cokolwiek rury gazowe. — — Cele wszystkie oświetlone są gazem.

— Ależ one mogą umrzeć! zawołała Józefina oburzona.

— No, i cóż ztąd? Chociażby też jedna z nich umarła! O to się tu nikt nie pyta! A rodzina cieszy się zwykle gdy chora prędko umiera. Doktor też nic na tem nie traci, bo każe sobie bardzo dobrze zapłacić! Ale my wpuszczamy tyle tylko gazu, ile potrzeba na odurzenie — następnego dnia są pacyentki blade i słabe, i trzeźwiemy je potem zimnemi kąpielami! O, na wszystko jest sposób!

— Dziękuję pani, — szepnęła Józefina, — wiem teraz, jak w danym razie postąpić!

I zaraz potem wyszła, aby odwiedzić Klarę i Felicyę.

Biedne te kobiety poznały wprawdzie obiedwie Józefinę, ale nie umiały sobie wytłumaczyć jej dziwnego postępowania, zanadto zaś były zręczane, aby się domyśleć podstępu z jej strony.

— Felicyo, — rzekła Klara, — co ty mówisz na naszą nową dozorczynię? Ona zdaje się być gorszą, niż inne, zdawało mi się nawet, że umyślnie chciała nas dręczyć...

— Ach, ta podła kobieta, — zawołała Felicya, — jakże się omyliłam na niej!

I obie gorzko zaczęły płakać.

W tejże chwili otworzono drzwi, Józefina z batem w ręku stanęła na progu.

— Cóż to! — krzyknęła tak głośno, że można ją było na całem piętrze słyszeć, — jeszcze nie leżycie w łóżkach? Ja was tu zaraz posłuszeństwa nauczę!

Klara i Felicya cofnęły się przerażone, ale teraz nagle rzuciła się Józefina ku nim z wyciągniętemi rękami.

— Nie paznajecie mnie? — szepnęła ze łzami w oczach. — Cicho, nie mówcie nic, zapanujcie nad sobą, — szeptała, — musimy się bardzo ostrożnie zabrać do dzieła, jeżeli mamy wydobyć się z tego piekła!

— Więc ty przyszłaś tu, aby nas ocalić! — zawołała Klara, — o jakże zdołam ci za to podziękować.

Ale Felicya nie podzielała jej radości.

— Z tego domu jest ucieczka niemożliwą rzekła smutnie — drzwi żelazne, okna zakratowane. — —

— O, ja mam sprzymierzeńców, — uśmiechnęła się Józefina, — doktora Tritoni i Riga!

— Rigo! — zawołała Klara. — Jakże się miewa mój ukochany! Jak zniósł moją stratę?

— Umarł nieomal z rozpaczy i tęsknoty za tobą, a doktor Tritoni musiał go przemocą powstrzymać od krwawej zemsty na twoim mężu!

— Ja sama pomszczę się na nim, — rzekła Klara stanowczo. — Przysięgłam sobie, że jeżeli żywą wyjdę z tego domu, to zażądam od niego zdania sprawy z jego postępku. Wiem już, w jaki sposób ukarżę go! On się niczego nie boi tak, jak skandalu, a ja postaram się już o to, aby ludzie palcami na niego wskazywali!

— A ty Felicyo, — szepnęła Józefina, — jakim sposobem przyszłaś tutaj? Pewnie cię mąż twój umieścił w tem piekle — ale jak się to stało?

— Ach, z jakim potworem żyłam ja tyle lat! — jękła Felicya. — Nie wiem doprawdy, co gorsze, czy pobyt tutaj, czy życie z nim......

— I jego nie minie kara Bozka. A teraz słuchajcie, w jaki sposób ułożyliśmy ucieczkę!

I opowiedziała im wszystko tak, jak Castelin radził.

Klara i Felicya nie miały nadziei, aby się zuchwały ten plan powiódł, ale Józefina umiała im tyle dodać odwagi, że w końcu przekonała obiedwie.

Potem, nie chcąc, aby długi jej pobyt w celi podpadł komu, wyszła spiesznie, zatrzaskując z łoskotem ciężkie drzwi za sobą.

Klara zaś i Felicya udały się dziś po raz pierwszy na spoczynek z tem przekonaniem, że Pan Bóg jednak ich nie opuścił i dziękując mu gorącą za to modlitwą, usnęły spokojnie.

A sen spokojny rzadkim był gościem u pacyentów doktora Blakborna!

ROZDZIAŁ LXXX.

Przerwany bal maskowy.

Józefina umiała sobie wkrótce pozyskać ogólną w zakładzie sympatyą. Nietylko koleżanki polubiły ją niezmiernie, ale nawet i służba, a przedewszystkiem kucharki.

Starsza kucharka Magdosia była wszechwładną panią w kuchni, młodsza Blanka, jej pomocnica podrzędniejszą nieco odgrywała rolę.

Magdosia była już dawno w służbie doktora, przyjechała nawet z nim z Anglii do Paryża. Była to niemłoda już i nieładna, ale dobroduszna dziewczyna, pragnąca niezmiernie wyjść za mąż.

— Szkoda, — mawiała nieraz do Blanki, — że nasz pan ma tylko chore kobiety u siebie! Gdyby miał też i mężczyzn, to możeby się prędzej znalazła jaka partya dla mnie!

— Ale to byłby tylko jaki obłąkany, — odzywała się Blanka.

—Ach, głupstwo! Chory może znowu wyzdrowieć, a zresztą każdy człowiek na świecie jest trochę narwany.

Józefina przychodziła często do kuchni, rozmawiała z kucharkami, chwaliła jedzenie i słuchała zwierzeń biednej Magdosi. Codziennie, gdy wszyscy już udali się na spoczynek, biegła Józefina do swoich nowych przyjaciółek i gawędziła z niemi o wszystkiem możliwem.

— Dziwię się doprawdy, — mówiła Józefina pewnego wieczoru do Magdosi, — że dotąd jeszcze nie wyszłaś za mąż!

— Jesteś przecież bardzo ładna dziewczyna, zrzędną, i sądzę, że nadawałabyś się znakomicie na właścicielkę małej restauracyi lub kawiarni!

— Ach, i ja bym tego pragnęła, — westchnęła Magdosia, — ale nie znam żadnego takiego, któryby się chciał ze mną ożenić! Tu nikt nie bywa...

— A na bale do miasta nie chodzisz?

— Nigdy! Byłam raz, przed dziesięciu laty na zabawie — ale doktor nie pozwoli nam wychodzić — i gdyby mnie spotkał po dziesiątej przed bramą, to na drugi dzień już by mnie tu nie było.

— O Boże! — zawołała Blanka, — jak chętnie poszłabym na bal! A jeszcze na maskowy! Musi to być coś tak pięknego! Wziąłabym kostyum Tyrolki...

— Myślisz pewnie, że zaraz by się kto w tobie zakochał, — przerwała Magdosia zjadliwie.

— Nie mamy się o co kłócić, bo i tak nie pójdziemy, — westchnęła Blanka smutnie.

— To tylko od was zależy, — szepnęła Józefina.

— Jakto? Doktór nigdy nam na to nie pozwoli!

— Możecie iść bez jego pozwolenia! On o niczem nie potrzebuje wiedzieć!

— Byłaby to dobra rada, gdyby ją można wykonać!

— Ja wam coś powiem, — rzekła Józefina, — ale nie zdradzajcie mnie!

— Ja przysięgam, że będę milczeć, — zawołała Magdosia.

— Ja także, — dodała Blanka.

— Wszakże jesteście zaprzyjaźnione z odźwiernym zakładu, ojcem Bru, — zaczęła Józefina.

— O tak! Dałam już mu nieraz talerz zupy lub szklankę wina.

— No, nic więc łatwiejszego, jak wykonanie naszego planu. On nam otworzy bramę wieczorem, jeżeli go o to poprosimy, i wpuści nas znowu rano do zakładu — doktór o niczem wiedzieć nie będzie!

— Bardzo dobrze! Że mi też prędzej na myśl nie przyszło, — zawołała Magdosia.

— Blanko, — rzekła Józefina, — przynieś no gazetę z salonu, zobaczymy na jaką zabawę pójdziemy.

Blanka przyniosła dziennik i wszystkie trzy zaczęły pilnie przeglądać rubrykę zabaw w Paryżu.

— Mam już, — zawołała nagle Józefina. — Bal w Moulin—Rouge! kostyumowy, maski, wstęp pięć franków, udział w kotylionie...

— Ale ja nie mam pieniędzy — przerwała Blanka.

— Ja ci pożyczę, — rzekła Magdosia rozpromieniona. — Najgorsze tylko, że nie mamy kostyumów!

— O to mniejsze, — szepnęła Józefina. — Zanim tu przybyłam, bawiłam kilka tygodni w Paryżu i odwiedzałam bale maskowe. Mam więc w moim kuferku kilka kostyumów — które będą wam się podobać. Jeden, czarny jedwabny, ponaszywany złotemi gwiazdami, jest kostyum królowej nocy — ten będzie dla Magdosi, drugi, strój wieśniaczki włoskiej, dla Blanki!

— Ach, jak to pięknie!

— Idź więc zaraz do ojca Bru i opowiedz mu wszystko. Opisz mu dokładnie kostyumy, aby wiedział, kogo ma przed sobą i nie zatrzymywał nas pytaniami, bo gdyby przypadkiem spotkał nas doktor.....

— O, ja to już wszystko załatwię, — zawołała Magdosia, i zabrawszy butelkę wina z szafy, pobiegła do odźwiernego.

Po kilku minutach wróciła, uszczęśliwiona nad wyraz — ojciec Bru zgodził się na wszystko, i tak jutro, z uderzeniem dziesiątej miała brama być otwartą.

— Ale teraz jeszcze jedno, — rzekła Magdosia, — gdzie mamy się ubrać? W naszej sypialni nie możemy, bo tam widziałaby nas praczka, a ona zaraz by wszystko zdradziła!

Józefina namyśliła się przez chwilę.

— To fatalnie, — rzekła na pozór trochę niechętnie — w moim pokoju też nie można, bo ściany są cienkie, a obok mieszka przełożona. A wy starannie musicie być ubrane!

— O Boże, to nareszcie plan nasz nie powiedzie się!

— Nie, nie, ja już co wymyślę! Słuchajcie! W celi 72 są dwie chore, spokojne i łagodne — poślę je więc pod jakimkolwiek bądź pozorem do ciemnej komory — niech tam tę jedną noc przepędzą, a wy ubierzcie się w ich celi! Klucz mam zawsze przy sobie!

— Ach, to doskonale! Wybornie!

— Więc rzecz ułożona! Jutro o wpół do dziesiątej przyjdziecie do celi 72, ja tam już na was czekać będę, i skoro się ubierzemy, zejdziemy na dół, a ojciec Bru otworzy nam bramę.

— Zgoda! Zwierciadło przyniosę pod fartuchem — zawołała Magdosia uszczęśliwiona.

Teraz wszystko już było do ucieczki przygotowane, i Józefina drżała z radości na myśl uwolnienia Klary i Felicyi. Jeszcze tylko jeden dzień, a obiedwie będą ocalone!

* * *

Doktor Blakborn podziwiał nazajutrz ciętość i energią Józefiny. Była ona widocznie w złym humorze i każdy, kto jej wszedł w drogę, doświadczył tego w nader nieprzyjemny sposób.

Głównie jednak wywierała swą złość na Klarze i Felicyi.

— Uciekać chcecie ztąd, — krzyczała przy obiedzie, — ja was podsłuchałam, i wiem, że układacie plan ucieczki!

— Ależ to niemożliwe, — rzekł doktor, — przecież im tu dobrze, dlaczego więc miałyby uciekać?

— A jednak tak jest, i żądam stanowczo, aby za karę poszły dziś na noc do ciemnej komory. Ja sama je tam zamknę i zaniosę im wody i suchego chleba.

— Owszem, jak pani chcesz, — zawołał Blakborn, — jestem kontent z pani i zostawiam ci wszelką swobodę działania.

— Dziękuję panu! Dalej, do ciemnej komory z wami!

— Boże, — jękła Klara, udając najwyższą rozpacz, — ja tam nie pójdę. My nie chcemy uciekać, panie doktorze, doprawdy, ja o niczem nie wiem!

Blakborn wzruszył ramionami i odszedł, Józefina zaś pociągła opierającą się i przemocą prowadziła ją do owej ciemnej komory. Felicya milcząc, szła za niemi.

Pobyt w komorze był jedną z najokropniejszych kar w zakładzie. Był to kąt w sklepie, wązki, nizki, zupełnie ciemny, bez powietrza, tak, że kto tam siedział dwadzieścia cztery godzin, ten o własnej sile wyjść z niego nie mógł. I tam zaprowadziła Józefina teraz swoje najmilsze przyjaciółki!

— Dziś na wieczór, — szepnęła, zamykając za niemi drzwi, — jeszcze tylko kilka godzin! Módlcie się! Proście Boga, aby nam dopomógł!

* * *

O dziewiątej panowała zwykle już głęboka cisza w zakładzie Blakborna. Pacyentki musiały o tym czasie leżeć już w łóżkach i to jeszcze było najlepszem dla nich. Chociaż we śnie zapominały o swem nieszczęściu!

Józefina otworzyła w swoim pokoju kuferek i wyjęła cztery maskowe kostyumy, dwa czarne z gwiazdami, dla królowej nocy i dwa wieśniaczki włoskiej. Potem zabrała po jednym i cicho, ostrożnie, zaniosła je do próżnej celi 72.

Następnie pobiegła do kuchni.

— Już czas, — szepnęła, niecierpliwie czekającym kucharkom, — wszystko gotowe! Pójdźcie prędko!

— Ach, jak się też cieszę! — zawołała Magdosia.

— Zgaście światło i pójdźcie ze mną!

Kilka minut później stanęły wszystkie trzy w próżnej celi.

Na widok rozłożonych, wspaniałych kostyumów, załamała Magdosia ręce i stanęła, jak skamieniała z zachwytu, Blanka również własnym nie dowierzała oczom.

— Te piękne suknie mają być naszą własnością! — zawołała, — to być nie może!

Magdosia milczała — słów jej nie starczyło na wyrażenie wielkiej radości.

— Ale teraz spieszcie się, — nagliła Józefina, — nie mamy chwili do stracenia! Ja tylko pójdę jeszcze po mój kostyum! Za pięć minut jestem znowu u was!

— My się tymczasem uczeszemy!

— Dobrze! Ale nie dziwcie się, że zamknę drzwi na klucz — inna jaka dozórczyni mogłaby tu zajrzeć i cały nasz plan popsułby się od razu. Ja zaraz wrócę!

— Naturalnie, lepiej zamknąć!

— A więc spieszcie się!

Józefina wyszła, obróciła klucz dwa razy w zamku, wsunęła go do kieszeni i pobiegła szybko do swego pokoju. Tutaj zabrała również obydwa pozostałe kostyumy, udała się z niemi do ciemnej komory i pomogła czemprędzej przebierać się przyjaciołkom.

— Dotychczas wszystko dobrze, — szeptała — miejmy nadzieję, że i nadal Bóg nam dopomoże! Teraz jeszcze maski na twarz — ach, nareszcie jesteście gotowe! Tylko śmiało!

Józefina szła naprzód, Klara i Felicya za nią i tak przeszły niepostrzeżenie cały zakład, aż do bramy, przy której czuwał ojciec Bru.

Stary odźwierny siedział w wygodnem krześle i palił swoją ulubioną fajkę, spoglądając raz po raz przez okno na bramę. Doktor zalecił mu dziś znowu ostrożność, a mianowicie, aby nikogo nieznajomego nie wpuszczał.

Z uderzeniem dziesiątej dały się słyszeć lekkie stąpania i Józefina zapukała do okna.

— Ah, to wy, — rzekł stary. — Więc idziecie doprawdy na bal? Ah, jakie piękne stroje!

— Tak, ale otwórzcie prędko bramę, aby nas kto nie zobaczył. Przyniesiemy wam coś dobrego z miasta!

Odźwierny uśmiechnął się, zdjął klucz z gwoździa i poszedł ku bramie.

— Idźmy wolno, aby nie powziął podejrzenia, szepnęła Józefina towarzyszkom.

— No bawcie się dobrze, — zawołał ojciec Bru, — nie pijcie za wiele szampana, i przynieście mi trochę dobrego tytuniu i cygar! O której wrócicie?

— Około czwartej, — odrzekła Józefina.

Wszystkie trzy wyszły teraz przez bramę — odźwierny zamknął drzwi i wrócił do swego pokoju.



Ocalone! Jesteście ocalone! zawołała Jozefina.

— Ocalone! Jesteście ocalone! — zawołała Józefina. — Patrzcie, tam stoi powóz, a w nim doktór Tritoni i......

W następnej minucie leżała Klara w objęciach Riga, podczas kiedy Józefina opowiadała doktorowi w krótkich słowach historyę Felicyi.

— To pani! — szepnął Tritoni, patrząc na Felicyą. — Hrabianka Szalenburg, którą uważaliśmy za umarłą!

Felicya uścisnęła serdecznie jego ręce!

— Cieszę się niezmiernie, — rzekła, że widzę lekarza mej ukochanej cesarzowej. O jakie to szczęście dla mnie, tyle lat w towarzystwie zbrodniarza.....

— Później — później —teraz prędko do powozu. Może już odkryto waszą ucieczkę, — wołał Tritoni.

— O, nie ma się o co obawiać, — odpowiedziała Józefina, — ale im prędzej opuścimy to okropne miejsce, tem lepiej. Jedźmy więc!

Za chwilę pędził powóz na drodze do Paryża, a Felicya i Klara dziękowały nieustannie swoim wybawicielom za ratunek z [illegible]la.

— Musimy jednak i o tych pamiętać, — rzekł [illegible] Tritoni, — które tam jeszcze zostały. Hej, — zawoł[illegible] na

stangreta, — jedź przedewszystkiem na policyą!

— Ach, chcesz pan oskarżyć Blakborna, — odezwała się Felicya.

— Tak, oskarżę go o nieprawne trzymanie zdrowych w zakładzie obłąkanych, a panie będziecie świadczyć przeciwko niemu.

Klara i Felicja przyrzekły uczynić wszystko, czego Tritoni od nich zażąda.

* * *

Magdosia tymczasem i Blanka ustroiły się w świetne kostyumy i patrzały na siebie z nieopisanym zachwytem. Mianowicie Magdosia nie posiadała się z radości, zdawało jej się, że nie ma piękniejszej nad nią na świecie kobiety. Trzymając teraz koronę w rękach, nie wiedziała, jak ją włożyć na głowę, i daremnie probowała przed małem zwierciadłem przymocnić ją na włosach — korona spadała nieustannie i na jednej stronie już się nawet cokolwiek skrzywiła.

— Najlepiej będzie zaczekać na Józefinę — rzekła Blanka. — Ona to zrobi! Ach, jak się cieszę na bal! Może poznamy tam kogo — może zaręczymy się i opuścimy wnet ten zakład....

Blanka nie wiedziała, jak proroczemi były jej słowa, chociaż w zupełnie innem znaczeniu....

— Ja mam takie przeczucie, — dodała Magdosia — że dzisiejszy wieczór rozstrzygnie moją przyszłość!

I obie budowały najpiękniejsze zamki na lodzie co do przyszłości, i nie uważały, że pięć minut dawno już przeszło. Józefina nie wracała!

— Ale teraz mogłaby Józefina przyjść, — odezwała się nagle Magdosia. — Spóźnimy się na bal!

— Tak, a szkoda każdej minuty — rzekła Blanka. — I najgorsze, że nie możemy wyjść, aby jej poszukać, bo drzwi na klucz zamknięte.

— Musimy więc cierpliwie czekać!

Ale jeden kwadrans upłynął za drugim, a Józefina nie przychodziła.

— Słuchajno — zawołała w końcu Magdosia — dam się powiesić, jeżeli ta sprawa jest w porządku! Zamknięto nas w celi, w której mieszkają dwie obłąkane — to nie przypadek — to wszystko umyślnie zrobione. Złapano nas w sidła!

— Ach, to być nie może!

— A jednak tak jest! Kto nas namówił na ten bal? Józefina. Kto nam dał ubrania? Ona. Kto nas tu zamknął? Ona! Czy jeszcze tego nie rozumiesz?

— Ale czemu by ona miała nas zdradzić?

— Nie wiem! W każdym razie trzeba nam wyjść tu ztąd. Krzyczmy i bijmy pięściami we drzwi, może nas kto usłyszy i otworzy nam to więzienie!

I teraz zaczęły obiedwie krzyczeć straszliwie i bić pięściami w żelazne drzwi, co wywołało taki hałas i łoskot, że cały dom się poruszył.

Dozorczynie przerażone zerwały się i wybiegły na korytarz, pacjentki, obudzone zaczęły też krzyczeć i gwar i zamieszanie zwiększało się z każdą chwilą.

— Co się tam dzieje? — zawołała przełożona, biegnąc do drzwi celi.

— Zamknięto nas! Wypuśćcie nas, otwierajcie drzwi!

— Możecie długo na to czekać! Zdaje się, że one rzeczywiście oszalały, — rzekła, zwracając się do innej dozorczyni.

— Zdawało mi się, że one miały być dziś w ciemnej komorze...

— Widocznie Józefina zapomniała o tem!

Magdosia i Blanka nie przestawały krzyczeć.

— Idźcie zameldować to panu doktorowi — rozkazała przełożona.

Ale Blakborn usłyszał już w swej sypialni tę piekielną wrzawę i biegł właśnie na górę, aby zobaczyć, co się właściwie stało.

— Obiedwie pacjentki z celi 72 oszalały, — rzekła jedna dozorczyni.

— Tem lepiej, tem lepiej!

— Myślę, że trzeba je polać wodą zimną...

— Naturalnie, zawołać mi natychmiast ojca Bru!

W każdej celi znajdował się przyrząd do zimnego tuszowania — w tym celu przełożono tylko na kurytarzu węże gumowe i odkręcono kurki. Była to zawsze robota ojca Bru.

Stary odźwierny wypełniał chętnie to zadanie, i tym razem więc przyszedł natychmiast i cieszył się na myśl, jak chore krzyczeć będą, gdy zimny promień wody spadnie im niespodziewanie na głowy. Było to największą jego przyjemnością!

— Gdzie klucz od celi? — zapytał przełożonej.

— Ja go nie mam! Józefina musi go mieć, ale ona śpi, jak zabita. Pan doktor ma drugi klucz, pójdę zaraz po niego.

Po upływie kilku minut otworzyła przełożona drzwi.

— Dzięki Bogu — zawołały równocześnie Magdosia i Blanka, ale w tejże chwili krzyknęły przeraźliwie.

Ojciec Bru przywitał je zimną wodą — raz jeden i drugi i trzeci, tak, że świetne ich kostyumy zamieniły się w kilku minutach w prawdziwe morze.

— Dosyć, dosyć — zawołał Blakborn, — ale co to znaczy? Jakież to ubrania? Kto to jest?

— To ja Magdosia! A to Blanka! Ach, panie doktorze....



Gdzie klucz od celi? zapytał ojciec Bry przełożonej.

— Ha, domyślam się jakiejś zdrady, — krzyknął Blakborn. — Powiedz — prędko, jakim sposobem znalazłyście się w tej właśnie celi? I co znaczą te kostjumy? Gdzie pacjentki?

— Licho je tam wie, — odrzekła Magdosia — ja ich szukać nie będę. Ale wszystkiemu winna ta Józefina! Ktoby to był myślał. Taka niewinna, dobra....

— Przedewszystkiem zobaczyć, czy Józefina jest w swoim pokoju i czy pacjentki są w ciemnej komorze — rozkazał doktor.

Ale wszystko było próżne.

Ojciec Bru zaklął straszliwie, nie zdradzał się jednak z tem, że to on właśnie przyczynił się najwięcej do ucieczki pacjentek.

Magdosia i Blanka drżały ze strachu na burę, jakiej się spodziewały, ale doktor dziwnie był spokojny. Raz po raz tylko ocierał czoło chustką, a oczy jego błyszczały nienaturalnym jakimś blaskiem.

— Opowiedz mi teraz wszystko dokładnie — rzekł łagodnie do Magdosi.

— Ach panie doktorze — zaczęła kucharka płacząc, — Józefina zdradziła nas!

I opowiedziała mu całą historję maskowego balu.

Blakborn zbladł śmiertelnie. Był on teraz przekonany, że Józefina była agentką policji kryminalnej i że wszystko zostało z góry ułożonem, aby go zgubić.

— Nie ma dla mnie ratunku — rzekł sobie w duszy. Muszę zabrać co się da i uciekać z Paryża! Na drugi raz będę ostróżniejszym! Idźcie wszyscy spać — rzekł do służby — jutro rano obmówimy obszerniej całą tę sprawę. Teraz chcę być sam!

Po tych słowach udał się do swego pokoju, wziął z żelaznej szafy pugilares pełen banknotów, torebkę ze złotem,

zapakował do małego ręcznego kuferka trochę bielizny i był gotów do ucieczki.

— Najlepiej — szepnął — byłoby spalić ten dom, ale ogień sprowadziłby za wiele ludzi na kark. Nie, pojadę teraz do Paryża, a ztamtąd pierwszym pociągiem do Belgji.

Wychodząc z pokoju włożył jeszcze dwa rewolwery do kieszeni.

— Albo dla mnie, albo dla innych — pomyślał.

W stajni osiodłał sam sobie konia i wyprowadził go na podwórze, i już zamierzał wsieść na niego, gdy nagle — dwóch mężczyzn stanęło niespodziewanie przed nim.

Jedno spojrzenie wystarczało mu, aby poznać, że to byli urzędnicy policyi.

Nieco dalej ukazało się znowu dwóch — z drugiej strony bramy błysnął również hełm.

— Cały dom obstawiony policyantami, — pomyślał, — spóźniłem się, i jestem zgubiony.

Jeden z urzędników zbliżył się do niego.

— Pan doktor Blakborn? — zapytał.

— Tak. Czego pan chcesz odemnie? Nie widzisz, że właśnie chcę wyjeżdżać?

— Będziesz pan musiał podróż odłożyć, obecnie bowiem mam rozkaz aresztowania cię!

— Mnie aresztować? To dobre! O cóż to chodzi?

— Oskarżają pana o zatrzymywanie i męczenie zdrowych w zakładzie obłąkanych!

— Kto śmie twierdzić coś podobnego?

— Doktor Tritoni!

— Kto! — krzyknął Blakborn przeraźliwie, — Tri—to—ni?

— Tak, ja! — dał się nagle słyszeć głos doktora, i Tritoni wyszedł z ukrycia. — Widzisz teraz, że chociaż minęły lata długie, to ja jednak przybyłem do ciebie, aby zażądać zadosyćuczynienia. Przypominasz sobie dzień, w którym chciałeś odebrać mi honor i unieszczęśliwić mnie na całe życie?

— Tritoni!

Blakborn wykrzyknął to jedno słowo nieludzkim prawie głosem.

— Pójdziesz teraz tam, gdzie już od dawna powinieneś być, — mówił doktor dalej, — to jest do więzienia!

— Nie! Nie! — zawołał Blakborn i wyjąwszy rewolwer, przyłożył go sobie do czoła.

W następnej chwili rozległ się strzał i doktor, śmiertelnie ugodzony, upadł na ziemię.

Stało się to wszystko tak prędko, że ani policyanci, ani Tritoni nie zdołali mu przeszkodzić.

— Ukarał się sam, — rzekł Tritoni, — niech go Bóg sądzi! Pójdźcie panowie, w domu tym znajduje się wiele nieszczęśliwych, potrzebujących naszej pomocy, nie czekajmy dłużej z uwolnieniem ich!

I sam, własną ręką otworzył bramę.

Drzwi więzień zostały dziś wszystkie otworzone, a nieszczęśliwe niewolnice ze łzami dziękowały Bogu za niespodziewaną wolność!

ROZDZIAŁ LXXXI.

Dobra cesarzowa.

Cesarzowa Elżbieta siedziała w swoim salonie w Grand Hotelu w Paryżu i czytała. Przy oknie zajęła NellyRosen miejsce, i haftowała pilnie, zważając nieustannie na to, aby nikt nie przeszkadzał cesarzowej.

Po chwili odłożyła Elżbieta książkę i rzekła do swej damy dworskiej.

— Skończyłam właśnie tę powieść. Wszystko skończyło się dobrze, jak zwykle w powieści — w rzeczywistości dzieje się nieraz inaczej. Gdy spojrzymy po za siebie, co widzimy? Rozczarowanie, smutki — gdy spojrzymy przed siebie — to samo nas czeka! I to jest życie ludzkie!

— Ale Najjaśniejsza Pani, — odpowiedziała Nelly nieśmiało, — nie ma przecież powodu uskarżania się! Cały świat kocha i uwielbia ją, cesarz i arcyksiążęta to samo, a oprócz tego dał Bóg Najjaśniejszej Pani to, czem nie wiele ludzi poszczycić się może.....

— Cóż takiego?

— Wieczną młodość i piękność!

Elżbieta westchnęła.

— Może być, — rzekła, — że lata nie zmieniły mej twarzy, ale to tylko wszystko na zewnątrz — osoby koronowane nie są w sercu nigdy młode! Mają one za wiele odpowiedzialności za innych! Wiem też, że posiadam dziś miłość mej rodziny, ale kto mi zaręczy, że tak zawsze będzie? Ach, byłoby to okropnie, gdybym raz straciła jedno z moich ukochanych..... O Boże, — dodała, składając ręce, — strzeż mego męża i moje dzieci!

Nelly wiedziała, że gdy cesarzowa jest w tak smutnem usposobieniu, to woli najchętniej być samą. Wstała też więc natychmiast i szepnęła:

— Czy Najjaśniejsza Pani pozwoli mi iść do mego pokoju?

— Zostań, Nelly, zostań! Jestem dziś bardzo zdenerwowana, myślałam dużo o naszym biednym Antonim — widzisz, tak nam wydziera śmierć tych, których kochamy!

— Biedny Antoni, i mnie go szczerze żal!

— Jeszcze jednę straciłam — nie przez śmierć, ale w inny, gorszy może sposób, z tych, których bardzo kochałam — Felicyę Szalenberg!

W tejże chwili zapukano do drzwi — Nelly pobiegła, aby otworzyć i zamieniła kilka cichych słów z służącym.

— Najjaśniejsza Pani, — rzekła, zbliżając się do cesarzowej.

— Czego chcesz Nelly?

— Doktór Tritoni prosi Najjaśniejszą Panią o krótką rozmowę.

Twarz Elżbiety rozjaśniła się radością.

— Ah, doktór Tritoni! On jest także w Paryżu, — zawołała, — i nie odwiedził mnie dotychczas! Idź, droga Nelly i przyprowadź mi tutaj mego starego przyjaciela! Jest to doktór, którego jako takiego niezmiernie wysoko cenię!

Nelly wyszła i wróciła zaraz z Tritonim.

Cesarzowa wstała i z największą uprzejmością podała mu rękę, którą lekarz gorąco do ust przycisnął.

— Jakie szczęście dla mnie, — rzekł, — że mogę znowu widzieć Najjaśniejszą Panią!

— Znowu widzieć, — powtórzyła Elżbieta z uśmiechem. — Ależ to tylko od pana zależy! Kto, nie zważając na moje prośby, usunął się zupełnie od dworu? Kto opuścił bez mojej wiedzy Wiedeń, kto się ukrywa po rozmaitych kątach w świecie? Ach, mógłbyś pan codziennie do mnie przychodzić, wiesz przecież, jak cię lubię i cenię!

— Wybacz mi Najjaśniejsza Pani! Zasłużyłem na naganę — ale jestem stary, pragnę spokoju — —

— I szukasz go pan w Paryżu, — zawołała cesarzowa wesoło, siadając i wskazując mu krzesło.

— Jestem piłką, którą losy rzucają tu i tam, — rzekł Tritoni. — Teraz rzuciły mnie do Paryża, — nie mam tu spokoju ani na chwilę — ale przekonałem się w tych dniach, że nie przypadek mnie sprowadził, tylko Opatrzność Boska. Bóg powołał mnie do uratowania niewinnych i do wyjaśnienia okrutnej omyłki.

— No, więc chodzi o kogoś nieszczęśliwego? Opowiedz mi pan wszystko, może będę mogła służyć z pomocą...

— Tak! Jest to pewna młoda kobieta...

— W czemże można jej pomódz?

— Prosiłbym o chwilę rozmowy bez świadków, — szepnął Tritoni.

— Wyjdź Nelly, zostaw nas samych!

Po odejściu Nelly zawołała cesarzowa żywo.

— Jestem znowu zaniepokojona — bo wiem, że pan zajmujesz się tylko bardzo ważnemi sprawami. Jestem też przekonaną, że jest tu mowa o kimś, stojącym mi blisko...

— Tak, to prawda, i jedynie dla niej przybyłem tu dzisiaj!

— Zaciekawiasz mnie pan niezmiernie! Kto to jest?

— Jest to młoda, nieszczęśliwa kobieta, która wiele w życiu wycierpiała. Ta, która ją uważała za córkę, odepchnęła ją od siebie...

— Więc ona zasłużyła pewnie na to, — zauważyła cesarzowa.

— Nie, nie, tylko podejrzenie ciężyło na niej, ale podejrzenie to okazało się fałszywem!

— Tego już nie rozumiem!

— Były tam nieporozumienia, z których skorzystał zły człowiek o tyle, że nie pozwolił nigdy na to, aby się wszystko wyjaśniło. Najjaśniejsza Pani znasz tę kobietę!

— Opowidz mi pan wszystko dokładnie, — zawołała

cesarzowa, — nie mogę bowiem odgadnąć, kogo masz na myśli.

Tritoni opowiedział całą historyę Felicyi tak, jak ją od niej samej słyszał.

Cesarzowa miała łzy w oczach.

— Wybaczysz jej, Najjaśniejsza Pani? — zapytał w końcu Tritoni.

— Ależ naturalnie, jak możesz pan wątpić o tem! Gdzie ona jest, moja ukochana Felicya?

Doktór, zamiast odpowiedzieć, pobiegł do drzwi i otworzył je.

— Wejdź, hrabianko Szalenberg, — zawołał, — nasza najlepsza, najszlachetniejsza cesarzowa przyjmie cię!

Na progu stanęła Felicya.

Śliczna jej, blada twarz, otoczona jasnemi włosami, jaśniała w tej chwili nadziemskiem prawie szczęściem.

Nie mówiąc ani słowa, weszła wolno, nieśmiało, jak dziecko, które boi się zasłużonej kary i nagle z głośnym krzykiem upadła przed cesarzową na kolana.

— Najjaśniejsza Pani! — wyjąkała, — przebacz mi, Ja jestem niewinną!

— Felicyo! Droga kochana moja Felicyo! — szepnęła cesarzowa, obejmując czule jej głowę. — Ile ty musiałaś wycierpieć!

Wstań, usiądź przy mnie....

— O, jakie szczęście, jakie niezmierne szczęście!

Tritoni wyszedł z salonu. Rozmowa ta nie potrzebowała świadków.

— Najjaśniejsza Pani! — zaczęła teraz Felicya, — ja nie jestem złodziejką!...

— Wiem, wiem, — przerwała cesarzowa, — Tritoni opowiedział mi wszystko! Wierzaj mi, że nieraz już żałowałam szczerze, że wówczas napisałam ci tak szorstkie słowa! Zmarnowałaś całą swoją młodość, szczęście — ach, jakże ci zdołam to wynagrodzić!

— Nic nie straciłam, Najaśniejsza Pani, jeżeli tylko posiadam znowu zaufanie mojej cesarzowej!

— Przedewszystkiem mianuję cię od tej chwili moją pierwszą dworską damą!

Felicya zaczęła płakać i milczała.

— Nie dziękujesz mi? — zawołała cesarzowa zdumiona.

— Byłoby to za wiele szczęścia, — szepnęła Felicya. Uznaję i podziwiam dobroć Najjaśniejszej Pani, ale dla tego właśnie łaski przyjąć nie mogę!

— Więc masz inne zamiary na przyszłość?

— Nie mam żadnych wogóle zamiarów i przyszłość moja — ach Boże! ja przyszłości nie mam! Ale czy kto będąc tak jak ja, długie lata żoną zbrodniarza i mordercy, może być godnym służenia najszlachetniejszej w świecie kobiecie? Nie, ja tego przyjąć nie mogę!

— Ja o to nie pytam — zawołała cesarzowa, ściskając jej ręce — i żądam wyraźnie, abyś przyjęła u mnie miejsce pierwszej damy dworskiej.

I nacisnąwszy dzwonek elektryczny, kazała służącemu przywołać Nelly i doktora Tritoni.

— Doktorze — rzekła do wchodzącego — dziękuję ci bardzo, że dałeś mi sposobność naprawienia złego, a teraz proszę, posłuchajcie mnie! Hrabianka Felicja jest od dziś znowu moją pierwszą damą dworską. Przeszłość jest zupełnie wymazaną z mej pamięci...

— Za wiele łaski! — szepnęła Felicja — za wiele łaski!

— Poznaję moją cesarzową — dodał Tritoni wzruszony. — Tak tylko ona postąpić może!

Nelly zbliżyła się szybko do Felicji i ujęła jej ręce.

— Moja droga Felicjo! — zawołała ze łzami w oczach — z rozkoszą odstępuję ci mego miejsca, bo wiem, że jesteś godniejszą tego zaszczytu, niż ja!

— Mam do pana jeszcze jedną prośbę — zwróciła się Elżbieta do lekarza.

— Słucham rozkazów Najjaśniejszej Pani!

— Jedź pan natychmiast do prezydenta policyi i proś go, aby o ile możności jak najprędzej przybył do mnie! Muszę wydać rozkaz ścigania tego nędznika, który tak haniebnie oszukiwał Felicye!

Młoda kobieta zadrżała. Myśl spotkania się raz jeszcze z Pedrem przerażała ją niezmiernie.

O. Najjaśniejsza Pani. zawołała błagalnie o pozwól uciekać — on i tak zostanie kiedyś srogo ukaranym! Ja nie żądam jego kary. Ja pogardzam nim, i zapomnę go!

Prośba jest dowodem twego dobrego serca, rzekła cesarzowa, ale ja nie mogę zastósować się do niej. Tak niebezpieczny człowiek może wielu innym jeszcze ludziom szkodzić — dla tego samego już trzeba się starać o pochwycenie go! Policya musi go ścigać! Przedewszystkiem chodzi mi o twój rozwód, i udam się o to do samego Ojca świętego. On nie odmówi mej prośbie, gdy się o całej tej sprawie dowie. Ślub twój jeest nieważny, ponieważ nie wychodziłaś za mąż za Pedra de Branko, tylko za ambasadora Ramira de Olivarez.

Tritoni pożegnał cesarzową, i udał się zaraz na policyą. Nelly zaś pojechała natychmiast na rozkaz cesarzowej do najpierwszych sklepów, aby zamówić dla Felicyi ubranie.

Prezydent policyi, otrzymawszy polecenie Elżbiety, zajął się z gorączkową nieomal gorliwością szukaniem zbrodniarza.

Agenci wiedzieli już, że hrabia Barin był owym od dawna ściganym mordercą braziljańskim, ale chociaż znali rozmaite jego nazwizka i mieszkania, chociaż zabrali się z nieopisaną przezornością do dzieła — wszystkie ich usiłowania były daremne.

Pedro zniknął, jak gdyby się był w ziemię zapadł.

Historya Felicyi nie mogła długo pozostać w tajemnicy, wszyscy zajmowali się nią tak, że wkrótce nawet pojawiały się o niej artykuły w rozmaitych gazetach.

Ale wszystko to było niczem w porównaniu do wiadomości, którą najnowsze rozgłosiły dzienniki, a mianowicie, że księżna Chimay uciekła z cyganem Rigo!

Wszystkie illustrowane pisma umieściły fotografje Klary i publiczność gubiła się w domysłach, co mogło spowodować księżnę do opuszczenia męża, pałacu i świetnego życia, i do zamieszkania z cyganem w dzikich węgierskich stepach!

Artykuły te bywały nieraz bardzo złośliwe, ale nikt nie wiedział, że Klara sama je pisywała, chcąc tym sposobem dokuczać księciu. Wiedziała ona, że nic go tak nie przeraża, jak wymienianie publicznie jego nazwiska — a tutaj chodziło jeszcze o skandaliczny proces!

Książę przeklinał żonę i cygana.

I podczas kiedy ulicznicy paryzcy rzeczywiście wskazywali palcem na księcia — żyła Klara szczęśliwie i swobodnie na stepach węgierskich z swoim ukochanym cyganem.

LXXXII.

Tajemnica doktora.

W domu Tritoniego pusto teraz było. Rigo, Klara i Felicja opuścili go — sama tylko Józefina została u niego i dotrzymywała mu towarzystwa.

Stary lekarz polubił szczerze Józefinę i okazywał jej czułość prawdziwie ojcowską.

Pewnego wieczora zaczęła Józefina znowu o swoich rodzicach i prosiła gorąco doktora, aby jej nareszcie powiedział, gdzie ich może szukać.

— Dlaczego bym ci miał wskazać twego ojca — odrzekł Tritoni — przysiągłem sobie, że póki ja żyję, zastąpię ci jego miejsce! Mój dom jest twoim domem, nawet i po mojej śmierci! Może to wkrótce nastąpi.

— Ach, pan jeszcze długo będziesz żył! — zawołała Józefina. — Nie jesteś pan ani słaby, ani chory, a jak młodo wyglądać umiesz, o tem przekonałam się najlepiej wówczas, gdy mi oznajmiłeś śmierć Blakborna!

— Ah, wtenczas czułem się rzeczywiście młodszym o kilkadziesiąt lat!

— Czemu?

— Ah, moje dziecko, nie po raz pierwszy spotkałem ja tego łotra w chwili, w której chciał uciekać! Znałem ja go już od wielu, wielu lat, i wiedziałem, że kara go nie minie! Ten człowiek zatruł całe moje życie i odebrał mi wiarę w ludzkość — z jego winy nigdy nie zaznałem szczęścia tego, które stanowi treść życia, szczęścia rodzinnego, szczęścia posiadania żony i dzieci.

— Opowiem ci wszystko! Znałem dużo ludzi złych, ale takiego łotra nie widziałem po raz drugi. Słuchaj więc!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

POD PRUSKIM ZABOREM.

Napisał René Bazin.

3) Tłomaczyła *J. P.*

(Ciąg dalszy.)

Jan zniósł spokojnie wzrok ojca i ust nie otworzył. Tem pochlebił ojcu, który zrozumiał, że stał przed nim człowiek pewny siebie i może niezłomny. Znał już podobnych ludzi. Oceniał w głębi ducha ich zalety i lękał się ich. Z właściwą sobie szybkością kombinowania ujrzał Jana szefem fabryki w Alshaimie, a jego ojca Józefa Oberle zasiadającego w Reichstagu w otoczeniu finansistów i wyższych urzędniczych potęg świata niemieckiego. Należał do tego gatunku ludzi, którzy umieją ciągnąć korzyści z zawodów, jak można, naprzykład, zużytkowywać odpadki fabryczne. Rozrzewnił go ten obraz. Nie uniósł się, przeciwnie, z jego twarzy znikła maska ironii. Ruchem ręki wskazał na ogromną halę; tam z nieustannem warczeniem, od którego drżały lekko szyby, wrzynały się stalowe zęby w odwieczne drzewa Wogezów, i rzekł tonem prawie żartobliwej nagany:

— Niech i tak będzie, moje dziecko! Uradujesz mnie, swoją matkę i Ulrycha. Pozwalam ci stanąć z nimi przeciwko mnie, ale tylko w tej jednej kwestyi. Przed kilku laty nie pozwoliłbym ci porzucać karyery, usuwającej z naszej drogi przeszkody, trudności, o których nie możesz mieć jeszcze pojęcia. Wtedy nie byłeś w stanie rozporządzać własną przyszłością. Moje położenie było zbyt uciążliwe i niebezpieczne, bym ciebie także chciał w nie stawiać. Dzisiaj wszystko to się już zmieniło. Interesy fabryki rozwinęły się. Mamy życie możliwe, dzięki usiłowaniom moim, a nawet poświęceniom, za które jednak nie widzę dokoła siebie wdzięczności. Dzisiaj, przyznaję, możemy liczyć na przyszłość. Chcesz być moim następcą? Już nim jesteś. Do chwili wstąpienia do wojska przez siedem miesięcy będziesz u mnie praktykantem, ale pod jednym warunkiem...

— Jakim?

— Nie będziesz się zajmował polityką...

— Nie mam też wcale do tego ochoty.

— Przepraszam cię — dodał pan Oberle z nagłem ożywieniem — musimy się dokładnie pod tym względem porozumieć. Nie masz dla siebie ambicyi politycznych, rozumiem cię, jesteś na to za młody, a może nie ma w tobie nawet materyału na polityka. Nie to miałem na myśli... zabraniam ci się bawić w szowinizm alzacki; przy każdej sposobności wykrzykiwać, jak tylu innych: „Francya! Francya!“ nosić pod kamizelką trójkolorowe pasy, naśladować studentów alzackich w Strassburgu, którzy porozumiewają się z sobą pod nosem policyi, gwiżdżąc Marsyliankę. Nie chcę słyszeć o tych sposobikach, o tych mikroskopijnych buntach i jednocześnie wielkich niebezpieczeństwach. Nam przemysłowcom, pracującym w kraju niemieckim, nie wolno brać udziału w takich manifestacyach. Stoją one w sprzeczności z naszemi interesami, z naszą pracą, bo nie Francya u nas kupuje. Francya, mój drogi, daleko, rzekłbyś, że o tysiąc mil daleko, tak mało tu o niej wiemy, tak mało pieniędzy z niej płynie. Pamiętaj o tem! Jesteś z własnej woli przemysłowcem niemieckim, jeżeli odwrócisz się od Niemców, zginąłeś! Myśl sobie, co chcesz o dziejach swego kraju, o jego przeszłości i stanie obecnym. Nie znam twoich opinii pod tym względem i nie wiem, jakiemi będą w tak zacofanem środowisku, jak nasze, tu w Alsheimie; ale cokolwiek kryłbyś w głębi duszy, umiej milczeć, albo też szukaj pracy gdzieindziej.

Uśmiech zaigrał pod wąsem Jana, choć górna część twarzy pozostała surową i poważną.

— Zapewne chciałbyś wiedzieć, ojcze, co myślę o Francyi?

— No?

— Kocham ją.

— Ale jej nie znasz!

— Znam jej dzieje, jej literaturę i porównywałem, oto wszystko, ale i to wystarcza, należąc do jednej rasy, odgaduje się tyle rzeczy. Po za tem nie znam jej, to prawda... Byłeś tak ostrożnym, ojcze.

— Tak jest! Chociaż w twoich słowach kryć się może jakaś intencya obrażająca.

— Broń Boże!

— Tak, byłem ostrożnym, bo chciałem wyzwolić ciebie i twoją siostrę z pod wpływu tego nieszczęsnego ducha oporu, który mógł tylko zjałowić wam życie, uczynić z was ludzi niezdolnych, bezsilnych biedaków, od których roi się Alzacya i którzy nie przynoszą korzyści ani Francyi, ani Alzacyi, ani sobie samym, dostarczając wiecznie Niemcom powodów do gniewu. Rad jestem, że mogę pomówić z tobą o moim systemie waszego wychowania, bo ja jeden je przeprowadziłem. Chciałem wam oszczędzić tego, przez co sam przyszedłem — zmarnowania życia. Był jeszcze wzgląd inny. Ach, wiem dobrze, że nikt mi słuszności nie przyznał. We własnej rodzinie sam siebie chwalić muszę. Moje dziecko, kto wychował się we Francyi i do niej pochodzeniem należy, ten musi pokochać kulturę francuską...

Tu urwał, chcąc zmiarkować, jakie wrażenie wywołało to zdanie. I nic nie dojrzał, ani jednego drgnienia na twarzy niewzruszonej syna, który istotnie musiał być człowiekiem niewzruszonej siły duchowej. Niezwyciężona potrzeba usprawiedliwienia się w jego oczach kazała panu Józefowi Oberle mówić dalej:

— Wiesz dobrze, Janie, że język francuski jest tu źle widziany. W Bawaryi otrzymałeś wykształcenie literackie, historyczne, lepsze od tego, które mógłbym ci dać w Strasburgu. Mogłem ci także zamówić lekcye prywatne języka francuskiego, nie szkodząc ci w opinii twoich nauczycielów. Tymczasem w Alzacyi szkodziłoby to mnie i tobie. Oto przyczyny, które mną kierowały. Doświadczenie powie ci, że miałem słuszność. Postępowałem tak w dobrej wierze i dla twego dobra.

— Kochany ojcze — przemówił Jan — nie przyznaję sobie prawa wydawania sądu o twem postępowaniu. Mogę tylko to powiedzieć, że dzięki wychowaniu memu, jeśli nie zachwycam się, nie przejmuję nadmiernie cywilizacyą niemiecką, umiem żyć wśród Niemców i pewny jestem, że potrafię żyć wśród nich w Alzacyi.

Ojciec ściągnął brwi, jak gdyby chciał powiedzieć: „Kto to wie?“

— Pomimo moich poglądów, wrogów w Niemcach nie miałem i zdaje mi się, że moje przekonania pozwalają mi kierować fabryką w kraju zabranym.

— I ja tak sądzę — odparł krótko pan Oberle.

— Więc przyjmujesz mnie, ojcze? Znajduję u ciebie zajęcie?

W odpowiedzi szef nacisnął jeden z guzików od dzwonków elektrycznych.

Jakiś człowiek wszedł na stopnie, wiodące z hali do obserwatoryum właściciela, uchylił drzwi, wsuwając do pokoju jasnowłosą głowę, długą, kwadratową brodę i oczy do dwóch błękitnych kamyków podobne.

— Wilhelmie! — odezwał się Oberle po niemiecku. — Zaznajomisz mego syna z naszą robotą, pokażesz mu zakupy z ostatniego półrocza. Od jutra mój syn towarzyszyć ci będzie w zwiedzaniu poręb dla nas wycinanych.

Drzwi się zamknęły.

Jan Oberle zgrabny, młody, pełen zapału, stał teraz przed ojcem. Wyciągnął do niego rękę i rzekł blady z radości:

— Więc znów mam moje miejsce w Alzacyi. Jakże ci dziękuję, ojcze!

Ojciec uścisnął rękę syna z robionym entuzyazmem. W duchu myślał:

— Wykapany obraz matki, słowa, duch, zapał Moniki!

Głośno zaś mówił:

— Widzisz więc, moje dziecko, że wasze szczęście jest moim jedynym celem. Innego nie miałem. Obierasz inny zawód, niż ten, o którym dla ciebie marzyłem. Staraj się teraz zrozumieć nasze położenie, jak zrozumiała je twoja siostra...

Jan wyszedł, a w kilka chwil po nim ojciec opuścił kantor.

Pan Józef Oberle poszedł w stronę domu, chcąc jak najprędzej zobaczyć się z córką, jedyną powiernicą jego myśli i opowiedzieć jej o tem, co zaszło.

Jan tymczasem minął skład drzewa, kierując się ukośnie ku bramie wejściowej i dążąc w stronę lasu; daleko iść nie mógł z powodu zbliżającej się pory śniadania. Doszedł do pasa winnic Alsheimu, przecinając pola, pod uprawę chmielu przeznaczone, dziś jeszcze nagie, na których tu i owdzie sterczały zapasy tyk w wiązki zebranych. Niezmierna radość przejmowała mu duszę. Kiedy doszedł do winnicy, znanej mu od dzieciństwa, kiedy jeszcze winobranie cieszyło go tak ogromnie, wbiegł na pagórek przydrożny i mimo pochmurnego dnia, pomimo wichru wydała mu się piękną, bardzo piękną ta Alzacya, roztaczająca przed nim łagodne stoki gładkiej płaszczyzny, a na nich pasma traw i ornych gruntów, z których strzelały w górę czerwone dachy wiosek i wieżyczki dzwonnic. Odosobnione, nagie drzewa, o liniach kolistych, przypominały suche osty.

Kilka wron przelatywało nad polami, szukając nowych zasiewów. Jan wyciągnął ręce, jakby chciał przycisnąć do piersi całą przestrzeń na lewo od Obernai aż do Barru, napół zakrytego rzędami sosen.

— Kocham cię, Alzacyo, i wracam do ciebie — wyrzekł.

Popatrzył na Alsheim, na czerwony dom rodzinny, wznoszący się ponad innymi, a potem skierował wzrok na przeciwny koniec wioski; wrzynał się on w kształcie przylądka, zarośniętego drzewami, w płaską przestrzeń. Była tam aleja, wiodąca do wielkiej grupy drzew, obecnie czarnych, między któremi widniała część jakiegoś dachu. Jan długo wpatrywał się w ten budynek i dodał:

— Witaj, alzacka dziewczyno! Może pokocham cię, tak dobrze byłoby żyć tu razem z tobą.

Do uszu jego dobiegł słaby, stłumiony głos dzwonu, wzywającego rodzinę Oberle na śniadanie. Dolatujące dźwięki zmieszane były z szumem wiatru, który je roznosił po polach Alzacyi.

ROZDZIAŁ III.

Pierwsze zebranie rodziny.

Jan zwolna zawrócił w stronę, z której go dochodziły dźwięki dzwonu. Wszystko radowało go w tej chwili. Znów obejmował w posiadanie ten świat, powtórnie dla niego po tylu latach otwarty, ten świat, w którym miał się osiedlić, pracować i może zaznać szczęścia. Wyrazy te rozkosznie rozbrzmiewały w jego umyśle; szły i goniły się, jak gromada delfinów po powierzchni morza, a do nich przyłączały się inne: życie rodzinne, wygoda, stanowisko społeczne, upiększenia, zmiany. Dom swój nazywał domem ojcowskim. Patrzył na niego z czułością, wracając drogą, wiodącą wzdłuż potoku; z pewnem poszanowaniem stąpał po schodach ganku, gdy przypomniał sobie, że stawiał go dziadek, do dziś dnia właściciel całej posiadłości, oprócz składu drzew i fabryki. Wszedł do sieni, przecinającej cały dom i otworzył ostatnie drzwi na lewo.

Tylko jadalnia odnowiona była według gustu i wskazówek pana Józefa Oberle. W salonie, jak we wszystkich zresztą pokojach, stały meble przez dziadka jeszcze zakupione, mahonie pokryte żółtym i zielonym utrechtem. Pomysł pana Józefa Oberle odznaczał się brakiem linii. Styl zaś zastępowała barwa. Ściany pokryte były do połowy drzewem w żyłki szaro-niebieskie, szaro-lila, tu i tam szaro-różowe i szaro-popielate. Powyżej aż do belkowania sufitu rozpięte były cztery makaty, zdobne w desenie kwiatowe, ułożone z kosańców, róż i werbeny. Wszędzie, o ile to było możliwem, pominięto, nie wiadomo dlaczego, proste linie. Odrzwia tworzyły krzywizny, niby liany. Futryny falowały. Krzesła z giętego drzewa pochodziły z Wiednia. Całość nie posiadała żadnego stylu, ale miała pewien wdzięk barwy i delikatnego naśladownictwa świata roślinnego. Jadalnia przeznaczona, rzekłbyś, dla szczęśliwej, młodej pary.

Ta czwórka ludzi, która się tu zwykle zgromadzała, nie miała nic wspólnego z takim radosnym obrazem, nie było harmonii między nimi a dekoracyą sali. Siadali niezmiennie, każdy na tem samem miejscu, około kwadratowego stołu według powinowactw i antypatyj głębokich.

Po lewej stronie bliżej okna, z którego padało najwięcej światła, siedziała pani Monika Oberle. Wysoka, szczupła, z twarzą niegdyś świeżą i pełną, dziś zmiętą i bladą, sprawiała wrażenie istoty nawykłej do słyszenia jednego zdania: „Mylisz się.“ Oczami krótkowidza muskała przedstawione sobie osoby z uśmiechem, który umiał szybko cofać się i znikać. Oczy jej wtedy tylko na kimś spoczywały, jeśli nic ich nie odepchnęło lub nie zraziło. I w takich chwilach przebijał się w nich umysł jasny, serce niezmiernie dobre, trochę smutne i zdziczałe, ale jeszcze do złudzeń i porywów młodości zdolne. Dzieciństwo jej, wszelkich trosk pozbawione, przygotowało ją jaknajgorzej do późniejszego życia. Nazywała się wówczas Moniką Biehler, należała do starej rodziny Biehlerów z Obernai. Z wyżyn rodzinnego domu, który wznosił się nad wałami miasteczka, patrzyła na ogromną płaszczyznę alzacką. Ogród pełen strzyżonych bukszpanów, grusz i głogów, w którym dzieckiem biegała, jedną tylko kratą oddzielony był od miejsca spacerowego w Obernai, znajdującego się obok wałów. Widoki Alzacyi wpijały się codzień w jej duszę dziecięcą, obudzając miłość dla tej krainy, wówczas tak szczęśliwej, dla jej piękności, spokoju, swobody, dla jej wiosek, niby różane grona rozsypanych wśród łanów. Wiedziała dokładnie ich nazwy. Monika Biehler nic więcej nie znała.

Razem z całą rodziną wyjeżdżała z Obernai na dwa miesiące do Heidenbruchu, położonego w lesie św. Otylii. Raz jeden tylko przebyła Wogezy, aby odbyć pielgrzymkę do Domremy, na rok przed swem zamążpójściem. Były to trzy dni zachwytu! Te trzy dni pozostały w pamięci pani Oberle, jako najwyższa, najczystsza radość jej życia. Nazywała je: „moją podróżą do Francyi!“

Cichy tryb życia w Alsheimie sprawił, że łatwo było ją spłoszyć, dzięki niemu jednak dotąd zachowała prostą naiwność pierwszej młodości, szczerość, głębię cichego, młodocianego ukochania kraju i swoich ludzi. Z tego powodu silniej, niż ktokolwiek inny na jej miejscu cierpiała, widząc że jej mąż zbliża się coraz więcej do stronnictwa niemieckiego, wreszcie przystaje do niego zupełnie.

Cierpiała jako Alzatka, a więcej jeszcze jako matka. Dla tych samych powodów, które odsuwały ją od męża, oddalono od niej dzieci. Zmarszczkom, żłobiącym jej twarz przedwcześnie zwiędłą, można było dać nazwy bólów, z których powstały: zmarszczka dobroci wzgardzonej, zmarszczka zabiegów daremnych, ojczyzny zelżonej, rozłączenia z Janem i Lucynką, bezpożyteczności całego skarbu uczucia, które zgromadziło w niej życie dziewczęce i kobiece.

Pani Oberle tem większą czuła gorycz, że odgadywała doskonale powody postępowania męża. On o tem wiedział. Upokarzał go ten świadek, któremu wcale nie zdołał zaimponować, a który go zmuszał do szacunku. Żona uosobiała dla niego to wszystko, co porzucił, ją miał na myśli, gdy usprawiedliwiał się ze swego postępowania — a czynił to przy każdej sposobności — przeciw niemej naganie żony wrzał gniewem. W sprawie zniemczenia Alzacyi nigdy przez lat dwadzieścia nie potrafił wydobyć z niej jednego słowa przyzwolenia. Ta nieśmiała istota uległa sile, ale przekonań jej nikt ugiąć nie zdołał. Mąż wprowadzał ją do niemieckich domów, lecz zachowywała się w nich z taką godnością, że każdy poznawał kierujące nią pobudki i żalu do niej mieć nie mógł. W ten sposób nietylko samych pozorów broniła; chociaż odebrano jej dzieci, nie rozłączyła się z mężem, ciągle mieli z sobą zajścia, czasem milczące z jednej strony, czasem obustronnie gwałtowne. Jednak pani Oberle rozumiała, że mąż nienawidził w niej tylko przenikliwości i sposobu patrzenia na rzeczy. Miała nadzieję, że i jej kiedykolwiek słuszność przyznają. Myślała, że teraz, gdy dzieci dorosły, trzeba będzie powziąć ważne postanowienia co do ich przyszłości; może więc cierpliwością niewyczerpaną i licznemi ustępstwami uzyska wreszcie prawo głosu decydującego.

(Ciąg dalszy nastąpi).